

[Luga Rautenstrauchowa]

MIASTA, GÓRY

i

DOLINY

przez

L. z G. R.



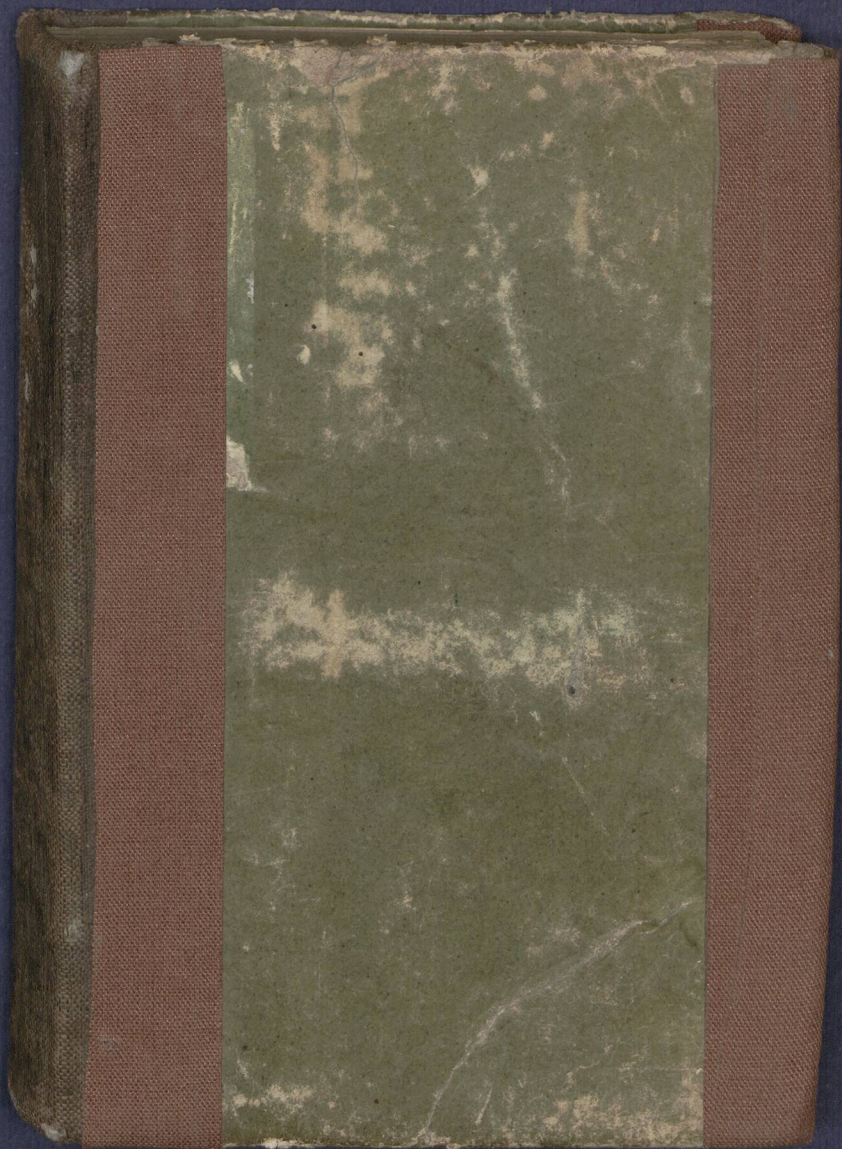
Tom IV.

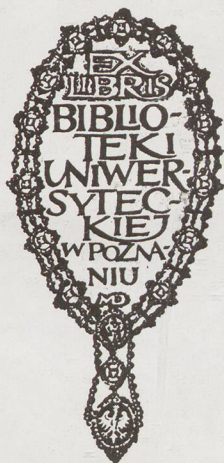
390

POZNAŃ.

W Nowej Księgarni J. Łukaszewicza.

MAJ 1844
K





Ługa Rautenstrauchowa

MIASTA, GÓRY

i

DOLINY

przez

L. z G. R.



Tom IV.

390

POZNAN².

W Nowej Księgarni J. Łukaszewicza.

MAJ 1848

K

8626310 1



098

Czcionkami W. Deckera i Spółki.

Bibl. UAM
05 K 230

MIASTA, GÓRY I DOLINY.

MISSILE CORP. & BOEING

X.

Jeszcze w Wenecyi.



Przy limonadzie i lodach, zaczęto, jak mówiłam, nalegać najprzód na panią Sirval, następnie na mnie, żeby z tego wypadku ułożyć powieść. — » Byle jój nadać,« rzekła pani J.... off, »taki kolor, iżby raz na zawsze obmierzić, i starym i młodym te kulisowe małżeństwa, tak, niestety! często w naszych czasach powtarzające się, a tak najczęściej smutne wiodące następstwa!«

— »Ten kolor,« odpowiedziano, »sama treść w sobie niesie. Nic w niej dotąd przei-

staczać, ani dodawać nie trzeba. Widzimy już, naprzykład, starego hrabię Vortal, który w mniemaniu, iż pierwszym swym związkiem, wszelakiemu wymaganiu familii i towarzystwa zadość uczynił, w drugim już tylko własnemu dogadza kaprysowi. Dał familii syna, dla świetności imienia zostawia mu krocie. Wybrał mu nauczyciela bogobojnego, przewodnika zasad gruntownych, i zdaje mi się, iż polegając na nim, kraj w synu prawego uzyska obywatela, człowieka towarzystwu użytecznego. W takim stanie rzeczy, jakakolwiek i zkąd bądź wzięta macocha, nic zdaje się nieznaczy. Przed ożenieniem się hrabia już na nią łożył; cała więc różnica, jaka w ich potém zaszła stósunkach, było udzielenie jój nazwiska, i jakiéjs dożywotniéj pensyi. Nazwisko z nią razem miało się skończyć; zaślepiony hrabia pewnym był, że z teatru wyzwolona, usuniętą tém samém będzie od sposobności bezwstydnie go szarżania, że przez samę pamięć dobroczyńcy swego, niczém go nie

skazi, a pensya w takich, jak jego dostatkach, nie mogła go zastanawiać. Ta wreszcie miała ustać, na przypadek powtórnego małżeństwa, łatwego do przewidzenia, z takimi, jak Matyldy wdziękami. Nie potrzeba tu było nawet całej ułudy namiętności, by skłonić pana Vortal, a przynajmniej uspokoić go na skutki kroku, jaki zamierzał. Może nawet upatrywał w nim jakąś dla moralności korzyść, gdy tymczasem, zgotował dla syna nieszczęście, ubóstwo, dla rodziny wstyd, hańbę, dla towarzystwa zgorszenie! «

Pan Schale utrzymywał, że takie pani J....off w téj mierze zdania, pochodzą tylko z arystokratycznych przesądów.

— » Uznałabym słuszność wniosku tego,« odpowie pani J....off, » gdybyśmy mówili o zaszczytném urodzeniu, o pargaminach. Lecz tu tylko bierzemy na uwagę grunt osoby, jój wychowanie, usposobienie, zasady. Cóż bowiem, można oczekiwać od młodej dziewczyny pozbawionej matczynego oka, od 10^{go} lub 12^{go} roku

rzuconej w taki świat, jakim są dramatyczne szkoły? Jakże rozsądnie tam żądać skromności, gdzie w stroju, w mowie, postawach, sama ich sztuka ją potępia? Jak tam prostoty szukać, gdzie na doskonałym udawaniu polega byt, sława, przyszłość? A gdzie się od udawania zaczyna, tam się najczęściej na przewrotności kończy! Dodać do tego brak religijnych zasad — bo w tej szkole nie słyszałam, żeby ich uczono — konieczność świetnienia wdziękami i strojem, obok niemożności, w początkowym zawodzie, godziwym zarabiania nań sposobem. Ta sama emulacya codziennie przez nauczycieli podniecana, ta później potrzeba i żądza oklasków, co rozwija talent, rodzi natchnienie, przyznasz pan, iż jeżeli to wszystko tworzy artystkę, gubi zarazem kobietę. Nie potępiając ich też bynajmniej, (bo gdyby kto był do potępiania, to matki, co takiemu zawodowi poświęcają swe córki) znajduję jedynie, iż baletniczki trzeba zostawiać wyłącznie teatrowi, pod względem

sztuki je tylko uważać, nie wglądając, ani w ich pochodzenia, ani w domowe postępowanie. Nie odwracać się od nich, ale je za przyjaciółki nie brać. Płacić im hojnie, gdy się od nich czego żąda, tém hojniej, iż im dużo pieniędzy potrzeba, (a najczęściej wartości ich nie znają), lecz w dom, do rodziny je nie przypuszczać: bo prawidła społeczności takie, jakie je świat po nas wymaga, na jakich porządek jego spoczywa, nie mogą w żaden sposób pojednać się z prawidłami, jakimi one są od młodości przesiękłe; bo godność żony, powaga matki, nie znoszą swawolnych wspomnień kulissowej młodości. A cóż dopiero, gdy jak pani Vortal, nawykła do zbytków, co u nich najczęściej bywa, jedną garścią biorą złoto, drugą je ciskają, a w przekonaniu, iż wszelkie do otrzymania go sposoby dobre, wszystkiego chwycić się gotowa.....«

— »Z tego właśnie punktu, musiano te artystki uważać za dawnych burbońskich czasów,« ozwał się młody Rossyanin nie-

dawno z Paryża przybyły. »Pierwsi wówczas panowie na kolacyach u nich bywali; lecz po śmierci kościoły i cmentarze były im zamknięte. Takim sposobem zupełnie je w osobnej mieszczono kategorii, bo komużby się chciało nazwać żoną, dać za matkę swym dzieciom istotę, której ziemi świętej odmawiają, na której pogrzeb nawet dzieci by pójść nie śmiały? Którójby, jeżeli nie za życia, to po śmierci więcej prawie, jak za życia wstydzićby się trzeba? — Jeżeli mam tu jednak całą mą spowiedź dopełnić,« mówił dalej ten północny Paryżanin, »muszę się przyznać, iż nie zbyt dawno, oniemal niezrobiłem podobnego szaleństwa:

»Już od roku bawiłem w Paryżu. W początku może się trochę bez uwagi hulało. Chciało się być elegantem pierwszego rzędu. Finanse moje coraz w gorszym stanie zupełnie się w końcu wyczerpały. Bankier mój już mi nic dać nie chciał, bom był w sześć miesięcy wybrał u niego to, co mi było na dwa lata mych podróży

przeznaczone. Pisałem list po liście do domu — ani słowa odpowiedzi. — Co rano budzili mię, to szewc, to krawiec, to siodlarz z długim rachunkiem. Zbywałem ich, jak mogłem. Kredytu już nigdzie mi niedawano, a tu odzież i obuwie szalenie odnowienia potrzebowały. — Przyszło już do tego, że z daleka mijając Verrego, gdzie się był zadłużył, po kilka dni samemi serwelami (kiełbaskami) i chlebem żyłem, a gdy czułem zbyt znaczne osłabienie żołądka, sprawałem sobie wielką ucztę! Ta uczta składała się zwykle z dwóch filiżanek herbaty i porcy bifsztyku. Ale już w końcu i na takie uczty nie stało. Rospacz mię ogarniać poczęła, a to tém silniej, że żadnej rozrywki pozwolić sobie nie mogłem. Teatra kosztują, biletów do nich na kredyt nie dają, a z wywiędłą od głodu twarzą i wytartymi łokciami w żadnym towarzystwie, gdzie mię przedtém wykwinnym elegantem zwano, pokazać się nie śmiałem. Kiedy tak sam niewiedziałem co począć, gospodarz hotelu po-

miarkowawszy moje położenie, przyszedł mi oświadczyć, żebym w przeciągu tygodnia dom jego opuścił. Rachunek jego, który przed wyniesieniem się koniecznie zapłacić wypadało, wynosił tysiąc trzysta kilkadziesiąt franków, a w mój kieszeni ze sprzedanego zegarka pozostawało tylko franków 35! — Wówczas śmierć mi w oczach stanęła. Niewidziałem innego przed sobą środka, jak sobie życie odebrać. Napisałem do ojca i do stryja z pożegnaniem; wszystkie inne poczynilem rozporządzenia, i tylko już rozmyślałem, czy w głowę, czy w serce mam strzelić. Wy-
rzekłem, że w serce.«

— »Zapewne, żeby twarzy nie zeszpecić,« przerwała pani J....off. »Bardzo mi się ta pośmiertelna kokieterya podoba.«

— »Nie będę przeciw temu ręczył,« odpowie współziomek pani J....off, »bo sam niewiem, czemu mniej mi wstrętu czyniła kula w sercu utkwiona, niż gdyby mą głowę i mózg roztrzaskać miała. Lecz kiedy rzecz już na tém ostatecznie stanęła,

przypomniałem, że na nieszczęście pistolety trzema miesiącami pierwój byłem zastawił! — Nowy kłopot! Wykupić ich nie miałem za co — Ale i bez pistoletów śmierć sobie zadać można — W Paryżu moda oczadzania się. — Miałem przy moim pokoju nie duży gabinecik bez kominka. Okno dobrze zamknąłem i obetkałem. Brakło już mi tylko fajerki i węgla; z najsilniejszym postanowieniem poszedłem po nie.

»Nigdy nie przyszło mi uważać, gdzie te czarne towary sprzedają. Szedłem więc na los szczęścia, wyglądając takiego sklepi-ku, kiedy mi przyszła myśl, iż na to kupno dość jednego franka, a ja ich posiadałem trzydzieści i pięć. Odłożyłem ten jeden na ostatnie przeznaczony kupno do osobnej kieszeni, a przyspieszając kroku, pobiegłem z resztującą summą, potentować przedśmiertelnego szczęścia. Gdy mię zawiadzie, rzekłem, dość wówczas będzie sięgnąć po owego ostatniego franka.

»Sala była tak pełna, iż mi dość długo niepodobna było do stołu się docisnąć.

Spiąwszy się tylko na palce, spostrzegłem jakiegoś pana liczne rulony złota na czerwone kładącego sukno. Kolor ten kilka razy przegrał. Grający rulony rozwinał, złoto się posypało, odgarnął je, i drugie podobne z kieszeni wydobywał. Zapytałem kto on jest? Powiedziano mi, że to mąż sławniej Sylfidy, (pierwszy jej mąż z wysokiego rodu, którego później porzuciła zastępując go tym, cośmy w Petersburgu przy niej widzieli). Przetłoczyłem się w końcu do stołu, a stanąwszy blisko niego, skromnie postawiłem cztery pięciofrankówki (większą moich bogactw połowę!) obok jego kupy złota. Pogardliwie spojrział na mnie. We wzroku jego było pytanie, co to za nędzarz śmie taką lichotę obok jego kłaść ludwików? a jak każdy wielki pan, co nie lubi dotknięcia biednych, tak i on spojrzawszy na me wybladłe lica, włosy rozczochrane, wytarte odzienie, odwrócił się tyłem; swe złoto na czarny przesuwając kolor. Czerwony, raz drugi i trzeci wygrał. Moje 20 fran-

ków zamieniły się w tysiąc, a on ciągle do banku swoje ludwiki odsuwał. Podwójnie mię to ucieszyło. Z jednej strony dusza ma do życia wracała, na nowo się witała ze światem, z drugiej nie mogłem strawić pogardliwego spójrzenia pana G*** i miło mi było widzieć ostatni rulon z kieszeni jego wydobyty.

»Trzy, czy cztery razy na czerwony trafiwszy kolor, schowałem wygraną monetę, a owe pierwotne pięcio-frankówki, co mi szczęście przyniosły, postawiłem na czarną stronę, kładąc je zuchwale tuż obok złota pana G***. Mąż tancerki już nie patrząc nawet na mnie, wziął swe rulony i na przeciwną przesunął. Czerwony kolor przegrał. — »Cóż ci się dziś nieszczęści?« rzekł ktoś do niego. — »Póki Sylfida nóżkami i skrzydełkami trzepocze, to on się nie lęka nieszczęścia,« odpowiedział ktoś drugi. — Jeszcze się jakieś dowcipki w tym guście sypały, lecz on w nich nie brał udziału. Oparł się tylko wygodnie, a wyciągając rękę do jednego ze zna-

jomych — » Pożycz mi,« rzekł, » 100 ludwików.« — » Na jaką hipotekę? czy na skrzydłach Sylfidy opartą?« — » Na jutrzejszym benefisie — Czyś nie czytał afiszów?« — » Na benefis możesz pan śmiało pożyczyć,« ozwał się jeden z pomagaczy banku, » byleś uzyskał upoważnienie być pierwszym do teatralnej kassy.«

» Pan G*** wydobyl z kieszeni pulares, wydarł z niego ćwiarteczkę papieru, ołówkiem parę wierszy nagryzmolił i podpisał. Znajomy jego schował kartkę, a w zamian tego, wyliczył mu prześlicznych sto ludorów.

» Mój Boże! pomyślałem sobie, jak one mu łatwo przyszły! a ja biedny, oniemal życiem i zbawieniem braku ich nie okupiłem!

» Gorzko mi się w sercu zrobiło. Lękałem się znów jakiego wzroku pogardliwego; miałem już wygranych z pięć tysięcy franków. Zabrałem i wyszedłem.

» Zapłaciwszy w hotelu, i inne najpilniejsze długi i kupna ułatwiwszy, zostałem

z parąset frankami. Z tych, gdy w krótkim czasie znacznie ubywało, a z domu żadnego nie odbierałem zasiłku, nowa mię zaczęła ogarniać rozpacz. Gra mi już nie dopisywała. Nie wiele przegrywałem, ale wygrać nic nie mogłem. Zawsze tam napotykałem przy stole męża Sylfidy, garściami złoto sypiącego. Człowiek ten mi był nieznośny; lecz razu jednego, gdy już znów odłożyłem franka na węgle, przyszło mi do myśli pytanie: czemu bym nie miał jego naśladować? Jużci z dwojga złego, lepiej się ożenić, niż śmierć sobie zadać.

»W świetnych moich jeszcze czasach, uczęszczałem do jednej z pierwszych aktorek, która mi się wówczas bardzo podobiała. Odnowiłem tę znajomość. Kilka tam smacznych obiadów zjadłem; parę zaniósłem pięknych prezentów, i bardzo mi się dobrze wiodło. Ta tylko mię myśl ciągle trapiła, co to mój ojciec powie, jak się dowie, że synowa jego na afiszach figuruje? jak familii to szaleństwo objawić? bo u nas

cywilizacya jeszcze nie doszła do takiego stopnia, żeby ojcowie byli obojętni na związki synów.«

— »Dodaj pan do tego,« przerwała pani J....off, »że w Paryżu takie małżeństwa zupełnie w innych warunkach się kojarzą, jak u nas. Tam taki panicz, lubiący grę, zbytki, bez sposobu dogodzenia swym namiętnościom, chwyta, co mu pod rękę podpadnie; najprzód w długi grzaznie, później, tak, jak pan, wybierając między ostatecznościami, żeni się z artystką, którą uważa jedynie za rodzaj niewyczerpanego worka. Ona ciągle pracuje, lub, jak może zarabia, a on hula i trwoni, zapominając w uciechach o źródle swych dóbr, w szumie szampana głuszając resztę zużytego sumienia. Taki mąż, ani nazwiska, ani zawodu żonie zmienić nie pozwala; każdy z nich przy swoim zostaje. Myśmy w Petersburgu ani wiedzieli, że Sylfida była żoną pana G***. Daleka jestem od pochwalenia takiej swawoli, iż niepowiem przewrotności. Lecz na północy, gdzie

zawsze chcą Paryż naśladować, a naśladowają po swojemu, inaczej się dzieje. Póysłyszawszy, że w Paryżu żenią się z baletniczkami i u nas z za kuliss zaczęto brać żony, a jak tam za dużo rachuby, a za mało sumienia, u nas za nadto studenckich skrupułów, a za mało uwagi na przyszłość. Tam na pierwszym względzie mają dobrze opatrzone ciężki worek, u nas znikomemi uwodzą się wdziękami, lub udanym żalem i wymówkami ze strony niby zwiedzionej ofiary!! Tam biorą złoto, a w dodatku (*par dessus le marché*) tego rzędu żonę, nie jój w odwet nawet imienia nie udzielając, u nas biorą żonę, dają jój swe imię, rodzinę, godność, dzielą się własnym z nią majątkiem, a w dodatku jój płochosć dzieńczyną i jój całą przeszłość nie zawsze lekką do dźwigania dla mężowskich ramion.«

— »Prawda, iż trzeba dobre mieć plecy i pewny stopień sceptycyzmu, czy filozofii, na jaki się ja zdobyć nie mogłem,« mówił w dalszej swój spowiedzi młody

Rossyanin, »i to mię może jedynie zbawiło; bom tak długo walczył między dokuczliwą żądzą, a temi wszystkiemi względami, między rozpaczą a sumieniem, iż w końcu nadeszły z domu pieniądze. Już byłem wprawdzie może trochę za daleko w mych miłosnych stosunkach zaszedł, nie wiedziałem, jak się z nich wycofać, zdało mi się zrazu, że się z méj strony jakieś sowite wynagrodzenie należy. Lecz mię jeden z mych znajomych, lepiej, niż ja Paryżem przesiąkły wyśmiał, mówiąc, że jeżeli o sławę chodzi, téj uszkodzić już nie mogłem, a z resztą pewno jakiś, nie długo czekany następca, długi moje zaspokoi. Prorocze były słowa jego! Słuchając dobrej rady, bez zwłoki zerwałem moje stosunki rychłym wyjazdem, i cały rok we Włoszech i w Szwajcaryi przebyłem. Gdy wróciłem do Paryża, pierwszą nowość, jaką tam ujrzałem, była, jak bogini wystrojona w lasku bulońskim moja nimfa, w przecudnie pięknym powozie obok lorda S***. Ona mi rzuciła wzrok

pełen złości i tryumfu, ja zaś go oddałem politowaniem osłodzony lordowi, któremu się niziutko i wdzięcznie ukloniłem.

»Tegoż dnia na obiedzie u Verrego, spotkałem mego przyjaciela, tego, co mię był przed rokiem do Włoch wyprawił. Opowiedziałem ranną przygodę — »Spodziewam się,« rzekł do mnie, »że już tve skrupuły uspione, i że już mię niebędziesz za niegodziwość mych rad strofował?« — »Przeciwnie, odpowiedziałem, i ja i moja niewierna, oboje złożymy ci dziękczynienia; bo gdyby została moją żoną, pewno tak pięknemi nie mogłaby jeździć ekwipażami, ani takimi świetnieć strojami, co, jak uważałem, nie było dla niej obojętną rzeczą.«

»Następnego ranka ostatni mój dług z dawnych czasów z radością spłaciłem. Spotkałem bowiem pana G***. Już go żona była zastąpiła drugim; już nawet w taki sposób swe kryła summy, za granicą je lokując, iż mimo prawa mężom we Francyi nadanego, rozrządzania majątkiem

żony, prawa, na które ów właśnie głównie liczył, niepodobna mu było je zagarnąć. Tak był chudy, wybladły, słowem, tak właśnie wyglądał, jak ja, gdy ostatnie moje pięcio-frankówki obok jego postawiłem ludwików. Zmierzyłem go od głowy do stóp okiem, w sposób dający widzieć to moje pogardliwe spojrzenie, z procentem szyderskiego na ustach uśmiechu; a w głębi duszy jeszcze raz najczulej podziękowałem Bogu i memu przyjacielowi, że mię odwiódł od szaleństwa do dopełnienia którego, tak już mało brakło.

Jeszcze jakiś czas toczyły się na tém tle spory. Pan budowniczy bronił artystki. Cytował pannę Sontag, którą był przed kilku laty gdzieś widział najlepszą żoną. Pani J....off utrzymywała, że nie ma reguły bez wyjątku. Na przeciw jednego przytoczonego przykładu wyliczyła dziesięć przeciwnych, a coraz się żwawiej unosząc, dodała, że bywali i zbrodniarze cnotliwi, co bynajmniej nie usprawiedliwia zbrodni.

Ja zaś postrzegłszy niecierpliwość pani Sirval na tak długą jej powieści przerwę, a do tego sama nielubiąc zbyt żwawych sporów, przerwałam je, mówiąc na pół żartem: — »Wyznaj, kochana pani J....off, że na twe zdania, jeśli nie arystokratyczne przesady, jak mówi pan Schàle, jakaś jednak osobistość wpływać musi. Nie przysięgåłabym, że tam jakiś kuzynek, czy siostrzanek, nie wypłatał pani jakiego kulissowego figielka, a ztąd taka przeciw tym wyskokom młodości gorliwość.«

— »Wyznaję, żeś pani odgadła. Jeden z mych blizkich krewnych, właśnie nam z Warszawy przywiózł taką damę, którą nam biednym, jako kuzynkę powitać trzeba było. Gdybyś pani widziała nasz kłopot i tysiąc z tego wynikłych przykrości, kiedy w obec świata trzeba było w domu tę nową kuzynkę przyjmować, obok siebie mieścić, znalazłabyś mój zapal bardzo naturalnym; gdybyś widziała także rozpacz matki tego młodzieńca, na którym całe familijne nadzieje się opierały, jeszcze-

byś się mniej mojemu oburzeniu dziwiła i inszybyś wynalazła wyraz, niż wyskok młodości na te zboczenia całém później opłakane życiem, bo u nas, jak w większej części Europy, rozwody nie istnieją. Nigdy nie zapomnę,« mówiła dalej, »męczarni nieszczęśliwej méj ciotki, kiedy zamiast téj, którą oddawna sercem i wszelkimi familijnemi względami była dla syna wybrała, przyszło jej tę teatralną synową witać. Mniemałam wówczas, że to powitanie będzie i pożegnaniem zarazem, bo po takim przyjęciu byłam pewna, że nasza kuzyneczka nam więcej się nie pokaże. Ale gdzie tam! ona się na tém ani poznała, a moja biedna ciotka zdrowiem opłaciła ten wyskok, jak go pani zowiesz, syna, który go sam później gorzko żałował, ale już za późno!...«

Ta rozprawa do ranka może w ten sposóbby trwała, gdybym, znów spojrzawszy na panią Sirval, raptownie jęj nie przerwała, mówiąc: iż lepiejby o dalszych wyskokach pani Vortal dziś jeszcze co usłyszeć.

Pani Sirval szczęśliwa z tego podania, nie tracąc ani chwili, natychmiast w te zaczęła słowa:

VII.

(Więzienie, rozpacz i przemysł.)

Ten agent macochy, o którym mówiliśmy, był między innymi przyjął na siebie obowiązek, pilnowania wszelkich korespondencyi swój małżonki, i najprzód w tym celu jeszcze przed odjazdem uczynił przegląd jój kufra. Wynalazł istotnie w nim ukryte dwa listy Heleny.

Jeden z nich był do ojca, drugi do brata napisany.

W nich biedna opuszczona okazywała się przejęta trwogą na widok téj sieci obłudy i intryg w jaką ją schwytano, a w chwili utracenia jedynéj swój podpory, jedynéj istoty, na której polegać mogła, (bo mimo zaślepienia zakochanéj Betty, nowym to jój raptowne zameście przypisywała planom i intrygom) zrywała wszelkie posta-

nowienie cierpliwości i rezygnacyi. Wszystko jawnie opisywała, tak ojcu, jak bratu, błagając o pomoc, o wybawienie z téj otchłani, póki jeszcze ją przy życiu znaleźć mogą.

Nic tam zatajonego nie było: ani intrygi miłośne przewrotnéj kobiety, co dla osiągnięcia posagu dała jéj swego kochanka niby za męża; ani sposób, w jaki ją odosobniała, niedając nikomu ją poznać, by ją wszelkich stosunków, a zatém jakiegobądź w potrzebie pomocy pozbawić, ani przemówanie i otwieranie familijnych listów; ani postępowanie Henryka, który uciekał od niéj i już nigdy ani słowa do niéj nie przemówił.

Taki zrobiwszy swego położenia obraz, niewiedziała nieszczęśliwa Helena, że na dopełnienie jego, mogłaby jeszcze dodać do wyliczonych niegodziwości największą ze wszystkich, tę, która miała służyć za podstawę innym — głoszenia jéj za wariatkę. — Lecz to uszło tak jéj przenikliwości, jak i gorliwemu Betty baczeniu.

Z tych listów dowiedziawszy się Matylda, że wszystkie jój najsubtelniejsze podstępny wykryte, uznała rzeczą niepotrzebną, dłużej sobie zadawać jaki bądź przymus. Już bez tego, coraz trudniejsze jój były do znoszenia, tak długie bez Henryka godziny poświęcone pilnowaniu Heleny, jak inne niby jakąś resztą przyzwoitości nakazane względem niój obowiązki.

Teraz oddaliwszy Betty, uwolniona od niebezpiecznego świadka, równie chciała się od razu od wszystkiego uwolnić i zrzucić raz na zawsze z siebie tę ciężką zasłonę, przez którą, jak się pokazało, przejrzeć wszakże zdołano.

W kilka dni później, gdy już wszystko do wykonania nowego planu gotowe było, w godzinie obiadowej, gdy się Helena wybierała zejść do jadalnej sali, doręczono jój bilet: — Donosił on o nagłym i niespodzianym wyjeździe macochy i pasierba. — Obiad jój do pokoju przyniesiono.

Wsparta na stoliku przed sobą zastawionym, oczy w bilet wlepione, szukała

jeszcze rozwiązania nowój téj zagadki, nici tego nowego węzła, kiedy usłyszała klucz we drzwiach, niewidomą ręką, dwa razy zakręcony i wyjęty.

Było to przejście z więzienia ukrytego pod pewną zasłoną przyzwoitości, łagodzonego jeszcze jój warunkami, do więzienia bez żadnego udania, więzienia ścisłego, surowego.

Usłyszawszy to klucza skrzypnięcie Helena, niezdając sobie sprawy z okrutnego wrażenia, zerwała się raptownie, w swym pędzie stolik z całym przykryciem przewróciła i jednym skokiem była u drzwi, a całą siłą za klamkę targając, całym głosem o ratunek wołała.

Ale drzwi na mocnych ryglach, ani się wzruszyły, a na jój wołanie wszystko głucho było.

Pobiegła do drugich na kurytarz prowadzących: — tam równie wszystko pozamykane, równie głucho znalazła.

Rzuciła się do okna, chciała wyskoczyć... lecz zmierzwszy okiem głębokość

krążącego pod nim rowu, a na dnie brudną wodę, po ostrych sączącą się kamieniami, odwaga ją odstąpiła. Przyszła jéj tylko na myśl obawa Betty, która zawsze tych rowów, jakby przetwartego dla siebie i swéj pani grobu się lękała. To przecucie wiernéj sługi zdało jéj się wówczas prorocstwem. Miecze, sztylety, truczizny, wszystko jéj razem w oczach stanęło.... Wkrótce wszystko z przed nich znikło.... padła bez zmysłów.

W pół godziny potém po całym pałacu rozległ się krzyk przeraźliwy z zamkniętego rozchodzący się pokoju. Jedni go brali za śmiech gwałtowny, drudzy za płacz. Matylda w dolnych salonach go usłyszała; a w obawie, by to pozoru jakiegoś gwałtu nie miało, i nie wzbudziło litości, posłała Andrzeja, najwierniejszego ze sług swoich, w towarzystwie Anieli, dla przekonania się, co to za nowy paroksyzm waryacyi, czy szaleństwa, napadł młodą hrabinę; gdyż, jak mówiła, jéj obłąkanie codziennie się zwiększa, a pa-

roksyzmy w ostatnich dniach tyle gwałtowności nabrały, iż nie śmiała sama się narażać, i umyśliła dla własnego bezpieczeństwa choréj, na klucz drzwi jéj zamykać. Tęż samą i swym ludziom zaleciła ostrożność.

Powróciwszy po dopełnionym rozkazie Andrzej i Aniela, donieśli swéj Pani, że młodą hrabinę znaleźli na środku pokoju leżącą, w pośród potłuczonych szklanek i talerzy, porozrzucanych serwet i sztuców, porozlewanych potraw i napojów. Za ich zbliżeniem się, jeszcze gwałtowniejsze, niż przed tém, zaczęła wydawać krzyki. Coś tam gadała o śmierci; o zabójstwie, o truciznie, o wyrzeczeniu się majątku, posagu, klejnotów, ale wcale jéj zrozumieć nie można było, tak dla złéj wymowy tą razą jeszcze krzykiem i płaczem przerywanéj, jak i najbardziej dla tego, że w tych słowach bez żadnego sensu, same tylko obłąkanie widać było.

» Gdyśmy chcieli, « rzekł dalej Andrzej, » położyć ją na łóżku, zaczęła uporczy-

wie się bronić, i tak silnie, że lubo nas tam troje było, bośmy pomywaczkę z kuchni dla większej odwagi i pomocy zawołali, ledwo zdołaliśmy dać radę. W końcu jednak, gdy mimo oporu położyliśmy ją, a pokój nieco oczyściwszy, i zabrawszy noże, oddaliliśmy się, zdawała się trochę spokojniejsza, zawołała na Anielę, żeby jej wody do picia podała; lecz wzięwszy szklankę do ręki, wstrząsła się, i oddała, mówiąc, że już niechce; zwyczajnie, jak waryatka! Teraz drzwi podług rozkazu pani hrabiny na klucz zamknięte; przed odejściem od nich posłuchałem trochę, co tam nowego wyrabiać będzie; leżała spokojnie, jak gdyby usnąć miała.«

Helena istotnie w ataku nerwowym dostała tego rodzaju płaczu, czyli krzyku serdecznego, koniec zwykle tego cierpienia zwiastujący; lecz ujrzawszy służalców macochy, pewną była, że przychodzą jej ostatnią godzinę przyspieszyć, tém bardziej, gdy ją na ręce wziąć chcieli; broniła się z siłą rozpacz; wszystko to, ró-

wnie, jak i słowa o wyrzeczeniu się posagu, o truciznie, wstręt i nagła obawa, gdy już wodę do ust niosła, byłoby jasne dla światłego, lub tylko dla bezstronnego świadka.

Matylda także w tém opowiadaniu dość dokładnie grunt rzeczy pojęła; zrozumiała, jakie jój ostrożności środki brać należy, i ztąd surowość więzienia Heleny się zwiększyła.

Po tych scenach liczne, a wraz z nowemi i szczególniejszemi wypadkami, z ust do ust w zamku przechodzących, młoda hrabina u najniewierniejszych została za waryatkę uznaną. Stary Józef nawet najczęściej przed tém stronę jój trzymający, przestał bronić nieszczęśliwój.

Ciągle zamknięta, przysyłano jój dwa razy na dzień jedzenie, już nie z porządnym zasłaniem, jak pierwszego razu, lecz w koszyku w pokrajanych częściach, bez nożów, przez kuchenną pomywaczkę. Ta niedawno ze wsi wzięta, odznaczała się głupotą, i mówiła tylko swój południowój

provincyi mową, dla wielu nawet Francuzów niezrozumiała.

Poleconém miała sobie, by postawiwszy koszyk i główniejsze usługi odbywszy, co prędzej odchodziła; co tém ściślej dopełniała biedna dziewczyna, iż w przekonaniu o waryacyi, do szaleństwa nieco zbliżonej młodej hrabiny, z największym strachem i po długich codziennych namowach, przychodziło jój obowiązki swe pełnić. Gdy ukończyła, dawała znak, zasztukaniem we drzwi, kurytarzowe; niewidoma ręka je otwierała, i na powrót je zamykała natychmiast, nie tylko na zamek, lecz na grube zasówki, później dla większej pewności dodane.

Ile wszyscy byli najsilniej przekonani o jój obłąkaniu, tyle Helena wierzyła w zaprzysiężoną śmierć swoją. Z rana przebudzała się z zadziwieniem, że jeszcze otwiera oczy, wieczór szła do spoczynku żegnając się z tym światem. Długi czas nawet chlebem tylko żyła, odmawiając sobie pokarmów z obawy trucizny.

Ztąd w początku wszystkie zmiany, jakie w koło siebie widziała, i codziennie zwiększająca się surowość były jój obojętnemi. Później, gdy zaczęła wstępować w jój duszę nadzieja, że jój życia nie odbiorą, wszelkie doznawane przykrości, w porównaniu z pierwszą jój ciągłą i okropną trwogą znośniejszemi jój się zdawały.

Jednak, po tych rozmaitych przejściach, z zimną krwią zastanowiwszy się nad swą niesłychaną niedolą, zaczęła o wyswobodzeniu przemyślać.

Na listy Betty poruczonych już bynajmniej nie liczyła, od dawna losu ich się domyślając. Innych nie było sposobności przesłania, chyba za czyjś pośrednictwem. Przyszła jój myśl przekupstwa. Widując tylko ową pomywaczkę, na nię, lubo z wielką ostrożnością zaczęła swą próbę. Lecz wkrótce się przekonała, iż niepodobieństwo zrozumienia się wzajemnego, ani mową, ani giestami, nieprzełamaną stawiało przeszkodę; a niezmierne ograniczenie téj dziewczyny, gdyby ją na-

wet ku sobie skłonić zdołała, dalekoby jej prędzej szkodzić, niż jaką bądź pomoc przynieść mogło.

Przeszła następnie do chęci ucieczki. Drzwiami nie było podobieństwa. Gdyby je i przebyć potrafiła, w pierwszymby ją schwytano przedpokoju, lub dziedzińcu, i jeszcze lepiej później zamknięto, może w jakim podziemnym lochu.

Oknem, chociaż na piętrze mieszkała, mogłaby w nocy, po uwiązanych prześcieradłach, z narażeniem wprawdzie ręki, lub nogi, spuścić się w głąb rowu, na kamienie, błotnistą wodę, żaby i jaszczurki, ale jakże potem bez drabiny wydobyć się na brzeg przeciwny, dość wysokim opasany murem?

Tak niemając gdzie swych oprzeć nadziei, opuściła zupełnie ręce, poruczając się jedynie opatrności boskiej. Żyła jakiś czas od dnia do dnia, mniemając niekiedy, że ojciec pozbawiony wszelkich od niej wiadomości, przyjedzie w końcu dowiedzieć się, co się z nią dzieje. Lękała się

tylko, żeby go jakimi pozornymi nie zbyto kłamstwami, czego, znając Matyldę, można się było spodziewać.

Ale ten ojciec zajęty handlem, tysiącami materyalnych interessów od ojcowskiej odwiedziony czułości, ani zwrócił myśli w stronę, gdzie jego córkę więziono!

Ciągle w jedném kole swe obracając myśli, domysliła się w końcu i tego biedna Helena; a od wszystkich widząc się opuszczoną, i już na żadną ludzką pomoc nie licząc, postanowiła wszelkich, jakie się jeszcze przemyślić dadzą, próbować środków, i szukać ratunku w saméj sobie, lub przyjaznym trafie.

Od dawna jéj papier i atrament odebrano dla pozbawienia sposobności wszelkiej korespondencyi; lecz przypomniła, że w szkatułce podróźnej, od przyjazdu do zamku w kącie zapomnianej, gdyż w drodze jéj tylko służyć zwykła, miała zapas materyałów piśmiennych.

Napisała więc kilka listów do ojca, drugie tyle do brata, i zapieczętowane, nale-

życie zapisane, codziennie jeden z nich ci-
skała oknem; w nadziei, że może jaka-
kolwiek litościwa ręka zanieśie na pocztę.
Gdyby zaś kto ciekawością zdięty, znalazł-
szy list jój położenie opisujący, otworzył
go i przeczytał, i w tém jeszcze jakiejś
pomocy litością wywołanej kładła na-
dzieje. Była wprawdzie obok tego oba-
wa, aby który z pałacowych ludzi go nie
zobaczył, a odniosłszy Matyldzie, nowych
srogości nie sprowadził na nią; ale jako
mówią, tonący brzytwy się chwyta!

Długi czas próby te ciągle powtarzane,
żadnego nie otrzymywały skutku. Kilka
z tych listów w rowie utonęło; szczęściem,
że błotnista woda tajemnicę ich pokryła.
Wprawniejsza później Heleny ręka, na
drugę stronę muru przerzucać je zdołała.
Za tym murem, chrustem i wysoką po-
krzywą obrosłym, szła poboczna i mało
uczęszczana droga. Na podróżujących tą
drożyną, całe polegały nadzieje nieszczę-
śliwej wołającej o pomoc..... ale widać,
że rzucane listy musiały w zarośle wpadać,

bo mimo zwróconej w tę stronę uwagi, nigdy nie dostrzegła Helena, żeby kto z mijających zatrzymał się, lub co podnosił.

Zdarzyło się razu jednego, że list na samym wierzchu murku się zatrzymał. Odwrócony stroną zapieczętowaną, dużą lakową pieczętką, świecił się zdaleka, tak, że biedna Helena ciągle drżała, żeby go z pałacu nie postrzeżono. Rzuciła go przy zmroku, bo tę godzinę, jak najstósowniejszą, zwykle obierała; lecz drugiego ranka, gdy promienie słońca padły na tę białą kopertę z czerwoną pieczętką w środku, zdawało jej się rzeczą niepodobną, żeby z piętrowych okien ją nie zobaczono.

W największej niespokojności, i już przebiegając w myśli wszelkie smutne tego wykrycia następstwa, stała w oknie błagając nieba, o wiatr, deszcz, burzę, kiedy spostrzegła idącego drogą podróżnego. Ze szczątków zużywanego munduru, zdawał się to stary żołnierz. Mijając zamek zwrócił na niego oczy; w otwartém oknie ujrzał kobietę, chustką dającą mu znaki.

Zbliżył się do muru, dla lepszego przy patrzenia się. Helena mu natenazas jeszcze dokładniejszymi znakami wskazała list, a składając, jak do modlitwy ręce, zdjęła kosztowny pierścień z palca, pamiątka ostatnia po matce (bo zabierając jój pieniądze i kosztowności, tę jedną jój zostawiono), a uwiązawszy do rogu przyrządzonej do tego chustki, rzuciła mu ją zręcznie.

Na téj chustce napisane było: »Zanieś list na pocztę.« *)

Żołnierz przeczytawszy, podniósł dwa palce do góry, jakby na znak przysięgi, że dopełni rozkazu, i list do kieszeni schował.

Helena padła na kolana, dziękując niebu za ochronę od tak blizkiego niebezpieczeństwa, jako i za zesłaną pomoc.

Spadającemu w bezdenną przepaść, krzaczek róży u brzegu, zdaje się już niechy-

*) W swém opowiadaniu pani Sirval mówiła, że na téj chustce, Helena krwią swoją była polecenie listu napisała, ja jednak nierozumiejąc, pocoby krwi potrzeba tam, gdzie był atrament, opuściłam ten szczegół.

bnym sposobem ratunku, nieomylną podporą. Tak téż i w duszy Heleny zajaśniał promień nadziei.

W kilka tygodni potém, ogromny zrobił się hałas w pałacu. Rubaszny Anglik listem córki o wszystkiém uwiadomiony, bez żadnej ceremonii przyjechał ją odebrać.

Nie zważając na kłamliwe tłumaczenia, nad wyraz pomieszanej w tym momencie Matyldy, i nie szczędząc jój słów dobitnych, oświadczył, że na wszystko się przygotował, choćby siły i gwałtu potrzeba było, do uwolnienia Heleny. Rozkazałszy pierwszemu lokajowi wskazać sobie pokój, czyli więzienie swój córki, wybił nogami drzwi od tak dawna zamknięte, a w miarę niecierpliwości jego nie dość mu prędko otworzone; a odebrawszy pozabierane kosztowności i inne główniejsze sprzęty, kazał jój wsiąść do swego pojazdu, i udał się do Paryża dla rozpoczęcia rozwodowego processu.

Rozwód w angielskim kościele daleko łatwiejszy, niż w naszym, tém mniej tru-

dności znalazł, że małżeństwo dokonane nie było.

Matylda przybiegła z Henrykiem dla obrony wspólnej sławy; dla rzućenia lepszego światła, niż te, w jakimby podobna okoliczność ich koniecznie wystawiła. Cały ten wypadek na obłąkanie swęj pasierbowej rzucić usiłując macocha, ofiarowała nań świadectwo wszystkich swych ludzi.

Jeżeli po dwóletniem więzieniu, rzuciwszy się w objęcia ojca, Helena w swęj radości niepostradała rozumu, dowodzi to najlepiej, że mimo dziwaczności ułożenia swego, żadnej w tym względzie obawy nawet mieć nie można było. Jednak, każda, nie powiem już namiętność, lecz każde gwałtowne uniesienie, wykraczające z granic ze wszech miar określonej i nędznej natury człowieka, tak go w istocie zbliża do tych, co często niewłaściwie zarozumiałe politowanie wzbudzają, że dziwić się niemożna, jeżeli Helena wówczas, nie mogąc ogarnąć całego szczęścia swego, płacząc i śmiejąc się zarazem, dla zimnych,

a tém bardziej uprzedzonych widzów, obłąkaną się wydała.

Oni téż w najlepszej wierze gotowość swą do przysięgi oświadczyli.

Helena zaś jedno tylko miała życzenie: jak najrychlejszego opuszczenia kraju, w którym tyle niegodziwości doznała, takim uległa nieszczęściom. A zabobonna wiedzona obawą, czy przecuciem, że gdyby w nim dłużej pozostała, nowaby ją mogła okropność jeszcze spotkać, wszystko na siebie przyjąć zezwoliła, błagając ojca, by już obojętny na sławę jej umysłu, co prędzej ją do Anglii wywiózł.

Przystał na to Anglik, uczyniwszy wprzód kroki do odzyskania posagowej summy. *)

VIII.

(Macocho i matka.)

Takim sposobem Helena, została uznana w całym Paryżu i ogłoszona za waryatkę. Matylda zaś widząc z tryumfem sławę

*) Pani Vortal poszła powtórnie za mąż i teraz we Włoszech z mężem bawi.

domu od wszelkiego wolną zarzutu, zaczęła przemyślać, jakby ochronić majątek od niezawodnej zguby, gdy przyjdzie do zwrotu summy posagowej, już dawnymi pochłoniętej długami.

Lecz ani hrabina, ani pan Darto do podobnych narad zawsze przywoływany, nic nowego przemyśleć nie zdołali. Wiedzieli oni oboje, że jedynie Angielki pieniędzmi, obroniono się od wierzycieli grożących zabranieniem majątności Vortal. Teraz sprzedawszy ją nawet, nie byłaby dostateczną do podniesienia wszystkich swych ciężarów; trzeba by w to i dom paryzki wcielić, i jeszczeby długi zostały, a długi bez odpowiedzialności do więzienia prowadzą.

W tej ostateczności, nic innego nie zostawało, jak szukania nowego posagu, i to nie tracąc czasu, tak, żeby nim Anglika pretensyą zaspokoić. Ale obok trudności wynalezienia go na prędce, Matylda inną jeszcze przewidywała: przełamanie wstrętu Henryka, do powtórnego, podobnego pierwszemu oszukaństwa.

— »Jaka szkoda,« rzekł Darto, »że moją radę przed dwoma laty odrzucono. Gdyby pan Henryk, zamiast téj waryatki, był margrabiankę Monnival poślubił, i posag byłby wziął piękny, i jużby dotąd był wolny od więzów małżeńskich tyle mu niemiłych, bo margrabianka przed rokiem umarła.«

— »Jakto, panna Monnival umarła? i Henryk byłby wdowcem!« zawołała czuła macocha téj myśli samęj się uśmiechając. »Prawda, że szkoda, iż jój nie poślubił, ale któż się tego mógł spodziewać!«

— »Młodsza córka pani Monnival byłaby do wzięcia,« dodał Darto; ta spadkiem po siostrze dwa razy bogatszą będzie; ale to jeszcze dziecko: wątpię, żeby matka zezwoliła tak ją młodo wydać za mąż. Trzebaby czekać, a my czekać nie możemy. Do tego już tam muszą być jakieś ułożone dla niój projekta, bo przy takim posagu niema potrzeby spuszczenia się na przypadek.«

— »Możnaby jednak pomyśleć o tém, dowiedzieć się, przekonać,« odrzekła pani Vortal. Waćpan bądź łaskaw przygotować nieco Henryka; przedstawić mu, jaka nas nieodzownie czeka przyszłość, gdyby się opierał powtórnemu ożenieniu; pokaż mu z jednej strony nędzę ostatnią, hańbę dla siebie i nazwiska, bo może przyszłoby w więzieniu skończyć; a z drugiej życie swobodne, jakieśmy dotąd wiedli i wszelkie jego korzyści. Nie nadmieniam mu ani słowa o pannie Monnival; byłoby to zawcześnie: ja się tym czasem dowiem, czy możemy w tę stronę widoki nasze obrócić.«

Darto natychmiast udał się do Henryka; znalazł go samego przy kominku z cygarem w ustach.

Takby mógł codzien, w każdej chwili go zastać.

Henryk był w tym stanie duszy, co to przez wielkie przeszedłszy koleje cierpienia, czuje już tylko zmęczenie i niemoc. Wdzięki Paryża nie miały żadnego w jego oczach uroku. Unikał nawet ludzi, nie,

żeby ich niecierpiał, lecz raczej, jakby się obawiał napotkać wzrok przenikliwy, zdolny przejrzeć w jego przeszłość, pojąć stan duszy jego, odgadnąć pod jakim on oddycha jarzmem, jakimi się związał pętami, jaką i komu zaprzysiągł wierność, i jaką sobie przyszłość osnował.

Pan Darto w takiem go znalazłszy usposobieniu, nie wiedział zrazu, jak do rzeczy przystąpić; lecz po kilku próbach, widząc, że każda rozmowa na pierwszym się kończy słowie, zniechęcony tą oziębłością, którą za nieobyčajność względem siebie poczytywał, umyślił bez żadnej ogródki, a nawet nie szczędząc słów prawdy, poręczony sobie interes rozwinąć.

Gorące i ostre biorąc więc farby, do obrazu téj przyszłości, którą miał zastraszyć, przechodząc następnie do jedynego sposobu ratowania się, mówił długo i zwięźle, jak każdy przekonany i wierzący w bronioną sprawę; mówił bez przestanku..... bo pan Vortal téj całej mowy żadną odpowiedzią, tych wszystkich dowo-

dzeń, żadną uwagą nieprzerwał. Ani się zgodził, ani zaprzeczył niczemu: Słuchał, plując czasem w komin, niewiadomo, czy wyrazem wzgardy wiedziony, czyli jedynie, jakto zwykle się czyni przy cygarze.

Skończywszy, poczekał jeszcze chwilę zasapany mowca, by w twarzy słuchacza wyczytać wrażenie swemi sprawione słowami, a z odpowiedzi o skutku ich wności. Lecz, ani bladość twarzy hrabiego, żadnym się nie pokryła rumieńcem, ani żadne słowo nieprzyszło zdradzić, co ta bladość pokrywała.

Oburzony Darto, skłonił się do pożegnania.

Henryk oddawszy mu ukłon, grzecznie go w milczeniu do drzwi odprowadził: lecz wróciwszy, do komina rzucił cygaro, z głębokiem westchnieniem obu rękami oczy przykrywając, jak człowiek skazany, z przekonaniem, że śmierci ująć nie może, odwraca jeszcze spojrzenia od przygotowanego stosu, lub miecza.

Tym czasem, macocha, zmyśliwszy jakiś interes, udała się do Versalu, gdzie od dawna mieszkała wdowa po margrabi Monnival.

Za życia starego hrabiego, pani Monnival, z powodu ułożonego związku starszej córki z Henrykiem bywała w domu jego, i tym sposobem widywała czasem Matyldę. Później stosunki ich zupełnie ustaly: Margrabina przeniosła się do Versalu, już dla lepszego powietrza zalecanego téjże córce, już dla ukrycia coraz bardziej wzmagającej się jój choroby piersiowej. Mniemała, że słabość ta, dzieciom często w spadku przesyłana, mogłaby odstraszyć Henryka, a w nadziei, że ją sztuką biegłych lekarzy pokona, wolała ją zataić. W tym celu czuła ta matka, jak najspokojniejsze wiodła życie, wszystkie godziny poświęcając jedynie czuwaniu nad zdrowiem i wychowaniem ukochanej córki.

Gdy mimo tych starań, stan jój zdrowia, coraz mniej zostawiał nadziei, su-

miennym skrupułem wiedzioną pani Monnival, chciała uprzedzić o tém pana Vortal, zostawując mu wolność postąpienia według własnej woli. Krok ten przykry dla matki, co dzień, z dnia do dnia odkładany, stał się niepotrzebnym, gdy wiadomość o ożenieniu Henryka doszła do Versalu.

Dowiedziawszy się o niém margrabina, znalazła, iżby jej byli powinni wprzód jakieś uczynić oświadczenie; lecz w przekonaniu, że znajomość stanu zdrowia jego narzeczonej, jedyną była téj zmiany hrabiego Vortal przyczyną, przebaczyła mu tę mimowolną winę, i tém łatwiej mu ją zapomniała, iż zwykle obok wielkich boleści duszy, małe światowe względy zupełnie znikają z oczu.

Pani Monnival, co dzień patrząc na gaśnące swe dziecię, w rok potém je utraciła.

Czuła poniekąd pani Vortal uchybienie Henryka względem domu tego, i już z właściwą sobie bezczelnością, tysiące była bajek ułożyła na wytłómaczenie swego pa-

sierba. Lecz znalazłszy Margrabinę w wielkim jeszcze pogrążoną smutku, zaczęła naturalnie od słów pociechy, a z kilku pierwszych odpowiedzi pomiarkowawszy o stanie rzeczy i wpadłszy na dobry tor, już się jego stale trzymała.

— »Wiedzieliśmy doskonale,« rzekła, »jakiem nieszczęściem pani zagrożona byłaś, i wyznaję, że bolejąc nad nią, nie mieliśmy odwagi, ani brać w nim udziału osobistego, ani téż, gdy dla Henryka ożenienia wybiła godzina, objawić jój smutny powód zmiany pierwszego obu rodzin postanowienia. Nie uczynił wszakże tego mój pasierb bez największego wstrętu: wiedział, że związek ten był życzeniem matki i ojca jego, a wola rodziców, dotąd jest dla niego najświętszą. Z czułością także wspomina, jak nieboszczyk pan margrabia nazywał go swym synem, obdarzając go podarkami, tak miłemi w wieku dziecinnym.«

— »W saméj rzeczy,« przerwała pani Monnival, nie domyślając się, do czego to

wszystko zmierza, »mąż mój, jak najmocniej sobie połączenia tego życzył. Nieprzewidywał, jaki i jak rychły koniec, niešťczęśliwą córkę jego czekał. Zerwanie związków naszych, tém mi jest boleśniej-
sze, iż on taką do nich przywiązywał nadzieję.«

— »Jeźcliby to połączenie i twym od-
powiadało chęciom,« odrzekła Matylda,
»może jeszcze teraz dałoby się to usku-
tecznić. Zapewne wiadomém jęj, jak nie-
słychana, a równie nieszczęśliwa okoli-
czność, wróciła Henrykowi wolność. Pani
masz drugą córkę, która już dorastać
musi.....«

— »Słyszałam istotnie,« przerwie mar-
grabina, że jakaś umysłowa słabość....«

— »To było więcęj, niż waryacya; było
to coś, do szaleństwa podobnego; tak, że
w końcu byliśmy czasem zmuszeni do
smutnej ostateczności zamykania choręj
na klucz.«

Tu hrabina tysiące bajek ustrojonych
w pióra prawdy, to śmiesznie i dowcipnie,

to z rozczuleniem, obszernie opowiadać zaczęła o wszystkich szaleństwach Heleny. Rozwodziła się ze zdumieniem, jakto doskonale przed ślubem wszystko ukryć zdołano. — »Nie bez tego,« rzekła, »żebyśmy się nie spostrzegli, że w niej coś nie-naturalnego przebija, ale któżby się mógł spodziewać, lub domyśleć, czém ta nienaturalność grozi! Henryk dotąd jeszcze nie może przyjść do siebie po tym ciosie. Wypadek ten przygnębił, że tak powiem, moralność jego. To tak dobre i czułe serce, już było się szczerze do téj kobiety przywiązywać zaczęło! upatrywał w niej towarzyszkę swéj całej przyszłości, matkę potomstwa swego!... I taki później zawód w tych wszystkich uczuciach i nadziejach napotkać, nie jestże to okrutnie? — każdy to łatwo pojmie: i pani, gdybyś widziała swego byłego, lub może jeśli zechcesz, przyszłego swego zięcia, w tak głębokim jeszcze pogrążonego smutku, litośby cię wzruszyła, i nie opierałabyś się przynieść mu pociechy, młodszą mu córkę oddając.«

— »Ja zapewne przeciw temu związkowi nic nie mam. Uważałbym go nawet mogła, jako dopełnienie życzeń mego męża; ale wiek córki mojej nakazałby zwłokę, a pan Henryk może czekać nie życzyłby sobie. Zuzanka przed dwoma miesiącami ukończyła zaledwo rok czternaśty, a powierzchowność jej tak dziecinna, że nawet tyleby jej nikt nie liczył.«

— »Powierzchowność,« odrzekła hrabina, »w młodej dziewczynie, codzień się rozwija. Każda, można mówić godzina, ogromną przynosi zmianę, a prawo kilka miesięcy zwłoki tylkoby nakazywało, gdyż w piętnastu latach za mąż pójście jest dozwolone. Wreszcie piękna to wada, zbytek młodości; i Henryk i każdy mężczyzna łatwo ją przebaczy. Na nieszczęście zbyt prędko z niej się poprawiamy!«

— »Sama pani hrabina osądzisz, spojrzawszy na moją Zuzankę, czy można dla niej o czém inném, jak o lekcyach i o lalce myśleć.«

To mówiąc, zadzwoniła pani Monnival, i kazała córkę zawołać, gdy lekcją rysunku ukończy.

W kwandrans potém przyszła Zuzanka.

Była to mała i chuda dziewczynka, dość niezgrabna w ruchach, którym nadzwyczajna nieśmiałość, jeszcze niezgrabności dodawała. O figurze jój wróżyć nie można było, bo ani wzrost niebył jeszcze zupełny, ani formy żadnego kształtu niebyły jeszcze nabrały. Twarz biała i blada, lecz za każdym rumieniąca się słowem, kryła się w obfitych pierścieniach jasnych włosów na wszystkie spadających strony. Z pod nich wyglądały duże niebieskie oczy, wyrazu ujmującego, pełne czułości potrzeby kochania, pełne obawy przyszłości i świata. Słowem, było to miłe dziecko, któremoby najwięcej dwanaście lat liczyć można.

Hrabina ją pogłaskała po twarzy, a usuwawszy spływające nań włosy, zapytała, czy pamięta, jak przed kilku laty, za życia starego hrabiego, będąc u nich na obie-

dzie, siedziała u niej na kolanach i obrywała róże z jej bukietu?

Zuzanka zwykle nieśmiała, tą razą, jakby rodzajem trwogi ogarnięta, nie potrafiła się zdobyć na żadną odpowiedź. Zadrzała mimowolnie pod dotknięciem Matyldy, zmyśliła na prędcę jakiś interes, a powiedziawszy go z cicha i niewyraźnie matce do ucha, co prędej uciekła.

— »Niech się pani hrabina dzikości tego dziecka nie dziwi,« rzekła pani Monnival nieco zawstydzona tą nieobyczajnością córki. »Już to z natury nieśmiała, cienia swego lękać się zdawało; wychowanie jej domowe, i życie nasze zupełnie samotne, w tych murach ukryte, nie mogło przełamać w niej tej wady.«

— »Wadą zwać tego nie należy,« odpowie Matylda, »często w młodym wieku, ta ujmująca nieśmiałość, wdzięku dodaje, a w późniejszym niknie prędej, lub później. Wreszcie mój syn, zupełnie miał podobne ułożenie, gdy z dziecka w mężczyznę przechodził. Będzie to więc po-

wodem sympatyi między nimi, bo i teraz już dwadzieścia dwa lat licząc, jeszcze pozostały w nim téj nieśmiałości ślady.«

Takim zwrotem Matylda, wracając do pierwszego projektu, do głównego celu zręcznie ujęła parę lat Henrykowi, z obawy, żeby różnica między jego, a Zuzanny wiekiem, nie stała się nową przeszkodą; a pani Monnival chcąc okazać nieskwapliwość swą do uchwycenia téj myśli, całkiem zajmującą hrabinę, jakby nie zważając na tę uwagę, dalej mówiła:

— »Zuzanka wielką jest faworytką stryja swego, pana Antoniego Monnival, lecz i on ją inaczej nie zowie, jak »*la petite sauvage*.« — Chciałam ją dla samego oswojenia z ludźmi oddać na pensyą; ale dawniej dla jej siostry metrów trzymając w domu (bo zdrowie mojej Klemencyi nie zezwalało na inne, jak domowe wychowanie) i ona z nich zarazem korzystała; teraz zaś po okrutnej mej stracie, w początku nadto mi bolesno było i z nią się także rozstawać, później tak mię czule

blagać poczęła, żem jeszcze to postanowienie nadal odłożyła.«

— »Jako? pani margrabina jeszcze o pensyi dla Zuzanny myślisz, kiedyby ona może bardziej świata i zabaw potrzebowała? i to w mojem mniemaniu najlepiejby ją z ludźmi oswoiło.«

— »Zapewne, że towarzystwo miałoby może wpływ na nią; lecz czas jeszcze do tego. Terazbym nawet nakłonić ją do niego niezdolała. Gdy ukończy lekcye, ogród najmilszą i prawie jedyną jej rozrywką. Sadzi kwiaty, sieje, kopie; na spacer nawet jaki publiczny namówić jej niemożna. Wreszcie i ja nie jestem teraz w światowém usposobieniu. Później, może, przeniosę się do Paryża.... Zobaczymy....«

Żle mi się tu wiedzie, pomyślała w duchu macocha: Margrabina wprawdzie nie zupełnie odmawia, ale chce oczywiście zmydlić propozycyą moją — Jednego słowa przyrzekającego wymówić się lęka; unika nawet cienia zobowiązania się — Jednak nie wygląda to kobieta z tém postanowie-

niem pewném, wytrwałém, przed którym ustąpić od razu należy. Owszém, zdaje się do tego wielkiego ogółu należeć niewiast, co to okolicznościami wiedzione, przypadkowi zostawują żagle swój przyszłości, a pod każdym wiatrem uginają głowę.

Takie dość trafne zrobiwszy postrzeżenie hrabina, nie ustępując z placu, odważnie rozmowę znów na Henryka zwróciła, i dodała w końcu, że woli w téj okoliczności być macochą, niż matką: — » Słyszac bowiem panią, przez macierzyńską skromność o wadach tylko córki mówiącą, innym zostawując pochwał głoszenie, ja,« rzekła, » z zupełną szczerotą mogę zalety Henryka wyjawiać; i dla przekonania jój z zupełną bezstronnością je widzę, proszę o pozwolenie przedstawienia go tu, którego bądź dnia, jaki się jój wybrać podoba.«

— » Dnia wybierać nie potrzebuję,« odrzekła margrabina, » dla mnie są wszystkie jednostajne. W każdym mi będzie przyjemnie odnowić znajomość syna, dawnego

przyjaciela domu mojego, tego, w którym przez tak długi czas zięcia widziałam.«

— »I w którym może jeszcze zięcia pani margrabina ujrzysz,« dodała Matylda, z miną przymilającą, jakby dla steepienia zuchwałości tych słów niczém nie upoważnionych.

Nic na to nieodpowiedziała gospodyni, i na tém milczeniu pożegnały się matka z macochą.

IX.

Z u z a n n a.

Koniec téj rozmowy, miał miejsce w ogrodzie.

Margrabina w odurzeniu téj nagłej propozycji tak niespodziewanie, tak natrętnie uczynionéj, żadnego jeszcze nie powziąwszy postanowienia, nie chciała bez gruntowniejszego namysłu objawić zdania, o które się dopominano; a nie czując skłonności do związku, prócz innych za-
wad, zawczesnym się jój zdającego, lękała

się, aby nie poznano téj nieprzychylności: słowem, chciała na ten raz przynajmniej nie dać się przeniknąć, i dla dania innego obrotu rozmowie, gościa swego zaprowadziła do ogrodu.

Wybieg ten, jak widzieliśmy, nic jój nie pomógł. Matylda, prawie wszystkiego od razu się domyśliła; i upierała się przy swoim.

Ale w tym ogrodzie, w gęsto zacienionym szpalerze, skryło się było spłoszone dziecko. Zuzanka wiedząc, iż w tę opuszczoną stronę, nigdy matka nie prowadzi gości, wzięwszy robotę tam z nią zasiadła, i całą słyszała rozmowę.

Zuzanna przezwana w rodzinie: *la petite sauvage*, bardziej w istocie była bojaźliwą, niż dziką. Może, gdyby od najpięwszej młodości pieszczona, a zarówno z innemi dziećmi swawoląc pod troskliwym i kochającym wzrokiem, byłaby nabrała śmiałości; lecz nie takie było pierwszych lat jój przeznaczenie.

Jak to najczęściej przy wielkim majątku bywa, oboje państwo Monnival pragnęli syna, a niebo ich samemi darzyło córkami. Margrabina rok po roku, trzy je na świat wydała. Dwie starsze niebawnie utraciła; na trzecią Klemencyą, całe ich przywiązanie się złoło.

Klemencya piękne i zdrowe dziecko, łagodne i nad wiek swój dowcipne, miała to wszystko, co rodzicielskiej próżności zwykle dogadza. Pieszczono też ją, strojono, i z uwielbieniem z kolan na kolana podawano.

Już lat pięć miała Klemencya, a gdy jéj rodzeństwa nie przybywało, ogłoszoną została całego majątku sukcesorką i jedną z najpierwszych w przyszłości partyi. Natenczas hrabia Vortal, zaproponował połączenie dwojga jedynaków: Henryka z Klemencyą; a w jedno, dwa ogromne zlewając majątki, najpiękniejszą dla potomstwa swego zapewnić przyszłość zamierzał.

Kiedy tak Klemencya przyrzeczoną została, jako jedynaczka, i już rodzice na-

wykli widzieć w niej sławę domu, jeżeli nie nazwiska, margrabina Monnival doniosła mężowi o nowój i już nie oczekiwanej nadziei dania mu syna. Nadzieja osiągnięcia tak długo i gorąco upragnionego szczęścia, usunęła z ich oczu, czyli raczej pokonała obawę, żeby ta zmiana nie wpłynęła na przyszłość Klemencyi, żeby hrabia Vortal nie mniemał się tym sposobem uwolniony od danego słowa.

Lecz w cóż się obróciły, wszystkie ludzkie tych rodziców marzenia, kiedy zamiast syna, urodziła się im, mała, nędzna córeczka, brzydka i żółtaczka pokryta?...

Z tym, że tak nazwę, błędem płci, przynosząc ona z sobą na świat zawód dla rodziców, dla siebie niechęć ich przyniosła, ten pierwszy zarodek nieszczęścia.

Nazwano ją Zuzanną.

Teraz dopiero i to nie ogólnie, zaczynają we Francyi brać mamki do domów. Dawniej najpierwsze damy odsyłały co prędzej na wieś niemowlę, którego trudne a niemiłe odchowanie, aż do lat

dwóch lub trzech, poruczano prostej wieśniaczce. *)

Tak się i z Zuzanką stało:

Mamka jej mieszkała koło Fontainebleau w lesie; dziecię swe była o kilkanaście mil do stariej ciotki odwiozła, gdzie je koziem mlekiem wykarmić miano; wkrótce ono umarło. Była to kobieta ostrego charakteru, niedbała i wielka złośnica. Zwyczajnie wraz z mężem na wielką część dnia za robotą wychodziła, zostawując Zuzankę samą. Gdy zaś oboje wracali do domu, zaczynały się kłótnie i hałas, a kiedy przestraszone dziecię płakało, bito je niemiłosiernie.

Wysłana z domu córka, uważana w nim była, jakby za niebyłą. Przez lat cztery,

*) Po rewolucyi, cesarz Napoleon przy wielu zmianach, chciał i ten zwyczaj płocho, nieprzyzwoity, poniekąd okrutny, zastąpić modą karmienia swych dzieci. Wówczas można było widzieć dworskie damy, co dla przypodobania się panu, pełniąc służbę u dworu, miały z sobą i karmiły swe niemowlęta. Teraz rozmaicie się dzieje. Widziałam po wsiach kobiety od kilkudziesięciu lat mamki z rzemiosła. Bezdziętne i bez pokarmu, brały po kilkoro dzieci i koziem, lub krowiém mlekiem je wykarmiały.

raz tylko do roku przy odsyłaniu umówionej zapłaty przypominano sobie o niej. Byliby tak ją dłużej jeszcze zapominali, gdyby nie śmierć kobiety, u której zostawała. Natenczas mąż jej niechcąc, jak mówił, dłużej tego kłopotu w domu, odwiózł ją do matki.

Jak w lesie, gdzie pierwsze dni spędziła, tak i w macierzyńskich progach, żaden uśmiech, żadna pieśczoła niespotkała biednej dzieciny. Ojciec jej właśnie był niedawno umarł, a suche spojrzenie pani Monnival, obok jej czarnej sukni, tak ją trwożą przerażały, że za każdym spotkaniem matki, z krzykiem i płaczem w pierwszy kąt się kryła, i tém jeszcze większą niełaske na siebie ściągała.

Nie lubiona od matki, poniewierana w domu, chowała się między służbą pod skrzydłami opatrzności boskiej, kiedy Klemencya, jedenasty wówczas rok licząca, nudząc się jednego wieczoru, wyciągnęła ją z jakiegoś kąta, by się z nią w miejscu porzuconej lalki zabawić. Rozmaitemi gałganami zaczęła ją stroić, potrącać i mu-

sztrować. Zasmakowała w téj zabawie, i odtąd Zuzanka stała się lalką Klemencyi.

Odtąd przywoływano ją do salonu, i przyzwoiciój utrzymywano, tak, by mogła towarzyszyć siostrze, gdzie się tylko téj podobało. Z takiego powodu i u hrabiego Vortal na obiedzie się znalazła, jak to przypomiwała Matylda, i ta w gruncie była przyczyna, dla którój zamiast oddania jój na pensyą, lub do klasztoru, zostawiono ją w domu.

Niechętnie wszakże pani Monnival ku temu starszój i ukochanój córki przychyliła się życzeniu. Widok Zuzanny zawsze ją bowiem złego humoru nabawiał. Ciągłe rumieniła się za niezgrabność, złe ułożenie, a najbardziej dzikość tego dziecka; a zawczasu wiedząc, że na żadne nie odpowie pytanie, i najczęściej wylękniona, zwłaszcza na widok obcej osoby, ucieknie z płaczem i skryje się, pośpieszała z doniesieniem, że to jest złe, najgłupsze z dzieci, jakie w życiu widziała, i drzwi jój wskazywała.

Nie byłyby to skuteczne środki do przyswojenia z natury może bojaźliwej dziewczynki, przez cztery pierwsze lata życia z lasem tylko obeznaną, złością i biciem mamki wystraszoną, a w domu obwołaną za głupią i złą.

Trudno przewidzieć, w co by się obróciła Zuzanka pod taką wzrastającą klątwą, gdyby w końcu nie znalazła w Klemency rodzeńskiej przychylności. Klemency wychodząc z lat dziecinnych, stała się jej protektorką, osłaniała ją swą opieką, zastępowała miejsce matki. Dla niej też serce Zuzanny pierwszy raz się otworzyło; pierwszy raz uczuło, co jest przywiązanie, i na nią zlało te skarby miłości, przed tém w głębi zewsząd odepchniętej i mówić można wygnanej na tę ziemię duszy, zagrzebane.

Kiedy choroba tej ubóstwianej siostry, coraz surowszy charakter przybierać poczęła, niebyło poświęcenia, któreby niezdawało się miłym dla nieszczęśliwej Zuzanny. Mimo jej niewytrawionego wieku, pani Monnival z największą spokojnością

spuścić się na nią mogła, w dopełnianiu wszelkich kuracyi przepisów; a liczne wówczas spędzone bezsenne nocy, zapewne nie mało się przyczyniły do opóźnienia wzrostu i rozwinięcia jęj kształtów.

Ze stratą Klemencyi rozumiała, że wszystko na tęg ziemi utracą. Uczuła, że już niemasz na nią istoty, co by na jęj westchnienie, westchnieniem odpowiedziała, uśmiechem na jęj uśmiech; na której łonie, głowę oprzeć mogła, i zlać te łyż bolesne tak często przepełniające jęj serce. Nikogo, komu by myśl swoją, wrażenie, lub uczucie objawić śmiała, w zaufaniu, że wysłuchaną i zrozumianą będzie, że ta myśl, to wrażenie, sprostowane rozważnie i łagodnie zostanie — Słowem, uczuła się samą na świecie — Ze wszystkich podobno to jest najboleśniej-sze uczucie! — W miarę jego, w miarę przywiązania, czci i uwielbienia, jakie Zuzanna niosła siostrze, w miarę winnej jęj wdzięczności, można wnosić o rozpaczy zgonem jęj wznieconej.

Lecz, jak wszystko w Zuzance, tak i jój rozpacz, była bojaźliwa, cicha, utajona. Pani Monnival z obrzmiałych tylko powiek, mogła czasem łzy jój zgadywać, a najczęściej o obojętność ze straty siostry ją obwiniała.

Łały się jednak te łzy obficie w cieniach nocy, lub w samotném ustroniu, gdzie wszelki przymus zrzucając z siebie, przymus i twogę przytomności matki, mogła im dać bieg zupełny, a sercu ulżyć cokolwiek.

Nieśmiałości, nienależy zapewne do wad liczyć, lecz częstokroć za nieszczęście uważaną być może. Osoba zbyt nieśmiała, nie tylko za ograniczoną najczęściej pochytywana, lecz i o oziębłość duszy puszczona, traci nadto wszelkie korzyści, jakie jój koleje losu nastreńczyć mogą.

Może, gdyby Zuzanna była wówczas swe łzy ze łzami matki połączyła, potok ich byłby przełamał lodowatą granicę, jaka ich rozdzielała; ale niczém nie zachęcona ku temu zbliżeniu, zkądżeby tyle

w sobie znalazła odwagi? — a tak matka, jak córka, wspólném przyciśnione nieszczęściem, każda osobno płakała.

Obwiniona o niewdzięczność względem siostry, i o nieczułość na zgon jej Zuzanna, liczyła jednak w oczach matki jedną zasługę: — iż niegdyś była Klemency protegowaną — a tak, jak wszystko, co po niej zostało, jak najmniejszy sprzęt jej pokoju, tak i tę biedną dziewczynę, jako pamiątkę w domu zachowano.

Może też pani Monnival, zastanawiając się nad swém nieszczęściem, wpadła na myśl, że w niém była kara niebios za różnicę położoną tak w sercu, jak w postępowaniu, między dwoma córkami; zwłaszcza, że choroba piersiowa Klemency, całkiem niespodzianie, wpośród największego zdrowia i czerstwości zjawiała się, wtenczas, kiedy już dano Zuzannie prawo na całą niesłuszność losu swego narzekać.

Tymi, lub innymi względami wiedziała pani Monnival, jakby przez zapomnie-

nie, zostawiła córce metrów, niegdyś na żądanie Klemencyi jój udzielonych, lub z nią wspólnych, i nie wspominała o dawnym zamiarze oddania jój do klasztoru, by się do zakonnego sposobu życia. Zuzanna przykładając się do nauk; lecz w przekonaniu, że matka odłożyła tylko wykonanie projektu swego względem jój przyszłości, mało z nich przyjemności nadal obiecywała sobie; odbywała lekcye raczej z posłuszeństwa, jak z zapалу, lub ochoty, w czém matka nową niedołężność upatrywała.

W takim położeniu, w takim usposobieniu umysłu i serca, to biedne było dziecko, kiedy ukryte w szpalerze, usłyszało, jak Matylda w najżywszych kolorach dobroć i wszystkie zalety Henryka opisywała; a malując smutek jego z ostatniego wypadku, jako żal i tęsknotę czułego serca, po chybionym związku, któremu całą przyszłość swoją z ufnością powierzała, wszelkiemi sposobami starała się współczucie dla niego obudzić.

Jeżeli z panią Monnival, nie zupełnie swego zamiaru dopięła hrabina, wrażenie sprawione na Zuzannie, miało czém ją zadowolić. W opisach tego tęsknego i samotnego serca, tyle widziała podobieństwa ze swoim, iż uczuła najmocniejszy ku niemu pociąg. Domyśliła się z kilku pierwszych słów, iż mowa była o Henryku Vortal, narzeczonym Klemencyi; lecz cóż się z nią stało, gdy z następnej rozmowy, pomiarkowała, że zamierzają go z nią połączyć!...

W początku nie dowierzała swym uszom; później, gdy rozmawiające panie się oddaliły, padła na kolana, dziękując z uniesieniem Bogu za zesłaną dla niej w przyszłości nadzieję.

Lecz w swém bojaźliwém życzeniu, nie śmiejąc jęj zaufać — » jak to, « rzekła w sobie, » i jabym znalazła nową rodzinę, gdzieby mnie nie poniżano, w którejby mnie nie wstydzono się? — gdziebym może przychylność dla siebie znalazła!... i mnieby wolno kochać... a może być ko-

chaną?... i serce moje jeszczeby raz doznało miłego uczucia?... o nie — to być nie może — nadto by to było szczęścia — moja matka pewno na ten związek nie zezwoli..... Może wreszcie miała słuszość, mówiąc, że ja za młoda!.... Ja, i za młoda, i do świata nie stworzona,« dodała później, spojrzawszy po sobie.

Na tém skończywszy chwilowe swe uniesienie, usunęła je z przed oczu, jako sen zwodniczy, którym niepotrzebnie się łudząc, trudniejby później do rzeczywistości wrócić; usunęła, czyli raczej usunąć pragnęła; bo myśl jój w samotności, żadnym wypadkiem nie odwrócona, z upodobaniem, lubo mimowolnie, wracała do Henryka — do jego dobroci — zalet — smutku — do pociech mu należnych..... W piętnastym roku podobne myśli bardzo trudne do pokonania!...

Gdy po tym ważnym w życiu Zuzanny wypadku, po téj rozmowie w ogrodzie, minęło kilka tygodni, a o Henryku, ani Matyldzie, nic niesłyszać było, Zuzanna

pamiętając, że macocha miała go przywieść niebawnie, potwierdziła się w mniemaniu, że jeśli nie słowne, to piśmienne musiała zapewne posłać im matka odmówienie.

Wnioski te były fałszywe: hrabina ciągle nalegała na Henryka i przekonywała go o potrzebie prędkiej bytności w Wersalu; lecz ten dowiedziawszy się o co rzecz chodzi, codziennie nowe wynajdował przychyny do zwlekania tej wizyty, nakoniec ogłosił się chorym i więcej tygodnia łóżka nie opuścił.

Zegar Ś. Marka wybił drugą. Na bramie posąg czasu także młotek podniosłszy, dwa razy w dzwon uderzył. Już się też i plac powoli wypróżniać poczynił, a ja niezupelnie od mego bólu głowy wolna, podałam myśl odłożenia reszty opowiadania do dnia następnego.



XI.

Ciąg dalszy.



Kilka jednak dni upłynęło, nim zdołaliśmy się powtórnie zebrać. Codzień ktoś z nas jakąś miał przeszkodę, a pani Sirval chciała mieć cały swych słuchaczy komplet. Ja tego czasu użyłam na ulokowanie się w nowém mieszkaniu przy wielkim kanale na przeciw akademii sztuk pięknych, które mi pani J....off łaskawie wynalazła, jako téż na zwiedzenie kilku ciekawości. Niechcąc atoli przerywać ciągu opowiadania pani Sirval, na później moje odłożę. Pani Sirval zaś, złapawszy jednego wieczora nas wszystkich, już nie na placu Ś. Marka,

lecz w jadalnej sali po obiedzie, poprosiła, byśmy się nie rozpierzchli, pobiegła do siebie po swój heroiny przygotowane listy i już jednym tchem bez przerwy, bez odpoczynku, ani limonady, do samego końca swą dociągnęła powieść, jak następuje.

Część druga.

X.

Pan Antoni.

Kiedy tak Henryk chorował, czy udawał chorego, by cokolwiek czasu zyskać — zwykła ludzi słabych ucieczka — i w tej zwłoce nadzieję zmiany pokładał, kiedy Zuzanna jej się właśnie lękając, usiłowała przeniknąć powody tej zwłoki, przybył do Versalu stryj jej, pan Antoni Monnival.

Pan Antoni był już nie pierwszój młodości, bardziej jeszcze dokuczliwą poda-

grą, niż latami znękany. Co rok dla zdrowia jeździł do wód i wówczas bratową odwiedzał. Inaczéj, mało kto go widywał. Mieszkał na prowincyi, sam jeden, bo był beżżennym; najczęściej w dobrym humorze: a kiedy chwile cierpienia minęły, trudno było wyrównać jego rubasznój wesołości. Za życia nawet Klemencyi, okazywał zawsze wielką przychylność dla Zuzanny i ogłosił się jéj opiekunem.

— »A cóż, kochana bratowo,« rzekł w parę minut po przywitaniu, »jużby czas tym łzom tamę położyć. Nieszczęście twe jest wielkie — ogromne — nikt temu nie przeczy — ale łzy już mu nic nie pomogą. Wreszcie, zostawiło ci niebo jeszcze jedną córkę — o niej teraz myśleć pierwszym jest obowiązkiem. Póki miała siostrę, której los był do majątku przywiązany, ponieważ można było lękać się zmiany ze strony hrabiego Vortal, gdyby do podziału przyszło, nic nie miałem przeciw zamiarowi oddania jéj do klasztoru, zwłaszcza jeśli, jak mówiłaś, istotne miała



powołanie. Lecz teraz byłoby to niedorzecznością. Zuzanka wprowadzie młodą — ale panny zwykle w jednym dniu rozkwitają i więdną — nigdy z niemi do jutra odkładać nie należy.«

Tu margrabina opowiedziała wizytę i projekt pani Vortal, dodając w końcu, że musiała i ona znaleźć Zuzannę, zbyt wielkiem dzieckiem, lub z innego jakiegoś względu nie odpowiadającą jój widokom, kiedy mimo przyrzeczenia nie przywiozła pasierba, ani się sama więcej nie pokazała,

— »Może téż,« odrzekł pan Antoni, »zrażona złém przyjęciem, gdzie indziej się udała — źle, bardzo źle zrobiłaś, pani bratowo, opuszczając tak piękną partya. Może się drugi raz podobna nie trafi. Hrabia Vortal, nie jest już wprowadzie tém, co dawniej. Słyszałem ja coś o jakimś przegranym processie z młodszą linią Vortalów, która uskubnęła mu kawałek majątku. Podobno i pani macocha cokolwiek go nadszarzała; ale posag Zuzanki łatwo to wszystko naprawi. Wreszcie i ja kiedyś



się dotąd nie ożenił, to mam nadzieję, że tego szaleństwa na starość nie zrobię, a za-
tém Zuzanka mój spadek zabierze i inte-
resa męża będzie miała czém na dawnéj
postawić stopie. Tak, tak pani bratowo,
pan Vortal piękną jest zawsze partyą; a je-
śli Zuzanka za młoda, ręczę, iż bez przy-
rzeczenia nawet, z téj wady się poprawi,
prędzej może, niżby jój mąż życzył sobie.
— Cóż ty na to moja synowico?.... »

Biedna dziewczyna, przytomna téj roz-
mowie, cała zapłoniona i pomięszana,
z oczami w krosienka spuszczone, zu-
pełnie w przeciwną stronę ściegi naszy-
wała, a do licznych jój w téj chwili mę-
czarni, łączyła się obawa, by nie posły-
szano gwałtownego bicia jój serca, które,
jakby wyskoczyć chciało.

Na ostatnie zapytanie stryja sama nie
wiedząc co czyni, zerwała się raptownie
i pocałowała z uniesieniem podaną sobie
rękę.

Pan Antoni uczuł gorącą łzę na ręce;
a ocierając ją tak, żeby bratowa niepo-
strzegła, — »biedne to,« pomyślał dziecię,

»Iza chyba uczucie jęj objawi, bo słowo krzepnie z obawy na ustach!«

Dnia następnego, kiedy czuły stryj, przekonywając się w każdym kroku, w każdym słowie margrabiny, że czas żadnej zmiany w jęj sercu dla córki nie przynosi i przemyślał o sposobie wydobycia jęj z macierzyńskiej opieki, osłodzenia jęj przyszłości, usłyszano z wielkim hałasem zajeżdżający przed ganek piękny czworo-konny ekwipaż. Pani Vortal kazała go na prędce urządzić dla pokazania, że u nich wszystko po dawnemu, i przywiozła pasierba.

Niespodziewani ci goście, znaleźli jeszcze pana Antoniego; lecz mimo nadskakiwania jego i wesołości, ta całkiem etykietałna wizyta nikomu nie zdawała się miłą.

Gospodyni, miała coś przymuszonego w swych cedzonych słowach, i jakby tylko przez uległość dla brata, ceremonjalną okazywała grzeczność. Ten zaś wysadzał się na nią, usiłując swą uprzejmością zapełnić niedomiar uprzejmości bratowej.

Henryk był milczący, smutny, roztrągniony. Albo nic nie mówił, lub niechętnie do rozmowy należał. Bładość jego i smutek ciągle były tematem dla macochy, która w pierwszym kwadransie ze dwadzieścia razy powtórzyła, że słabość jego była jedyną przyczyną opóźnionej wizyty; a ustawnie swe w téj mierze rozwodząc żale, dowodziła, że on jeszcze mocno cierpiący, i jedynie przez chęć złożenia w Wersalu uszanowania swego, zmusił się do opuszczenia łóżka. Tak mniemała zarazem tłómaczyć oziębłość pasierba i usuwać posądzenie, że odnawianie ekwipażu i liberyi, mogło być téj zwłoki przyczyną.

Słowem, w téj wizycie Matylda najwięcej mówiła, bo intrygantki zwykle dużo mówią. Czasem przybierając pewnej poufałości pozór, szeptała do ucha margrabinie, wskazując smutek Henryka, jako żal pozostały z tak okropnie zerwanego małżeństwa. Później równie tajemnie, też same postrzeżenia udzielała panu Anto-

niemu. Potém znów zwracając się do Zuzanny, chwaliła jój płeć białą, unosiła się nad pięknością jasnych jój włosów; znajdowała tylko, że jużby czas je podnieść i w uploty na wierzchu głowy zebrać, a nie tak po dziecinnemu dać im na ramiona spadać. — Zuzanna bardziej zmęczona, niż kiedykolwiek, nie śmiała oczu podnieść, własnego lękała się oddechu. Siedziała, jak przykuta do swego stołka; a gdy jój poruszyć się przyszło, pewno jaką popełniła niezgrabność. Nikt jój głosu nie usłyszał; na pytanie hrabiny, całą jój odpowiedzą tak, lub nie. Przy herbacie wszystko rozlewała, przewracała, upuszczała, tłukła; co bynajmniej nie łagodziło kwaśnego wyrazu jój matki. Gdyby nie przytomność stryja, byłaby oddawna ją z salonu wyprowadziła; teraz ramionami tylko ścisłała, nie mogąc poskromić w sobie zbyt jawnego nieukontentowania.

Ku końcowi wizyty, pan Antoni, zręcznie niby wśliznął w rozmowę, że Zuzanka jest wielką faworytą jego, a później

będzie jego sukcesorką, a gdy się już do pożegnania zabierano, potrącił w łokieć bratową, szepcząc jój, żeby téż na obiad zaprosiła swych gości na dzień następny.

Zaprosiła więc margrabina Matyldę i Henryka, ale chcąc sobie nieco wypoczynku udzielić, i mniej cokolwiek ścisłe stósunki zawierać, aż za dni kilka, dzień obiadowy oznaczyła.

Hrabina się obiecała — a pan Monnival ubolewał, że pora wód zmuszająca go do dalszej podróży, pozbawi go przyjemności ich towarzystwa.

Obiadowa bytność, jak i następne, podobną pierwszój nosiły cechę. Zawsze jakiś przymus we wszystkich się dawał spostrzegać. Jedną tylko Zuzanna coraz droższe z tych wizyt unosiła wspomnienie. Wiodok bladój twarzy, smutnego spojrzenia Henryka, ogarniał, przenikał jój serce. Postać jego przechodziła wszelkie jój poprzednie marzenia i ciąglém nieodstępném stała się nadal jój marzeniem.

Spostrzegł Henryk wrażenie, jakie mimowolnie na téj dziewiczej sprawił duszy; przeniknął ją w jęj tajemném milczeniu; odgadł wyraz spuszczonego oczu, pod długą ukrytych powieką... Zatrwożył się i westchnął... Westchnął nad nią — westchnął nad sobą — bo nieszczęście jego było w księgach przeznaczenia zapisane — bo czuł, że się z niego podźwignąć nie może, i że musi w tę przepaść pociągnąć wszystko, co się w jego obrębie znajdzie.

Litością zdjęty zaprzysiął sobie wszystko czynić, co tylko w jego mocy będzie, dla oswobodzenia niewinnego dziecka, od przekleństwa ciężącego nad nim — tak jest — przekleństwa — gdyż w bogobojném przekonaniu Henryka, ponosił on karę za rozwiązłość poprzedzającą swe ożenienie, za nieszanowanie w osobie macochy, byłej żony ojca, i był pewnym, że aż do zupełnego jęj spełnienia, usunąć się z pod niej nie potrafi.

Nieraz napomyskał hrabinie, iż zabiegi jęj są daremne; że panna Monnival z je-

dnój strony zbyt jest jeszcze dzieckiem, a zwłoka nakazana jój wiekiem, będzie przeszkodą do związku mającego na celu wydzwignienie majątku; z drugiej, że widzi do niego w matce oczywistą niechęć.

Lecz macocha, ani słyszeć o tém nie chciała: wszelkich używała sposobów do uzyskania cokolwiek czasu w terminie zwrotu Anglikowi posagowej summy, zawoziła do Wersalu przysmaczki, prezenta, i wszelkiemi sposobami pochlebiała margrabinie, bo już policya jój domowa cały stan położenia Zuzanny w domu wykryła.

Wiedziała już hrabina, że to dziecko od urodzenia niecierpiane, w największym było zaniedbaniu; wiedziała, jaką kładziono niegdyś różnicę między Klemencyą, a jój siostrą, raczej, jako służącą domową, niż, jako córkę uważaną; a to wszystko, obok zdwojonego śmiercią téj siostry posagu, jak najbardziej przypadało do nowych zamiarów przewrotnej intrygantki, i codzien utwierdzało jój posta-

nowienie, przełamania choćby największych przeszkód do osiągnięcia ich skutku.

Spostrzegłszy to Vortal, widział, iż próby jego z téj strony będą nadaremne i zmienił swój plan oporczy. Postanowił objawić pannie Monnival jęj przyszłość, tę okropną przyszłość, którą jasno widział i ciągle miał przed oczami, a któraby najodważniejszą istotę przerazić musiała, a tak nią przeraziwszy, chciał otrzymać od przełkniętego dziecka, słowo na zawsze między niemi nieprzebyty kładące przedział.

W takim zamiarze nie tylko nie wzbra-
niał się więcej bywania w Wersalu, ale
w swych wizytach starał się zbliżyć do
Zuzanny, przyswoić ją cokolwiek i pozyskać jęj ufność.

Nie łatwe to było przedsięwzięcie; panna Monnival drżąc zwykle pod wzrokiem matki, jeszcze się zdawała bardziej wy-
lęknioną, gdy oko pani Vortal na sobie
widziała; a to zwykle nie chybiło, ile razy
Henryk zbliżył się, lub przemówił do nięj.

Wówczas cała zapłoniona, nie wiedziała wcale, co czyni i co mu odpowiada, lecz zawczasu wiedziała, co ją po odjeździe gości za to czekało.

Nawykła jednak do gniewu i łajania matki, mniej one jęj w tym razie bolesne były, niż obawa wniosków Henryka; nie-pochlebnego wrażenia, jakie na nim koniecznie sprawią, ta ciągła niezgrabność, ten rodzaj umysłowego niedołęztwa w mowie i odpowiedziach; lękała się czasem, żeby nie posądził, że i ona, tak, jak Helena, pozbawiona jest rozsądku, i tyle nad tém przemyślała, iż razu jednego upatrzywszy chwilę sposobną, gdy obie matki zajęte sobą były, odważyła się podnieść oczy na Henryka, i powiedzieć mu zcicha: — » O, panie hrabio! nie sądz mnie z tego, co widzisz i słyszysz — gdy w tym pokoju w przytomności tych pań jestem — ja tak mam wielką nieśmiałość do nich, że mi to myśleć, oddychać prawie przeszkadza.«

— » Nie lękaj się sądu mego Zuzanno,« odrzekł jęj Henryk, równie przytłumionym

głosem, i spuszczając na krosienka głowę, jakby się robocie przypatrywał. »Ja cię rozumiem, oceniam, pojmuję. Nie dawaj mi żadnych tytułów — nazwa przyjaciela twego, będzie mi najmiłą i najwłaściwszą razem, bo ja nim rzetelnie i gruntownie jestem....«

Chciał coś więcej mówić, lecz spostrzegłszy uwagę Matyldy na siebie zwróconą, przerwał raptownie swe słowa, zastępując je ściśnieniem małej rączki krosienkami przysłonioną.

Każda z czytelniczek moich, zapewne nie bez wzruszenia pamięta pierwsze swęj ręki ściśnienie; lecz, by ocenić wrażenie Zuzanki, trzeba wspomnieć, że to była pierwsza oznaka współczucia, rzetelnej przychylności, co ją od śmierci siostry pierwszy raz spotkała.

Te kilka słów zcicha wymówionych, to ściśnienie ręki, stały się wielką w życiu jej epoką — ale właśnie przeciwny sprawiły skutek, niż ten, do jakiego pan Vortal dążył. Vortal chciał bowiem ośmielić

tylko lękliwe dziecko, pozyskać zaufanie, a w skutek niego otrzymać władzę rozłączenia ich na wieki, gdy tymczasem Zuzanna omylona temi czułości oznakami, z głębi przepełnionego miłością serca i całą jej siłą wzmocnionego, postanowiła jak najuroczyściej, wszystkie z siebie uczynić poświęcenia, w największe uzbroić się mężtwo, dla przełamania widocznej niechęci matki, i wszelkich przeciw jej zamęściu przeszkód.

Taki był stan rzeczy, kiedy pan Antoni, parę miesięcy u wód zabawiwszy, powtórnie wrócił do Wersalu.

Na tę wiadomość, Henryk przeczuwając, iż jakieś stanowcze nastąpią chwile, po daremnych usiłowaniach mówienia z panną Monnival inaczej, jak w przytomności całego towarzystwa, umyślił wszelkich użyć sposobów dla osiągnięcia niezmiennego postanowienia swego.

Gdyby tajemnica, którą miał w połowie jej tylko objawić, mogła się inaczej, jak półsłowami tłómaczyć, byłby do niej na-

pisał, ale to; co on miał powiedzieć, nie dałoby się piórem określić. W mowie wyraz oczu, wyraz głosu nadstarcza słów brakowi, lub je poskramia. Wiedział, że to, co miał objawić, Zuzanna w swój dziewiczęj niewinności zrozumieć nie zdoła, i dla tego chciał jój ufność zupełnie pozyskać, by nawet nie rozumiejąc, wierzyła słowom jego.

Ale właśnie dla tego, pismo byłoby niewłaściwym sposobem. Zrodziłoby tylko zdziwienie, wstręt, rozpacz może, a to Bóg wie, jakie mieć następstwa mogło, jaki rozgłos spowodować.

Jednakże to ciągle usiłowanie Henryka zbliżenia się do swój narzeczonej, ta zmiana w pierwszej obojętności jego, uderzyła wszystkich, a każdy ją, jak zwykle bywa, podług swych chęci i rozumienia swego tłómaczył.

Pani Monnival, nie przypuszczając, by się można zakochać w jój córce, widziała w tém postępowaniu rachubę u światowych ludzi przyzwoitością zwaną.

Pan Antoni cieszył się tą wzajemną miłością, bo jój od dawna pragnął: a w swój radości, bez ogródki w każdym żarcie przycinek jój jakiś dawał.

Matylda, niecierpliwiona temi przyczynami stryja, z ukosa spoglądała, i najgłębiej zastanawiała się, co to być może? Zuzannę odrazu przenikła — ale Henryk był dla niej zagadką, tém trudniejszą do rozwiązania, że kiedy mu przełożyła podanie pana Monnival, żeby przed jego jeszcze odjazdem obrączki zamieniono, kiedy się dowiedział, jak nagle nastaje, żeby nie odkładać ślubu nad czas prawem zakreślony, największą okazał niechęć, wzbraniając się przystać na tak spieszne zaręczyny.

Wszelako pan Antoni, mimo otrzymanego zezwolenia, niedowierzając bratowej, niewiedząc o odpowiedzi Henryka, którą macocha zataiła, tak usilnie nastawał, a margrabina tak była nawykła do pewnej dla niego powolności, iż wszystko ułożono bez wiedzy pana młodego.

Dnia jednego, Henryk już dojeżdżając do Wersalu, dowiedział się od Matyldy, że ona w imieniu jego, na wszystko przystała, zezwoliła, potwierdziła!... że cofnąć się już mu nie zostawało czasu.

Przy zaręczynach Henryk wszystkim się dziwny wydawał; lecz w swój rozpacz, której ukryć zupełnie nie był w stanie, jeszcze raz zaprzysiągł oswobodzić Zuzannę od podobnego Heleny nieszczęścia, a siebie od nowych zgryzot sumienia.

Tegoż dnia ku wieczorowi, pan Antoni pożegnał wszystkich i odjechał. Henryk zwrócił natychmiast wszelkie usiłowania do porozumienia się z panną Monnival. Dowiedziawszy się, iż margrabina nigdy niesporów nie opuszcza, znalazł chwilę do uproszenia, by dnia następnego matce do kościoła nie towarzyszyła, a nie zważając na żadne domysły Matyldy, wymknąwszy się z domu, przybył w téj porze do Wersalu.

Znalazł pannę Monnival samą, w ogrodzie, z bojaźnią czekającą na niego.

Już strwożona wczorajszym wyrazem Henryka, gdy go zmuszono do podania jej obrączki, i później kiedy ją prosił o pozostanie w domu w godzinę nieszporną, jeszcze się bardziej przyćmiło jej piętnastoletnie czoło, gdy spojrzała na smutek rysy jego powlekający.

— » Mam ci coś ważnego do powiedzenia, Zuzanno,« zbliżywszy się, uroczystym głosem rzekł jej narzeczony; » tu mógłby kto nas słyszeć — i dla tego cię proszę, byśmy w salonie rozmawiać mogli.

» Nie takie,« rzekł dalej, do pokoju wchodząc, » nie takieby powinno być, pierwsze nasze, po dniu wczorajszym spotkanie. — Dla innych, dzień podobny bywa zadatkiem szczęścia, a może samém i największém szczęściem — Lecz dla mnie, Zuzanno, niema szczęścia na téj ziemi — Ty zezwalając na podzielenie losu mego, niewiedziałaś o tém — niewiedziałaś, ani się domyslać możesz, na jakie się skazałaś nieszczęścia, na jak okropne męczarnie. Ale jeszcze jest czas odwołania i zer-

wania wszystkiego; i dla tego już dalej nie odkładając, pośpieszyłem ci to objawić. Nie obwiniaj mię, jeżeli prędzę cię nie oświeciłem, jeżeli ci teraz dokładniejszych objaśnień nie daję — Zaufaj tylko mi, Zuzanno, zastanów się nad przyszłością czarną i okrutną, jaką sobie gotujesz łącząc się ze mną, a cofnij dane słowo, póki czas jeszcze.»

To wymówiwszy Vortal, padł na krzesło, jakby przerażony własnymi słowy, a sparszy się na stole, obu rękami, zrumienioną twarz przykrył.

Zuzanna stała przed nim, jak wryta; blada, jak posąg z marmuru, jakby krew w niej bieg swój wstrzymała.

Po długim milczeniu Henryk podniósł głowę, spojrzał wzrokiem rozpachy na odrętwiałą dziewczę, porwał się raptownie i jeszcze miał coś mówić; lecz panna Monnival, przebudzona tém jego poruszeniem, zebrawszy myśli, przerwała je tonem pełnym godności i powagi: — »I ja też pod klątwą nieszczęścia zrodzona,« rzekła,

»cierpienie jest zwyczajnym stanem serca mego — niezna ono nic innego — I dam ci dowód panie hrabio, ile w niém zahartowaną jestem, przystając na wszelkie żądanie twoje — chcesz być uwolniony od więzów łączących cię ze mną — będziesz — Czy ja sama mam je zerwać? — wyrzec.»

Te słowa, w których zniknęło lękliwe dziecko przed kobietą w swém uczuciu, w swój dumie zranioną, te słowa pełne silnego postanowienia, lubo drżącemi wymówione usty, zdumiały na chwilę Henryka. Lecz wkrótce przypominając cel tej okrutnej rozmowy, i wszystko, co go do niej zmusiło, odrzekł ze smutnym wyrazem:

— »Ty je zerwij, Zuzanno, bo tobie to one grożą. Ja się ich nie lękam dla siebie, i czynię tylko, co mi sumienie nakazuje. Wierzaj mi, lubo tego może jeszcze niepojmujesz, wierzaj, że w koło mnie przetwarte krąży piekło, że nas bezdenna dzieli przepaść, przepaść, której zamknąć niepodobna — Dziwisz się zape-

wne, że zdawna wiedząc o tém, wczoraj ci obrączkę ślubną ofiarowałem — ale i to skutkiem jest nieszczęścia mego; i to należy do przekleństwa ciężącego nademną — okropne pęta, które dźwigać muszę, które do śmierci może dźwigać będę, wszelkiej władzy mię pozbawiają — Ty więc sama będziesz musiała wziąć na siebie wywikłanie z tych zastawionych na siebie sideł; powiesz, że masz wstręt do mnie, że mnie nienawidzisz — odbierzesz dane słowo, zerwiesz wszystko — A jeżeli się kiedy dowiesz o całej prawdzie, pobłogosławisz mię w głębi duszy, żem cię nad przepaścią wstrzymał.....“

Zuzanna w swém pomieszanu, słuchała tych słów, których nic nie rozumiała, jakby nie do niej były mówione. Gdyby nawet jaśniejsze były, nie zrozumiałaby ich może, jedną tylko przygnębiona myślą, myślą, że już nie będzie żoną Henryka.

Spojrzawszy na tę ruinę wszelkich swych nadziei, na tę świetną całej przyszłości budowę, przez kilka miesięcy w sercu jój

wzniesioną, a teraz w jednej chwili obaloną, ręką ukochaną, ręką Henryka, wolą jego zniszczoną..... gdy z drugiej strony przyszedł jój na myśl ponury klasztor, ten przetwarty grób jój lat wiosennych, jój życia całego, do którego serce gorejące inną, nie boską miłością, zanieść będzie trzeba..... całe męztwo, cała gromadzona od dnia poprzedniego odwaga ją odstąpiły. W oczach jój się ćmić zaczęło, i byłaby padła bez zmysłów, gdyby potok łez nie ulżył pękającemu z boleści sercu.

Widząc to Henryk, porwał się za czoło — »o, nieszczęśliwy, sto razy nieszczęśliwy!...« zawołał, »o, czemuż nie mogę nieść ulgi twemu cierpieniu, biedna Zuzanno! — Niemyśl, żebym nie przenikł i twoich umartwień; masz ty ich dosyć do znoszenia — Czemuż nie ja ten wybrany, któremu wolno będzie twe łzy ocierać! — Tybyś może natenczas moje wzajemnie otarła, a takbym całą przeszłość zapomniał, błogosławiąc za wszystko niebu.«

Na te słowa znów się godność kobieca obrażoną uczuła. Zuzanna podniosła głowę, a wzrokiem niedowiarstwa pójrzawszy na Vortala, — »Niedodawaj,« rzekła, »hramio, do niedoli mojej — Szydzenie z niej, byłoby już nadmiarem — wszakże ją przyjmuję bezwarunkowo — pocóż jeszcze naigrawać się z łez moich? — poco te zwodnicze obrazy, które okrutniejszą prawdą serce przerażają? — poco te kłamliwe słowa? — wszakże aż nadto jasno widzę, wstręt i odrazę, jaką sprawiam — Nikogo o to nie obwiniam! nie dziwię się nawet — wiem oddawna, że nie powabna. — Uczynię, co zechcesz — uwolnię cię od siebie — niech się spełnią wyroki przeznaczenia.«

— »Jabym się miał naigrawać z ciebie Zuzanno, o, jak okrutny zarzut! — Jak możesz także przypuścić, że mi odrazę sprawiasz? — Ty nawet nie wierzysz temu, droga Zuzanno — nie — wierzyć temu nie możesz — i jeżeli ubolewał nad sobą i zazdrościł temu, co łączy twoje ocie-

rać będzie, słowa te były jedynie głosem
mojego serca... «

— » Łez moich nikt ocierać nie będzie, «
z westchnieniem odrzekła Zuzanna. » Wia-
domo, że prócz klasztoru, niema dla mnie
innéj przyszłości — Tam, u stóp ółtarzy,
te łzy będą się tajemnie lały — tam może
litość wzbudzą — a jeżeli te kilka dni ma-
rzenia o zabronioném mi szczęściu były
występkiem, otrzymają może przebaczenie
u Tego, co samą dobrocią — tam przynaj-
mniej nikt im urągać nie będzie — i o tę
litość jedynie teraz błagam — resztę wszy-
stko podług twój hrabio, stanie się woli. «

To wyrzekłszy, chciała odejść panna
Monnival, lecz Henryk zaszedł jéj drogę:

— » Nie — my się tak rozstać nie mo-
żemy, « rzekł do niéj; » byłoby to nową
boleścią, nowém nieszczęściem dla mnie —
Występnym mogę, muszę nawet ci się
zdawać — jeżeli nie dość ufności pozyska-
łem, byś moim wierzyła słowom, ale przy-
najmniej nie posądzaj, że to jest użyty wy-
bieg dla pozbycia się ciebie — Wierzaj

mi, Zuzanno, związek z tobą, byłby samą dla mnie pociechą — rozkoszą — gdyby nie gotował dla ciebie długiego pasma cierpień — bo tyś mi droższa nademnie....«

Te kończąc słowa, w pół objął jej delikatną kibić, silno przycisnął ją do swych piersi, a usta do dziewiczego przyłożył czoła.

Oboje uczuli gwałtowne uderzenia serc wzajemnie dla siebie bijących, bo i Henryk przekonał się wtenczas, że nadaremnie wzbraniał się kochać Zuzannę.

— » O, jeżeli prawda, że ci obrzydła nie jestem, jeżeli mam twym słowom wierzyć, powiedz Henryku, jakich trzeba poświęceń, by z tobą pozostać na zawsze? — Żadnych cierpień dla mnie się nie lekaj — ja wszystkich zwyczajna — wszelkie znieść potrafię — Cierpieć dla ciebie, czy za ciebie, jakąż byłoby rozkoszą!.....«

— » Jakże ciebie nie kochać, nie wielbić, droga Zuzanno? — i ty mogłaś o tém wątpić? — ale jakże kochając ciebie, zgodzić się na męczarnie, nie godzinę, nie dzień jeden trwające, ale może lata całe....? «

— »Wszystko, wszystko przetrwam i wytrzymam, byłem ostatniego dnia życia mego, mogła głowę na twém oprzeć ramieniu, skonać na twém łonie — Ta nadzieja siły mi doda — powiedz, co mi czynić trzeba? — ale już nie wymagaj po mnie, żebym zerwała węzeł nas łączący — przyznaj, żeś się zbyt okrutnym okazał — a jednak ja i to już dokonać chciałam, bo wczoraj przysięgłam niebu, zawsze i we wszystkiém twą pełnić wolę.«

— »Okrucieństwo, i więcéj niż okrucieństwo, bo niegodziwość, jest w przyjęciu ofiary, której ty wielkości, zmierzyć ani ocenić nie możesz — Ale i ja nie mam siły dłużej walczyć przeciw woli twojej, przeciw własnemu sercu — Może téż się niebo zlituje nad nami, i jaką zmianę w mym losie przyniesie! — Może jeszcze i dla nas zeszle choć jeden dzień radości i szczęścia! — Teraz tylko błagajmy go o mężstwo i wytrwałość — bo się poruczamy straszliwszej przyszłości, niż podczas burzy na rozhukane puszczając się morze.«

Spojrzawszy później na podniesione ku niebu piękne Zuzanny oczy, pełne łez radośnej wdzięczności, znów ją czule przycisnął do siebie i dodał:

— » O, jak mi serce pęka, patrząc na ciebie, i na los, jaki cię czeka! — Biedne, drogie dziecko, może téż, a nawet z pewnością, przyjdzie chwila taka, gdzie pożałujesz poświęcenia swego — gdzie złorzeczyć mi będziesz, żem ofiarę jego przyjął — pamiętaj przynajmniej, Zuzanno, że twojej w tém woli uległem — pamiętaj....«

— » O, ja wszystko pamiętać będę, co przeciw mnie, wszystko zapomnę, coby przeciw tobie być mogło — Największe i najdłuższe męczarnie, nie wymogą na mnie złorzeczącego przeciw tobie słowa — aż nadto pewnym możesz być tego — a jeżeli zezwolisz, przysięgnę ci zaraz, że wszystko wytrzymać bez szemrania zdołam.«

Nim Henryk mógł odpowiedzieć, postrzegli w głębi ulicy powracającą z kościoła margrabinę.

Zuzanna czémprędzej zerwała z szyi złoty krzyżyk, a oddając go narzeczonemu rzekła:

— »Oto, co mam najdroższego i najświętszego na tym świecie, Henryku, ostatni dar mojej drogiej siostry, tym świętszy, że ona go całe życie nosiła — weź ten krzyżyk w zakład przysięgi, com tu wykonała, i jako zapewnienie, że nic na ziemi złamać jej nie potrafi.«

W tém, kroki matki słyszeć się dały.

Panna Monnival nie chcąc okazać z pomieszanania i tysiąca uczuć ślady na twarzy pozostałe, schroniła się do siebie; lecz odchodząc, widziała, jak Vortal z zapalem dar jej do ust przycisnął, a potem na sercu umieścił.

XI.

(O b ł u d a.)

Mimo wszelkich Henryka zabiegów, nie uszła ta sekretna wizyta baczącej policyi Matyldy. Odtąd hrabina lepiej go jeszcze strzedz postanawiając, zataiła, że ta wy-

cieczka wiadomą jój była, dla łatwiejszój nadal obserwacyi.

W kilka dni potém, odwiedzając z nim, jak zwykle, panią Monnival, postrzegła w jego wzroku mniej obojętności, gdy się ku Zuzannie zwracał. Już także nie z takim, jak dawniej wstrętem, mówił o bliskim swym związku, nie okazując już, jak przed tém najmniejszój rozpacz, ani odrazy.

Jędza zazdrości wpuściła swe żądło w Matyldy serce.

Zerwać jednak nie było już podobieństwa; nie tylko z powodu tak daleko doprowadzonych stósunków, jak z coraz bardziej naglejących interessów.

Anglik obiecywał rychły przyjazd; groził sekwestrem, gdyby w zapowiedzianym terminie summy nie złożono. Z drugieij strony hrabina wiedziała, że jeśli każdemu nie łatwo taki posag, jak panny Monnival ogarnąć, stan majątku Henryka jeszcze czynił to trudniejszém.

Zezwolenie pani Monnival, należało przypisywać równie oziębłości względem córki, smutkowi tak dalece uciskającemu jęj duszę, iż na wszystko prawie obojętną ją czynił, jak, i zapewne najbardziej, pewnemu rodzajowi delikatności względem familii mężowskięj.

Margrabina bowiem z siebie nie bogata, miała po śmierci męża używać jego dochodów, aż do ustalenia losu córek. Wyposażywszy je, sześć tysięcy franków dożywotnięj pensyi, przeznaczonych dla siebie miała.

Opierając się związkowi, do którego równą okazywał brat jęj męża skłonność, jak ona mało ją czuła, tém mniej mogąc tę niechęć usprawiedliwić, że taż sama partya niegdyś dla Klemencyi wolą męża wybraną była, pani Monnival, lękała się dać pozór osobistęj jakiejs interesowności, a zarazem potwierdzić zdanie mężowskięj familii, często ją o zbytęczną surowość, prawie o nienawiść względem młodszęj córki obwiniającęj.

Takiemi skłoniona powodami, w których, ani czułość macierzyńska, ani troskliwość o przyszłość Zuzanny, najmniejszego nie miały udziału, bardzo naturalném było, że przyzwalając na to małżeństwo pani Monnival, ani zapytała, ani dowiedzieć się starała, o stanie majątku przysłego zięcia. Pan Antoni zalecił tylko, by przy intercyzie, nie zapomniano o zwykłym u bogatych warunku, iż na przypadek bezpotomnego zejścia przysłej hrabiny Vortal, posag jój do familii Monnival miał wrócić.

Lecz w odległej części kraju mieszkając, nie mógł i on także dokładnych o położeniu pana Vortal mieć wiadomości. Uważał to wreszcie za obowiązek matki, a znając jój obojętność, mniemał, iż na wszelki przypadek wnioszek Zuzanny będzie tak znaczny, a ona tak mało do zbytków nawykła, iż można było nie zbyt się troszczyć o nią pod względem majątkowym.

Wszystko to, w słusznój obawie o skutek swych śmiałych zamiarów, zmiarkowała Matylda.

Wiedziała dobrze, iż podobny zbieg okoliczności, nie codziennie da się napotkać — Cieszyła się z nich, dopóki widziała w pasierbie równą dla panny Monnival, jak niegdyś dla Heleny Katersson obojętność. Wiedziała, że oporu z jego strony niema się do lękania, że wszystko podług jój myśli i woli iść musi. I téż to uczucie, co jój zazdrość wzniecało, bardziej w samém sobie ją raniło, niż lękało w skutkach.

Jednak, ile razy spostrzegała miłość Zuzanny, mimo jój bojaźliwej skromności, w każdym przebijającą się spojrzeniu, ile razy zdawało jój się spostrzegać w Henryku, jakieś ku niej spółczucie, było to dla niej prawdziwą męczarnią, i wzdychała do chwili, gdzie już to dziewczę w ręce jój się dostanie, by temu położyć koniec.

Odgadł to Henryk z kilku mimowolnych przycinków macochy, z ukośnego jęj na Zuzannę wejrzenia — odgadł i zadrzał na nowo — i na nowo postanowił jeszcze raz ostrzedz biedną ofiarę, wyraźniej jeszcze przedstawić jęj obraz długich, nie określonych cierpień, od wszelkiego ją uwalniając zobowiązania się.

Ale już nie mógł po raz drugi upatrzeć chwili sposobnej. Coraz bardziej od Matyldy strzeżony, coraz większą czuł potrzebę ukrywania przed nią swego z Zuzanną porozumienia, i dla tego nieśmiały już nową wizytą narazić siebie, bo jeszcze bardziej o nią się lękał.

Hrabina jednak zmęczona swém czuwaniem, nadto w Paryżu utrudzającym, coraz więcej swą zazdrością dręczona, postanowiła przyspieszyć rozwiązanie mające kres jęj położyć, lub przynajmniej dogodzić jęj żądzy.

W tym celu, nie uprzedzając Henryka, udała się sama do Wersalu, a w przysposobionej zawczasu rozmowie, usiłowała

nakłonić panią Monnival, do zezwolenia na przyspieszenie ślubu, nie czekając nawet dokonania lat piętnastu.

Przybierając na sobie, wszelkie przyjaźni, szczeroty i otwartości pozory, jakto niby przystało między dwoma matkami łączącemi swe dzieci, zwierzyła jęj, iż stan interessów Henryka, wymaga najprzód rychłej jego przytomności w domu, powtórę, osiągnięcia wniosku żony.

— »W takich, jak nasze stosunkach, kochana pani,« rzekła Matylda, czule ścisnąc rękę margrabiny, »nic tajnego, mojem zdaniem, być nie powinno. Ja téż ci wyznam, z tą szczerością znamienującą mój charakter, że krok, na jaki się poważam, mimo wiedzy mego syna, zupełnie i jedynie téj szczerości winnaś. Henryk, mniéj śmiały i z natury skrytszy, nigdyby na niego nie zezwolił. Ale mi się zdaje, że między nami, wykrycie prawdy całej, jest pierwszym i świętym obowiązkiem. — Powiem ci więc, że kiedy po przegraniu, tego tak niesłusznego processu, o którym mi tu

pan Antoni Monnival wspominał, Henryk się niebawmie ożenił, wniosek miss Kater-son, posłużył na pokrycie straty, tym przegranym processem poniesionój. Teraz, lubo ta posagowa summa zahipotekowana na całém Vortalu dziedzictwie, wszelką ma pewność i nie może żadnej wzniecać obawy, jednak przez szykanę, przez zemstę, za to, żeśmy wytrzymawszy tak długo tę obłąkaną w domu, musieli w końcu stan jój wykryć, dla otrzymania rozwiązania tak nieszczęśliwego stadła, nagłą nas o zwrócenie, tak summy, jak procentów od niej, pod pozorem, że chora z nich korzystać nie mogła. Jakkolwiek w tém wszystkiém, niema cienia słuszności, jeszcze mniej delikatności, proces tysiące za sobą przywiódłby przykrości i kosztów. Dla uniknienia go, summę tę więc koniecznie zaliczyć trzeba. Niepodobna podnieść jój w tak krótkim czasie bez znacznej straty — Część wniosku Zuzanki, załatwi wszystko. Oparłszy ją na dobrach vortalskich, w mniej sce spłaconej summy, wszelką będzie miała

pewność, a my bez żadnej straty pozbedziem się raz na zawsze natrętnego Anglika — Widzisz więc droga margrabino, iż przystając na przyspieszenie małżeństwa, równie w interessie Henryka, jak na pożytek własnej córki postąpisz. Strata bowiem jego, już i ją teraz dotknąćby musiała.«

Hrabina taką umiała przyjaźną barwę swym słowom nadać, tak dobrze udać zaufanie i szczerotę, iż pani Monnival, najmniejszego nigdy do niej pociągu nie mając, poraz pierwszy uczuła się zniewoloną.

Jednak kilka wyliczyła przyczyn, za zwłoczeniem raczej, niż za przyspieszeniem ślubu córki mówiących; a gdy je pani Vortal po kolei zbijała, margrabina najbardziej się zbyteczną młodością Zuzanny broniła, lękając się, jak mówiła, złych skutków dla jej zdrowia, gdyby tak jeszcze nie rozwinęta, miała zostać matką.

— » O, co tego, nie masz się bynajmniej do lękania,« z większą, niż dotąd prawdą, odrzekła Matylda. » Ja się obowiązuję, tak, jakbyś ty sama, czuwać nad lubą Zu-

zanką. Odmieni ona tylko opiekę, lecz będę się starała, żeby ile można najmniej straciła na téj zmianie. Uwaga twa, kochana margrabino, zapewne nie jest bez słuszności; lecz i na to nie trudny sposób. Henryk sam pojmie, że ten pączek potrzebuje do rozwinięcia się kilku jeszcze dni pogody i łagodnego słońca, nim mu go zerwać będzie wolno. — Niebawnie po ślubie, podług teraźniejszej mody, wyjechałibyśmy do naszego zamku — przez czas podróży bliżejby się poznali — przywykli do siebie — możeby się nawet pokochali, co mam lubą nadzieję, że prędzej, czy później, nastąpi — a syn mój ułatwwszy cokolwiek ważniejsze interessa, na kilka miesięcy, może na cały rok, wyjechałby do Włoch, lub Niemiec. — Dawno on już tę podróż zamierzał — Teraz potrzebniejszą mu, niż kiedy się stała, tak dla zatarcia smutku ostatnimi okolicznościami familijnemi spowodowanego, jak dla polepszenia temż okolicznościami nadwrażonego zdrowia.«

Margrabina znalazła, że istotnie Henryka widuje najczęściej smutnym, bladym i cierpiącym, i że przejażdżka niemogłaby, jak dobry wpływ na nim wywrzeć.

Matylda zakończyła zaprosinami, żeby i pani Monnival raczyła przyjechać do nich, podczas niebytności zięcia swego, a tak, nie rozłączyłaby się nawet z córką, i żadnaby dla niej istotna nie zaszła zmiana.

Słowem, tak dobrze swą poprowadziła sprawę, tak wymownie ją broniła, tak w końcu nalegającym sposobem ze wszystkich stron ogarnęła swą przeciwniczkę, iż odjeżdżając, miała już w ręku zezwolenie na wszystko.

Takim to sposobem, równie przychylność dobrego stryja, jak obojętność matki, zbiegły się do oddania biednej dziewczyny, w szpony szkaradnej kobiety, przebiegłej i bezczelnej intrygantki.

Takim to sposobem Zuzanna, nie dokonawszy nawet lat piętnastu, z dziecinnymi kształtami, z wyobrażeniami nieforemnymi, czasem wybujałymi, lub nad wiek

dojrzałemi i trafniemi, albo téż w innych
względach naiwnemi, aż do śmieszności,
nie znająca świata i życia, jak z niespra-
wiedliwości i cierpień, silna jedynie uczu-
ciem w dziewiczym sercu zawartém, bo
bez żadnego na téj ziemi oparcia, poszła,
jakby przeznaczeniem niesiona, poruczyć
przyszłość swą losowi, którego surowość
nie była jój zupełnie nieznaną, a którego
strasзлиwa tajemność, niby ją przerażać
powinna.

Ale w Zuzannie kobiecie biło serce: to
serce kochało, a kochało po raz pierwszy —
kochało namiętnie.

Zuzanna wiedziała, że ją długie, nie-
odgadnięte czeka nieszczęście — zamknęła
oczy, i poszła ku przepaści, w którą ją
wtrącić miano — bo wiedziała także, iż
to nieszczęście będzie zasługą w oczach
Henryka — że za niém — może — kie-
dyś — spotka rękę jego.

XII.

(Całe życie biedna!)

Gdy po ślubie zaszły do podróży pojazdy, hrabina już nie wsiadła, jak poprzednim razem, sama jedna do swój karety. Henryka bowiem samotności zostawując, do siebie wzięła Zuzannę, czyniąc z tego sobie zasługę przed jej matką.

Za przybyciem do zamku, strzegła swą pasierbowę bez porównania pilniej, niż niegdyś Helenę. Od rana do wieczora nie tracąc jej z oka, przy obiedzie tylko dozwalała widywać męża.

Nie długo atoli, i te jej chwile szczęścia odebrano. Henryk w końcu pierwszego tygodnia wyjechał, w zamierzoną podróż. Natenczas Zuzannie zostawiono cokolwiek więcej wolności — lecz na cóż ona się jej przydała! chyba, żeby swobodniej westchnąć, lub tęskną łzę otrzeć....

Macocha mniej się nią trudniła, lecz i mniej srogości okazywać jej zaczęła, a wkrótce jej doniosła, że margrabina wraz

z panem Antonim Monnival z początkiem wiosny do Vortalu przyjechać obiecali.

Natychmiast zaczęto czynić wielkie przygotowania do przyjęcia tych gości. Malarzy, obicia, meble, wszystko sprowadzano z Paryża. Służbę i stajnię powiększono. Słowem, hrabina chciała się okazać zupełnie na dawniej stopie, a zaciągnąwszy dług nowy, łatwo swojego dopięła.

Na tém cała zeszła zima.

Zuzannę wszystko rozrywało, bawiło. Zdawało się jej także widzieć macochę coraz łaskawszą na siebie; ta łaskawość prawie do pieszczot doszła, gdy zbliżała się pora przyjazdu oczekiwanych gości.

Jeden tylko smutek uciskał jej duszę — nieobecność Henryka — a jeszcze bardziej zupełna prawie niewiadomość, gdzie się obraca i kiedy można się powrotu jego spodziewać. Hrabina nigdy najmniejszej wzmianki o nim nie czyniła, jakby to bynajmniej Zuzannę obchodzić nie powinno, lub, jakby go już była na zawsze oddaliła. Zuzanna nie miała odwagi żadnego pytania

w tym względzie jój zadać, domyślając się jakimś nie wytłómaczoném przecuciem, że jój to za złe poczyta. Bo są w sercu — mianowicie w sercu kobiecem, przecucia, tém mniej zawodzące, iż nic je nie usprawiedliwia, iż każdym rozbiorem, każdym rozumowaniem zbitemi byćby mogły.

Mimo to wszystko Zuzanna nie dość się czuła nieszczęśliwą, w miarę tego, co jój zapowiedział Henryk, i na co się przysposobiła, żeby go czasem nie obwiniać o jakąś obłudę, by nieprzychodziła jój niekiedy podejrzliwa i okrutna myśl, że jój tylko chciał się pozbyć.

Matylda i panu Antoniemu, przyspieszenie ślubu, jak najpozorniej wytłomaczyć nie omieszkala: a gdy z powodu późnej już jesieni, nie mógł dla zdrowia przybyć na tę uroczystość, uprzejmie przyjął zaprosiny hrabiny, i namówiwszy, czyli raczej zmusiwszy bratową, pierwszych dni Maja, przybyli do Vortalu.

Upředzeni o wydaleniu się Henryka, i powodach tego wydalenia, nieobecności jego bynajmniej się nie dziwili. Tak pan

Antoni, jak margrabina, we wszelkich względach zadowoleni, znaleźli Zuzankę urosłą, i bardziej ożywioną; a czuły stryj wzięwszy na bok pannę-wdówkę, jak on ją nazywał, przekonał się, że i ona była spokojnej myśli, dobrych nadziei. Dziwił się tylko, że nie odbierała żadnych od męża wiadomości, ale tłómaczył to owém dziwactwem, które było go przy zaręczynach w Henryku uderzyło.

Po kilku tygodniach samych uczt i wykwintnych zabaw, które wszystkich, a najbardziej zupełnie im obcą Zuzanną mile zajęły, nastąpiły pożegnania.

Pan Antoni uniósł z téj wizyty mile przekonanie, iż się przyczynił do szczęścia biednego dziecka, skazanego na wieczne pod klauzurą zamknięcie, i parę razy pochwalił się swém dziełem przed bratową. Ta zaś w głębi duszy żałowała tylko, że to wszystko ominęło drogą jéj Klemencyą, niemogąc się pojednać z myślą, że Zuzanna, jakby uzurpowała los dla tamtéj przygotowany.

Kiedy tak matka płakała, stryj tryumfował, w zamku równo z ich odjazdem, ogromna nastąpiła zmiana. Cała uprzejmość, wszystkie pieszczoty macochy dla pasierbowej raptownie ustały — a ku wieczorowi dnia piątego przeniesiona do pokoju Heleny, tak jak ona wszystkie wyjścia więzienia swego, niewidomą ręką pozamykane usłyszała.

Od téj chwili cała surowość stopniowo niegdyś gromadzona dla Heleny, od razu spadła na biedną Zuzannę, z tym jeszcze nadmiarem, że poprzednim przykładem nauczona macocha, kazała obwarować okna, a gdy także z jéj rozkazu, dolne szyby deskami były założone, światło tylko górnemi wciskać się mogło.

Lecz jeżeli podobny w swój niedoli, jakże odmienny był sposób, w jaki ją te dwie ofiary przyjęły!

Helena wprawdzie nie miała, jak Zuzanna, téj silnej miłości w sercu, tego wszechwładnego uczucia, co wszystko łatwém czyni, mianowicie oparte na prze-

konaniu o wzajemności; ani téż była w téj gorącej porze życia, co jednym swym promieniem wszystko, tak szczęście, jak nie-szczęście, upoetyzować umie — Helena także nie miała w duszy, téj głównej cnoty kobiecej — potrzeby poświęcenia się dla istoty ukochanej — w Zuzannie z natury zrodzonej, a chorobą siostry wzmogłej — Helena w końcu, nie należała do téj religii, która nakazuje przebaczenie dla innych, dla siebie rezygnacją i nadzieję — która każe chwalić korcącą nas rękę, przyjmować srogie próby przeznaczenia, jako zadatek błogięj przyszłości — która naucza cierpieć i błogosławić.

Gdy téż Helena najbardziej lękała się o życie, a z obawy trucizny pokarmów, jak widzieliśmy, odmawiała sobie, Zuzanna troszczyła się jedynie, czy jéj cierpienia będą dostatecznemi do odkupienia winy Henryka, do uwolnienia go z pod tego nieszczęścia, z pod przekleństwa, o którym jéj wspominał w owéj tajemnej w Wersalu rozmowie — Pragnęła, jak się wów-

czas słyszeć dała, cierpieć dla niego, za niego — a teraz już z nim złączona świętemi śluby, uważała to, jako obowiązek, jako pierwszą powinność swoją. — Obowiązek — powinność — o jak wielkie, jak potężne wyrazy dla prawego sumienia!

Ujrzawszy się zamkniętą, pojęła Zuzanna, że to już początek owych zapowiedzianych męczarni, którym już niedowierzac zaczynała. Padła na kolana przepraszając w duszy Henryka, za niedowiarstwo, za posądzenie o obłudę, i dziękując prawie niebu, że w tém zesłaniu zasłużonej tą zbrodnią kary, odjął jój zarazem to, co by niszczyć jój wiarę w mężu, a następnie i miłość dla niego, odjęłoby jój siłę znoszenia cierpliwie jakiejś bądź próby.

Pozbawiona wolności, lecz od dawna, gdy ją do klasztornego sposobiono życia, oswojona z myślą, że jój przyjdzie rozstać się ze światem, mniej bolała z braku tych wszystkich uciech jego, które tak mało знаła, niż z zupełnej o Henryku niewiadomości.

Lubo w Wersalu jeszcze słyszała, że on ma się na cały rok oddalić, i podczas wizyty matki toż samo powtarzano, jednak nie wiedzieć dla czego wnosila, że on musiał wrócić i że to jój więzienie sprowadziło. Żądała przynajmniej tego powrotu — zdawało się jój, że wtenczas chociaż zamknięta, mniejby się samą czuła, że jakasby niewidoma opieka czuwała nad nią. Wreszcie pragnęła, żeby on wiedział, że już ona swą pokutę zaczęła, i że ją w pokorze duszy wytrzymuje — a natenczas lżejszaby dla niej była, bo możeby on westchnął czasem nad nią!

To już jedynie tworzyła w swój niedoli życzenie, kiedy w parę tygodni spostrzegła na dnie koszyka z obiadem przyniesionego bilet.... a na nim pismo Henryka.

Widok jego już był szczęściem dla biednej uwięzionej, a cóż dopiero, kiedy w nim wyczytała najczulsze wyrazy?! —

Henryk istotnie tegoż dnia powrócił, kiedy zamknięto Zuzannę. Uteśkniona Matylda, która pierwszy raz z nim się rozsta-

wała, wyrachowała, żeby równo prawie z odjazdem gości, on napowrót przybył.

W liście swym Henryk ubolewał nad swym tak prędkim powrotem, przeczuwając, jakie z niego następstwa dla Zuzanny wynikną. Ubolewał nad nią, nad sobą, nad okrutnem ich przeznaczeniem, mówiąc, ile się lęka, pod tak surową będąc strażą, żeby i te kilka słów nie wykryto, coby sprowadziło surowsze jeszcze na nią nieszczęście.

Niebawnie potem, podobnymże sposobem odebrała list drugi, obok którego wszystkie były pismienne zapasy, z zapewnieniem, iż będzie mogła swe odpowiedzi z wszelką ufnością poruczać pocziwój dziewczynie, do jej usług przeznaczonój.

Korespondencya ta stała się odtąd nie wyczerpaném źródłem pociechy dla nieszczęśliwój Zuzanny.

Jak wszystkie osoby z natury nieśmiałe, daleko ona lepiej umiała swe myśli w liście, niż w rozmowie wyłuszczać. Nieraz je podziwiał Henryk; nieraz zdumiewał się nad trafnością spostrzeżeń, głęboką

moralnością téj dziewiczej duszy; czasem téż dziwiła go, w szkole Matyldy wykształconego, ta dziwna niewinność, zupełna niewiadomość wszech rzeczy świata tego, obok pewnej znajomości ludzi, ich wad i błędów, któremi się oburzała Zuzanna.

Henryk także poczytawszy sobie za obowiązek wszystkie szczegóły życia swego jéj objawić, znajdował je łatwiejszemi do opisanja stopniowo i powoli ją przysposabiając do nich, niż gdyby mu je opowiadać przyszło.

Tak oboje, każdy w swym własnym interesie, prawie kontenci byli z musu poznania się wzajemnie w listach, korzystnijsze mogąc dać, Zuzanna o swém umysłowym usposobieniu, Henryk o swych postępach wyobrażenie.

XIII.

(Serce kobiece.)

Zrzuciwszy cokolwiek ciężaru z sumienia Henryk, tak przez oświadczenie swe przedślubne, jak później rzetelne wyspo-

wiadanie wszystkich grzechów, zapytał w końcu Zuzanny, czy teraz, dowiedziawszy się, w jakim on pogrążony nieszczęściu, jakimi obciążony łańcuchy, chce jeszcze podzielać los człowieka, który nie jęj w zamian tak okrutnych i długich cierpień, nie będzie miał do dania, jak serce wdzięczne, do zgonu ją kochające? Inaczéj obowiązywał się bez względu na sławę domu i swoją własną, sekretne uwiadomieniem jęj stryja, sprowadzić dla nięj wyswobodzenie podobne, jak Heleny.

Nie przyjęła téj ofiary wspomniała niewolnica. — »Im cię nieszczęśliwszym widzę,« pisała, »tém bardziej dziękuję niebu, iż mnie wybrać raczyło na przyniesienie ci jakiegokolwiek ulgi, ofiarując ci serce, w które zlać twe cierpienia możesz, serce zawsze gotowe je podzielać.

»Nie wspominaj mi więcéj o tém wielkiem poświęceniu, które ci się tak wysoko cenić podoba. Jeśli dla ciebie świata się wyrzekam, ten był dla mnie zawsze obcym, i pozostałby nim nadal — Czy

» w murach klasztornych, czy tu być zam-
» kniętą, na jedno wychodzi — Tu przy-
» najmniej czcząc Boga, wolno mi wznieść
» do Niego głos za ciebie; tu mi wolno ko-
» chać, być kochaną, i pieścić nadzieję in-
» nęj przyszłości — Tam grób był jedyną
» przyszłością, miłość twoja zbrodnią —
» ta miłość, co me szczęście, mą siłę, me
» życie stanowi — która mnie czyni tysią-
» cznie swobodniejszą i wyższą nad tę nie-
» szczęsną, co mniema, że może swą usta-
» lić dołę, gnębiąc mnie i więząc..... «

*

*

*

» Nie lituj się nademną — Henryku, «
w innym, wyrażała się liście; » nie żałuj
» mię, żem od towarzystwa usunięta — Ja
» się raczej lituję nad tobą, że w nim żyć
» musisz — Bo towarzystwo takie, jakie
» wasze opinie, przesady, zwyczaje, wa-
» sza tyle słynna cywilizacya wykształciły,
» warte mojem zdaniem, pogardy, lub po-
» litowania tylko.

» Mówisz, że w moim wieku o świecie
» sądzić nie należy — » zapewne — Lecz
» pomnij, że ja dzieciństwa nie miałam; że
» wiek lalek zszedł mi na rozmyślaniu,
» wiek śmiechu, na boleści i łzach.

» Liczę lat nie wiele, lecz nieszczęść już
» wiele naliczyłam; a nieszczęście obfite
» w nauki! — Nieszczęście, jak skwarne go
» słońca promień, oświeca i dojrzewa za-
» razem na co tylko padnie — wprawdzie,
» gdy przejdzie miarę, strawi, spali, po-
» piół po sobie zostawi — wówczas poj-
» muję, że można obojętnie patrzeć na
» ludzi i całą ich przewrotność. Ja zaś —
» wyznaję — mimo wszystkich cierpień,
» jeszcze do tego nie doszłam stopnia —
» czuję i boleję — boleję nad niemi, że są
» takimi, nad sobą, że do ich rodzaju na-
» leżę — żem ich ofiarą — Bo wyboru in-
» nego nie pozostaje — wpadłszy między
» zbójców, albo trzeba zostać zbójcą, albo
» być zabitym — W towarzystwie każdy,
» co je składa, musi przesiąknąć się jego
» prawidłami — musi zrobić się chytrym,

» obłudnym, podstępny, lub paść ofiarą
» chytrłości, obłudy, podstępu — Między
» mojem przeznaczeniem a innymi, ta tyl-
» ko zachodzi różnica, że mi od razu ka-
» zano cały mój dług spłacić, a innym, co
» rok, co dzień, co minuta, odliczają jakąś
» jego część — Mnie od razu strącono
» w przepaść, innych nieznacznie, powoli,
» skrycie podkopują — Tego ze sławy,
» z honoru, tego z majątku, tamtego z ro-
» zumu, (jak Helenę), obiorą — a każdy,
» co spisek na bliźniego knuje, lub do nie-
» go należy, zawczasu pewien oklasków,
» byle mu się udał — na ten czas nikt mu
» słusności, rozumu, zasług nie odmówi, po-
» tępiając jedynie biednego przeciwnika.«

*

*

*

» Żartujesz sobie Henryku, z moich, jak
» ty zowiesz, wybuchów nienawiści dla
» towarzystwa — Dziwniejszemby zaiste
» było, gdybym je wielbiła — sam zważ,
» czy mi nie dało prawa do nienawiści? —
» czyż od kolebki, rachubą z jego prawideł

» wysnutą nie wypadło, iż mam być wy-
» kreśloną z jego łona? — czyż w stanie
» natury ojciec, matka — matka mówię —
» wyrzekłaby się własnego dziecka? —
» Jednak tak było ze mną — jednak tak
» się codziennie zdarza — Moje przyjście
» na świat, nie odpowiadało chęciom, mię-
» szło projekta, wikłało układy familijne,
» (układy, w których same światowe wzglę-
» dy miano na uwadze, bo pamiętasz, że
» przy nich, ani Klemencyi, ani ciebie się
» pytano) — a więc odesłano mię z domu,
» zapomniano, do klasztoru przeznaczono
» — i nikt się temu nie dziwił, i każdy znaj-
» dował naturalném, bo każdy w podo-
» bnym składzie rzeczy, tożsamoby zrobił.
» Jednak zastanowiwszy się, jakże mały od-
» cień między tym wyrokiem wydanym na
» biedne niemowlę, a zadaniem mu śmierci
» — ale prawodawcy uznali zabójstwo fizy-
» czne zbrodnią i ścigać ją kazali, a na nie-
» cności towarzyskie, na trucizny, na za-
» bójstwa moralne, przepisanych kar niema.
» Owszém, toż samo towarzystwo uspra-

» wiedliwia, upoważnia, pochwała wszy-
» stko, co tylko jego odpowiada rachubom
» — ugania się ono za bogactwem — a za-
» tém wszystko, co rozdziela majątki, jest
» naganném, wszystko, co je gromadzi, za-
» sługą — Ztąd majoraty, ordynacye, w oba-
» wie, żeby wielkich panów nie zabrakło.
» — Z téj wychodząc zasady, rodzice je-
» dnę część dzieci dla drugich, czyli wszy-
» stkie dla jednego poświęcający, muszą
» mieć w oczach świata największą słu-
» szność. — Cóż dziwnego, że i moi rodzi-
» ce, ogólnym przykładem wiedzeni, ubi-
» tym poszli torem? — Powtarzane przy-
» kłady stanowią zwyczaje, a zwyczaje
» w towarzystwie są pierwszemi prawami.

» Mówię ci to, byś niemyślał, Henryku,
» że chcę tu mych rodziców potępiać —
» broń mię Boże — Może się źle wysło-
» wiam — wybacz — ja pisać nie zwyczaj-
» na — rzucam myśli, jak mi się nasuwają —
» Jeśli ci się dziwaczniemi zdają, jeszcze
» wybacz, i nie dziw się, ja inaczej, niż
» wszyscy, na świat rzucona, z innego pun-

» ktu patrzeć na niego muszę. — Co do
» moich rodziców, oni tak zrobili, jak
» wszyscy robią — woleli jedno z dzieci
» widzieć blaskiem bogactw jaśniejące, od-
» bierające hołdy uwielbienia, niżeli dwoje
» w mierności, lub ubóstwie, pogardzane,
» poniewierane, szkalowane, jak każdy, co
» nie brzęczy złotem. — Co tylko dowo-
» dzi, com ci kiedyś mówiła, że ze zbój-
» cami, zbójcą zostać trzeba.«

*

*

*

» Chcesz mię przekonać, że gdybym
» z ludźmi żyła, uskromiłyby się zdania
» moje — straciłyby z cierpkości swojej;
» pojednałabym się ze światem — Być to
» może — czas i okoliczność — wielkie to
» są władze! — Nikt, co się zastanawiał,
» nie powinien do ostatniej chwili twier-
» dzić o sobie — mówić: tak, lub nie —
» Zaledwo o przeszłości twierdzić można!
» — mówię ledwo, bo nieraz ludzimy
» się nad przyczynami, które nią kierowa-
» ły, gdzie indziej, niż w prawdzie ich szu-

» kamy — ale ręczyć za przyszłość? — jakie
» kie zuchwalstwo! jaka niedorzeczność!

» To przekonanie nader do pobłażania
» skłania, co już jest wielką rękojmnią zgo-
» dy z ludźmi — Mimo to, wyznać ci mu-
» szę, iż jeszcze nie dość jój w sobie na-
» gromadziłam, by nie czuć, nie gorszyć
» się całą zdrożnością świata. — Każdy
» z twych pierwszych listów, gdzieś mi swą
» opowiadał historią — twą pierwszą dla
» Matyldy miłość? — w co ona to tak święte
» uczucie obróciła — wszystkie te szcze-
» góły, do najwyższego stopnia mię obu-
» rzały. — Unikałam wówczas nawet pi-
» sząc do ciebie, téj materyi, bo czułam,
» że pod takiem wrażeniem, nic z umiar-
» kowaniem powiedzieć nie można. — Te-
» raz, gdy to co w moich zdaniach tak mi się
» zimném zdaje, ty przesadą mienisz, jak-
» żeby ci się tamto wydało?»

» Czytałam gdzieś wprawdzie, że ludzie
» światowi, przez częste ścieranie się z so-
» bą, tak, jak moneta, co przez wiele rąk
» przeszła, ogładzają się, lecz zarazem tracą

» swe pierwotne piętno, i wartość, a tak
» nikt już odgadnąć w końcu nie może, ja-
» kie one były.

» Ze mną możeby się toż samo stało —
» światby mię wygładził, lecz w końcu już-
» bym sama siebie nie poznała — Lepiejby
» to może było — Światby jedną zwolennicę
» więcej liczył, a ja bym się pozbyła tych
» przykrych uczuć i wrażeń, co tak nie
» mile w serce koła.

» Bo i ja w świecie kiedyś żyłam — a lu-
» bo jego rozkosze, jego wdzięki i ułudy
» nie były znane, pamiętam jednak — o, pa-
» miętam — ile już mię wówczas przewro-
» tność jego raziła.

» Pamiętam, jak przez pochlebstwo je-
» dynie dla matki mojej, podnoszono, za-
» chwycano się, każdym słowem Klemen-
» cyi, choćby co najprostszego powiedzia-
» ła, a w złe i niedorzeczne obracano, co
» tylko ze mnie wyrwać zdołano — a potem,
» gdy znieśmielona odpowiadać nie chcia-
» łam, obwołano mię za głupią i upartą,
» wypychano za drzwi.

» Pamiętam, jak razu jednego pewna pani
» z wizytą przybyła, postrzegłszy, że jéj
» córka, więcej ze mną, niż z Klemencyą
» się bawi, poczęła ją o to strofować,
» a w przekonaniu, że ją nikt nie słyszy,
» mówiła bez ogródki, że trzeba być bar-
» dzo ograniczoną, żeby kilka razy będąc
» w jakim domu, nie domyśleć się, co
» w nim robić i mówić wypada. — »Tu na-
» przykład,« rzekła, »już byłaś powinna
» zmiarkować, że starsza córka kochana,
» a więc ją należy chwalić, z nią się bawić,
» jéj dogadzać — młodszą nienawidzona;
» więc, ani spojrzeć na nią — Trzeba uczyć
» się żyć na świecie.« — Takto matki wła-
» snym córkom obłudę nakazują, chytrość
» w ich młodych sercach zaszczipiają!

» Miałam wówczas lat dziewięć, lecz, jak
» dziś pamiętam oburzenie, jakie to we
» mnie sprawiło. Pierwszą to wprowadzie
» lekcją światową usłyszałam — odtąd, ileż
» podobnych o uszy się moje obilo! oczom
» się przedstawiło! Mianowicie kiedy twa
» macocha usiłowała wszelkiemi sposoby,

»skłonić moją matkę do związku naszego,
»który sama zniszczyć zamierzała!

»I ty mnie żałujesz, że ja w takim świecie
»cie nie żyję! gdzie trzeba uśmiechać się
»do tych, do których się odrazę czuje,
»całować tych, co się nienawidzi, serdecznie
»ściskać rękę, która ci tysiąc trucizn
»już podała i jeszcze tysiąc podać ci gotowa — o, nie — nie żałuj mnie, Henryku —
»lepiej być zamkniętą, a mieć przy najmniej wolność
»mniemania, że to jest wyjątkowe nieszczęście,
»że się jakimś ulega niezwykłemu przeznaczeniu,
»niż jak ty, być skazanym na przypatrywanie się i
»pochwalanie wszystkich zdrożności.

»Większąby mi było męczarnią, być co dzień
»zmuszoną udawać, kłamać, niż raz na zawsze
»pożegnać się z tymi, co inaczej, jak w udawaniu i
»kłamstwie, żyć nie umieją.

»O, miała słuszną moją matką, gdy utrzymywała,
»że ja nie stworzona do świata!«

*

*

*

» Pytasz mię, jak urządzono mój pokój?
» — czy mi w nim wygodnie? — chcesz
» wiedzieć, jak mię wprowadzono do nie-
» go — jakie były pierwsze w nim me-
» chwile?

» Wdzięcznam za twą troskliwość, lecz,
» czy uwierzysz, że po przeczytaniu słów
» tych, pierwszy raz uwagę zwróciłam na
» więzienie i niewygody moje!

» Po przybyciu tutaj, mieszkałam, jak
» ci wiadomo, z hrabiną — tak trwało i pod-
» czas bytności matki i stryja mego. — Drzwi
» tego pokoju, były na klucz zamknięte —
» Raz, w samym początku, zamiast do przed-
» pokojowych, przez omyłkę do nich po-
» szłam, lecz wzięwszy za klamkę, uczułam
» dreszcz, wskrós mię przenikający. — By-
» łoż to przeczucie, czy obawa, by Hrabi-
» na nie myślała, że ciekawością wiedzio-
» na, próbuje wejść do nieznanych i nie
» wskazanych mi miejsc? — Niewiem, ale
» odskoczyła od téj klamki, jakby ode-
» pchnięta jakąś niewidomą siłą.

» Piątego dnia po wyjeździe méj matki,
» gdyśmy wróciły z obiadu, znalazłyśmy

» ten pokój otwarty — Nic w nim nie było,
» prócz łóżka, dwóch stołków i stolika. Na
» łóżku spostrzegłam pościel moją usłaną,
» jak do snu. — »Ten,« wprowadziwszy
» mię tam, rzekła hrabina, »będzie twoim
» pokojem — obok mnie będziesz — bę-
» dzie ci w nim dobrze.« — Na te ostatnie
» słowa, mimo méj nieśmiałości spojrzałam
» jój w oczy — o! ktoś zdoła wyraz ich
» opisać? — Była w nich jędrza i anioł —
» jad żmii i lukrecyi słodycz; i blask pie-
» kła z pod powieki łagodnie i niby z przy-
» mileniem na mnie spuszczonej — Była
» w nich moja wyrocznia.

» Głośno ją w sercu usłyszawszy, padłam
» na kolana i modlić się zaczęłam, jakby
» w stanowczej godzinie — jakiś rodzaj
» obłędu mię ogarnął — niesłyszałam, jak
» drzwi zamknięto — niewiem, jak się w łóż-
» ku znalazłam.

» Następnego ranka, gdym przetwarła
» oczy, dzień już wskrós zaluzi się prze-
» mykał. — Pierwsze moje wrażenie, była
» radość, że nie widzę obok siebie, hrabiny
» łóżka — bo mimo jój dawnéj słodyczy

» mimo wszelkich z mój strony usiłowań,
» nie mogłam pokonać wstrętu, jaki do niej
» od pierwszej chwili uczułam.

» Ze świergocenia ptaszków, otrzepują-
» cych skrzydełka z rannój rosy, zdało mi
» się, iż to musi być wchód słońca — Chcia-
» łam o godzinie się dowiedzieć — szukam
» zegarka, który zwykle na szyi nosiłam —
» szukam go na szyi — szukam pod podu-
» szką — nigdzie go niema. — Był to osta-
» tni dar, ostatnia pamiątka mój drogiej sio-
» stry, którą mi razem z krzyżykiem, com
» tobie dała, dniem przed śmiercią ofiaro-
» wała. — Ta grabierz mię oburzyła. —
» Jeszcze sobie niedowierzając, patrzę, szu-
» kam — daremnie — oczywiście mi go za-
» brano. — Spojrzę na rękę — i pierścio-
» nek ślubny zdjęty!.....

» Wtenczas całe położenie moje stanęło
» mi przed oczami. — Zaczęłam posądzać,
» że mi coś przy obiedzie zadać musiano,
» dla lepszego uspienia, boby mnie inaczej
» tak nie obrano ze wszystkiego, com naj-
» droższego miała.

»Wyskoczyłam z łóżka — spróbowałam
»do jednych drzwi — do drugich — po-
»zamykane — Poszłam do okna, otwo-
»rzyłam zaluzję i okno otworzyć chcia-
»łam — ale okno zabite, na zawsze, po-
»ruszyć się nawet nie dało — a dolne
»szyby deskami założone!

»Na krzesło wskoczywszy, na palcach
»wspięta, przekonałam się dopiero, że
»jeszcze w zamku Vortal — Niebardzo obe-
»znana z moim pokojem, już bowiem i o tém
»zaczynałam wątpić — mniemałam w méj
»trwodze, że mój sen nieskończenie trwał,
»że mnie gdzieś za świat wywieziono.

»Ta pewność, że jeszcze w Vortalu,
»jakiś spokój w duszę mą wlała. — »O! to
»on tu, albo już jest, albo niebawnie wró-
»ci! — zawołałam, — a więc będzie jakaś
»opiekuńcza ręka czuwać nademną.«

»Domysliłam się łatwo, że to początek
»tych w Wersalu zapowiedzianych mę-
»czarni — Nie skarżyłam się, nie szemra-
»łam — Zdawało mi się, że nawet za-
»służyła na nie, kiedy przez pół roku,

» a mianowicie w ostatnich czasach, sa-
» mych doznając pieśczoć, zaczęłam po-
» sądzić, żeś chciał mnie zastraszyć jedy-
» nie dla pozbycia się i zerwania ze mną
» — że to był wybieg, fałsz..... Że twe
» uczucie, twe przywiązanie, było uda-
» niem.....

» Tak to, przestawanie z ludźmi, wszel-
» ką wiarę w sercu gasi, kiedy moje w cie-
» bie już wierzyć niechciało!

» Ilem sobie za to wyrzutów czyniła,
» ilem łez wylała, trudnoby ci dać wyo-
» brażenie. Odzyskanie wiary w ciebie,
» przekonanie, że cię jak wprzód, z całą
» ufnością duszy kochać i wielbić mogę,
» takim było dobrodziejstwem, iż usunęło
» z mego więzienia rozpacz i troski — Bo
» niema niedoli w życiu, jak strata sza-
» cunku dla ukochanej istoty, — a cóż do-
» piero, kiedy w zamian zostanie tylko
» przerażająca trwoga — a może pewność
» — że już nic nam do kochania nie po-
» zostanie na świecie!

» Około południa, jak wnosić ze słońca
» mogłam, dziewczyna, też sama, co mi
» się teraz aniołem stała, przyniosła śnia-
» danie i wodę w miednicy dla ochłodstwa.
» — Pociągnięciem sznurka otworzyła mały
» lufcik u samej góry okna, pokój prze-
» wietrzyła i uprzątnęła.

» Zapytałam ją o godzinę i jeszcze o coś,
» nie mi nie odpowiedziała, jakby pozba-
» wiona słuchu. Gdy skończyła robotę,
» lufcik nazad zamknęła i zapukała do
» drzwi kórytarzowych. Te zaraz otwo-
» rzone, znow po jej odejściu się zamknęły.

» W porę obiadową, obiad mi w koszy-
» ku podobnie przyniosła, ale już ją o nic
» nie pytałam.

» Tak w tęsknocie, we łzach, w modli-
» twie pierwsze chwile mi zeszyły — Ani
» razu mi nie przyszło obejrzeć się na miej-
» sce méj niewoli, ani troszczyć o wygody.
» wszystko to mi zupełnie obojętném było.

» W kilka dni dopiero, gdym więcej je-
» szcze, niż zwykle płakała, postrzegłszy
» w oczach owéj dziewczyny wyraz lito-

»ści, ośmieliłam się ją zapytać, czyś ty nie
»wrócił? — ona mi wskazała palcem na
»usta, że jój mówić nie wolno — poka-
»zała na drzwi, że za niemi słuchają —
»lecz głową dała znak, że tak, żeś ty
»przyjechał. — Była to pierwsza pociecha,
»pierwsza radość, jaką od dnia uwięzie-
»nia uczułam w duszy.

»Ale jakże ci opiszę tę, którą mi twój
»list sprawił? O! dnia tego pokój mój,
»zdawał się pełen światła, pełen słońca
»promieni, pełen woni i harmonijnych to-
»nów! — Bo téż i w sercu nowe zajaśniało
»słońce!

»Dnia tego — pamiętam — ku wiecz-
»rowi — pełne jeszcze radości i wdzię-
»czności wzniosłszy w niebo oczy, przypa-
»trywałam się rozmaitym kształtom chmur,
»(bo z mego mieszkania chmury tylko wi-
»dać) a gdy jedne za drugimi szybko
»ulatywały, myślałam sobie, że to jest
»wzór życia ludzkiego — że może i moje
»biedy tak kiedyś przebiegną, zostawując
»po sobie niebo błękitne i czyste.....

»Kiedy tak mówię dumałam, usłyszałam
»raptownie jakąś muzykę — o, cóż to za
»rozkosz była! — Było to dopełnieniem
»wszystkich rozkoszy dnia tego.

»Mniemałam z razu, że mnie która z tych
»chmur gdzieś w niebieskie krainy z sobą
»zabrała — Następnie, zdało mi się, że
»to ktoś, czyli raczej, że ty mnie fetę ja-
»kąś sprawiasz — bo każde wrażenie moją
»myśl ku tobie zwraca.

»Żeby pojąć cały urok téj muzyki dla
»mnie, trzebaby, jak ja, być pozbawionym
»wszelkiego odgłosu, wszystkiego, co ucho
»pieści — Jedne tylko ptaszki, koncertów
»mi swych nie szczędzą — do nich zakaz
»odpowiadania mym prozbom nie doszedł.

»Muzyka ta, były po prostu biedne or-
»gany pozytywkowe, czyli jak zowią tak-
»że szeinekatorynka. Wskoczywszy na
»krzesło, na palce się spiąwszy, zobaczy-
»łam biedaka, co idąc drożyną fosse pa-
»łacową okrążającą, usiadł na kamieniu
»i grał. Usiadł pod oknami, z których się
»litości — jałmużny — spodziewał — o! by-

»łabym mu dała, co tylko miałam, taką
»wdzięcznością byłam zdjętą dla niego! —
»ale cóż, i jakbym mu co dać mogła!.....

»Gdzież to litości szukasz! — rzekłam
»tylko z westchnieniem — tu jój nawet
»z imienia nie znają!...

»Taki to był ten mój dzień radośny!
»jaśniej on dotąd w méj pamięci, jak
»gwiazda w czarnej nocy — jaśniej on
»w pośród długiego pasma dni szarych
»i smutnych.....

»Dnia tego w mém więzieniu nawet było
»mi dobrze — swobodnie — wesoło. —
»Lecz później, gdy mi w swych listach —
»zacząłeś świat i ludzi opisywać — gdy
»kreśląc wypadki życia swego, począłeś
»ich najbrzydsze odsłaniać przywary, naj-
»szkaradniejsze ich moralne choroby, wrzo-
»dy wykrywać.... o, wtenczas zdało mi
»się, że nie dość od nich daleko; że
»nie dość drzwi, nie dość zamków mię
»od nich dzieli — Wolałabym była, być
»pod ziemią — w jakim lochu, gdziebym
»inném, co oni, powietrzem żyła, nie wi-

»działa nieba, co ich pokrywa — słońca,
»które niewiem, za co im przyświeca....

»Wybacz Henryku wyznaniu memu —
»Listy two sprawiły we mnie boleść nie-
»słychaną — wówczas nie mówiłam ci te-
»go, z obawy, byś ich nie zaprzestał,
»a chciałam, pragnęłam się dowiedzieć
»do ostatniego słowa wszystkiego, co się
»ciebie tyczy — Czeakałam ich z drzeniem
»niecierpliwości i obawy razem — czy-
»tałam, pożerałam je, lecz po przeczyta-
»niu, wołałabym może była ich nie od-
»bierać.....

»Tak to w człowieku wszystko jest sprze-
»cznością! — Takto i ten pokój, o który
»pytasz, lubo zawsze tenże sam, wszel-
»kie już dla mnie przybierał postacie, to
»mi się zdawał za nadto — lub nie dość
»ponury — czasem mi był świątynią ra-
»dości — czasem — częściej — mieszka-
»niem smutku i cierpienia.

»W wielkim téż szczęściu, jak i w wiel-
»kiej boleści, wszelkie zda mi się miej-
»sca, obojętnemi być muszą — bo, jak

»szczęście swym odbłaskiem wszystko
»ozłoci, tak téż nieszczęście wszystko
»swym pomrokiem przyćmi — a gdy roz-
»ściele swój ciężki i czarny całun, jakież-
»by róże pod nim nie zwiędły?...

»Po śmierci Klemency, ani widok nie-
»ba, słońca, gwiazd i księżyca, ani ziemi
»kwiatem okrytej, nic mi się pięknem nie
»wydało — wszystko owszem nową ro-
»dziło boleść, wszystko do łez pobudzało
»— i gdyby mię do książęcych przeniesio-
»no komnat, pewnoby ich przepych mnie
»nie omamił, możeby mi jeszcze gorzej
»w nich było, niż w tym skromnym pokoi-
»ku, który już tyle łez moich widział!

»Nie troszcz się więc mój drogi o wy-
»gody moje — te cztery nagie i brudne
»mego więzienia ściany, o, jakżeby piękne,
»jak ozdobne mi wyglądały, gdyby nie
»dzieliły, lecz łączyły z tobą! «

*

*

*

»Znów mi o wyswobodzeniu wspomni-
»nasz, znów nowe jakieś marzysz proje-

» kta — Zostaw mię, jak jestem, luby Hen-
» ryku — Teraz poznawszy dokładnie cały
» stan rzeczy, przekładam terażniejsze moje
» położenie nad wiele innych, a mianowi-
» cie nad to, co twój poprzedziło wyjazd.

» Wrócić do matki, byłoby wyrzec się
» ciebie na zawsze. — Ciebie się wyrzec!!
» o, nigdy — nigdy. — Wrócić do wolno-
» ści takięj, jakięj przed twym wyjazdem
» używałam? — Nie mieć innego towarzy-
» stwa, jak tylko, i wyłącznie Hrabinę? —
» Wolę nie mieć żadnego — wolę zupeł-
» nę być oddaną samotności.

» Ciągle być pod jęj śledzącém okiem —
» już dawniej było dla mnie męczarnią —
» teraz, gdy ją z twych listów poznałam,
» równałoby się śmierci — Nie dziw się
» Henryku — jest to zapewne skutkiem
» męj dzikięj natury, zaniedbanego wycho-
» wania — lecz kochać ją, rzeczą mi jest
» niepodobną, a udawać codziennie i w ka-
» żdęj chwili, niepotrafiłabym.

» Co dzień proszę, błagam nieba, by
» oddalało z serca mego nienawiść, bo ją

» za nieszczęście i występpek uważam —
» Zdaje mi się téż, że nienawiści do niej
» nie czuję — Jednak, gdy co parę tygo-
» dni przychodzi, przegląd więzienia mego
» czynić, lub mi list do matki dyktować,
» nie mogę wstrzymać się od zadrzenia na
» jój spojrzenie — a gdy odchodzi, cieszę
» się, że do mej samotności powracam.

» W inném położeniu, gdyby mi przy-
» szło słyszeć się zwaną twą żoną, tve na-
» zwisko nosić — a wiedzieć, że nie zer-
» wanym węzłem z inną połączony, jój twą
» zaprzysięgałeś wiarę — Ciągłe mieć przed
» oczami, ponawiające się obrazy — jój
» miłość — jój zazdrość — a co gorsza, jój
» praw!!..... O, dzięki, dzięki prze-
» znaczeniu, że mię od tego oswobodził
» widoku — dowód to niezawodny litości
» dobroczynnego nieba.

» O, gdyby podług twego wniosku, ona
» cię kiedy uwolnić od przysięgi miała!....
» Ale nie — gdzież — jakże można prze-
» stać cię kochać? — marne tve nadzieje —
» Nie, nam nic nie pozostaje, jak czekać

» nieprzewidzianych jakichsiś losu kolei —
» wszakże wszystko w przeznaczenia rękę.
» — Czekajmy — cierpmy.«

XIV.

(M i ł o ś ć.)

I czekali i cierpieli:

Zuzanna, ochłonawszy z tego oburzenia
wzniesionego spowiedzią Henryka, niesłus-
znością losu, przewrotnością świata, zwró-
ciła się cała ku swój miłości dla męża.

Kochanie było potrzebą jój natury.
Wstręt i nienawiść, tém boleśniej były
jój sercu, iż znalazłszy ją bynajmniej do
tych niemiłych uczuć nie usposobioną,
niemiłosiernie je raniły.

A jakże było się nie oburzać, dowiadu-
jąc się, do jakiego stopnia posuwała swą
nikczemność, swą niegodziwość, kobieta,
w której rękę cała jój przyszłość spoczy-
wała! Niegodziwość, którą Henryk starał
się w swych listach, ile mógł wystawić, ja-
ko rzecz naturalną, zdarzającą się dość

często w świecie, jeżeli nie w skutkach takich, jakie w Vortalu wzięły, to przynajmniej w zasadach.

Przytaczał jęj mnogie we Francyi przykłady matek, za swych kochanków własne wydających córki, poświęcających je własnej rachubie i rozwięzłości, udzielając im tylko nazwę matek. Co w odwrotnym stósunku mogło iść poniekąd w parze z postępkiem Matyldy.

W takiem to świetle uczyła się świata Zuzanna, lub przynajmniej ostatnie odbierała nauki, drogo zaiste opłacone.

Lecz jak przyniesione z dalekich stron ziarno, nie długo zdoła na obcęg ziemi, pod obcęg niebem, obfite plony wydawać, a krajowe rośliny zagłuszą je niebawnie, zabierając żywioły dla siebie przez matkę naturę przeznaczone, tak też i niebawieć Zuzanny nie mogła wzrastać długo, obok codzien wzmagającej się miłości.

I cóż dziwnego? — Zupełnej samotności oddana biedna dziewczyna, czyż nie miała do wszelkich marzeń szerokiego

pola? — oddalona od rzeczywistego świata, od życia, od prawdy, jakiż jój świetny zostawał horyzont do wszelkich łudzących urojeń! — A cóż piękniejszego, jak urojony kochanek?

Wielkie to jeszcze pytanie, czy bywają inni w świecie? — Czy serce co kochać przestaje, ulega innéj zmianie, jak tylko téj, że zamiast górno-lotnéj miłośnéj ody, pierwszy raz usłyszysz swe poetyczne urojenie, cierpkim głosem rozsądku przełożone na prozę?

O, smutna to chwila życia! — okropny to spadek ze szczytu Olimpu, w ciemną lodowatą odchłai, gdzie wszystkie pochodnie gasną.... wszystkie kwiaty więdną.

Zuzanna mogła je długo w całej zachować świeżości. Bo z kądzęby się wziął w jój więzieniu ów mroźny wiatr, pod którym opadają kwiaty?

Nie mając innego zajęcia, jak pisanie listów, zlewała w nie ten nadmiar życia, który mimo jój wiedzy oddawna pierś jój przepełniał, uciskał. Ta ciągnęła z Henry

kiem zamiana myśli i uczuć, zaludniała jęj samotny pokój, była dla nięj szczęściem, nadawała jęj wyobraźni ruch i ogień, pod którym tysiące nowych, coraz powabniejszych obrazów, zdań, uczuć, się rozwijało, — te róże, z których prześliczne wiła korony, by niemi czoło kochanka zdobić. Miłość jęj tak opiewana, coraz szerzej i głębiej ją ogarniała, codzien pod wymowném piórem wzrastała, oskrzydlała się, w niebo się wznosiła.

Henryk był pierwszym, który otworzył ten bogaty, a przed tém nieznany skarbiec wszystkich klejnotów jęj serca, Henryk téż stał się zwrótnią jęj młodocianych, jęj niebiańskich pieśni — był on tłem, na które dowolnie i pełną dłonią sypać mogła wszystkie perły i korale świeżęj duszy, jakoż ich nie szczędziła.

Niebawnie Henryk był już dla nięj istotą nadziemską, a uczucie, jakie mu niosła, religijném zachwyceniem.

Lecz uginając kolano przed tém własnego utworu bożyszczem, ani się domy-

ślała niewinna dziewczica, że je własnymi jedynie bogactwy tak pysznie uzłociła, własnymi tak świetnie ubarwiła kolory; że własną czcią świętość mu nadała jedynie.....

Takto w zimnej i ponurej izbie, której sam odstręczający pozór dreszczemby przejął każdego, gorącym, ognistym oddychała powietrzem zamknięta w niej młoda niewiasta. Pozbawiona wszelkich przyjemności, wszelkich potrzeb życia, żyła tam ona życiem jej właściwym, życiem urojonem, niebiańskim, etherycznym, — życiem, którego by nie jeden pod purpurą bogacz pozazdrościł, gdyby mu dozwolonem było choć na chwilę go zakosztować.

Ale purpura truje to ożywne, to świeże wiosenne powietrze, nie dopuszcza tej porannej rosy, koniecznie potrzebnej do takiego życia. — I słusznie — cóżby dla mierności, dla ubóstwa zostało, w sprawiedliwym opatrności podziale?

W taki sposób dla Zuzanny zeszła jesień, tak i część zimy zeszła. Lecz w koń-

cu, gdy na wszystkie tony swe miłosne hymny odśpiewała, gdy eolska arfa już nowych nie miała akordów, a czas żadnej nie przynosił zmiany, poczęła biedna postrzegać, że i ptaszki już dla niej nie dają koncertów, że na niebie już nie ma tego tła błękitnego, na którym lekkie ulatujące chmurki, tak miłym były dumania przedmiotem, że się całe przyrodzenie, szarą powlekło oponą, że cała natura spi, czy płacze.....

Długie samotne wieczory leniwo i tęsknie wlec się zaczęły dla smutnej Zuzanki, a sny jej złociste opuszczając już czasem skrzydła, nie dość ją często kołysały, by nie uczuła chwilami, że na twardém spoczywa łożu.

Dusza jej potrzebowała wstrząśnienia, pragnęła jakiego wypadku. — Życzenia się jej spełniły — nowy podmuch wionął na tę nieco bledniejącą lunę — nowym płomieniem zajaśniała gorejąca namiętność.

W zamian ciągle opłakiwaną obrączki ślubnej, przysłał jej Henryk pierścień, z na-

pisem: »Twój na zawsze« — a w nim włosy swoje.

Jakże opisać, jakże dać wyobrażenie o radości téj nieszczęśliwój!

Lecz pierwsze uniesienia ustąpiły niebawnie, przed poważniejszym, świątobliwszém uczuciem, z jakim Zuzanna ten nieoceniony dla siebie dar przyjęła.

Były to bowiem dla niój drogie relikwie związku chwilowo zagrzebanego, który kiedyś miał zmartwychwstać, związku, który cierniem wieńczony, krzyżową mękę wytrzymawszy, powstanie, jak mnie-mała, silny, mocny, pełen życia i przyszłości.

Był to nowy ślub dla niój, nowy zakład tego szczęścia, którego promień, jakkolwiek daleki i blady, ogrzewał wszakże jój duszę, wskrzeszał jój umysł, od rozpaczny chronił.

Dzień, godzina, w których to nowe go-dło, wiary, nadziei i miłości, przeszło jój progi, stały się odtąd wielką uroczystością w więzieniu Zuzanny — Postem i mo-

dlitwą ją obchodziła, bo biedna! jakąż inną świetność nadaćby jój mogła!

Pierścień umieszczony na sercu, tak, żeby każde jego czuł poruszenie, co rannek, wydobyty i powieszony obok Matki Boskiej wizerunku (któren z pobożnej książki poszedł był na ścianę w miejsce modlitwie poświęconém) odbierał cześć i hołdy, świętym tylko przedmiotom należne.

Wszakże pamiętać trzeba, że serce namiętnością wzdęte, wyobraźnia rozbujana ciągłym z tą namiętnością igraniem, w codziennych opisach uroczej miłości obłąkiwały prawie umysł i uczucia Zuzanny, tém łatwiej, że w zupełném odosobnieniu żadną realnością hamowane być nie mogły. Tam żaden zimny wyraz prawdy, nie padł w jój rozplómiętioną duszę, żaden cień pomroczej rzeczywistości, nie przyćmił płomienistego obrazu kochanka już prawie w obłokach widzianego.

Gdyby też jaki mnich, w pośród swych zakonnych wyobrażeń, był ją tak znalazł

na klęczkach, korzącą się przed obrączką, w którejby tylko kawałek marnego kru-
szczy widział, cofnąłby się zgorszony, zo-
wiąc ten zapal świętokradztwem — Lecz
każdy zakochany, lub ten, co jeszcze bez
westchnienia, wspomnieć nie może swych
dni różanych, byłby padł przed nią na
kolana, byłby ucałował miejsce jój ko-
lanem starte! *) — Bo w jój sercu wszy-
stkie miłości już się w jeden potok zlały.
Zuzanna pełna wiary, bogobojna, pobo-
żna, jak każdy, co cierpi, jak każdy nie-
szczęśliwy, co się tuli do jedyne go łona,
które nie odpycha nieszczęśliwych, jużby
jednak wtenczas nie zdołała sama rozró-
żnić, miłości boskiej od téj, co Henryko-
wi niosła, jużby nie określiła, gdzie się
jedna kończy, a zaczyna druga — Czuła
tylko, że kocha — że kocha bez miary —
bez granic.

Już pierwszy oddech wiosny na przy-
rodzenie wionął — niektóre drzewa pękać

*) Innym, radzę nie kończyć tego rozdziału, bo nie w nim
nie rozumieją — a zdęci litością dla autorki, znudzą się
i zasną.

począły, inne się liściem i śnieżném kryły kwieciami — niebo się śmiało, ziemia zieleniała. Natura i na młodą niewolnicę swe szerząc prawa, i w niej nowe obudziła życie, czyli raczej nowego życia potrzebę.

Gdy czasem, ku schyłkowi słońca, pociągnięciem sznurka otworzyła górny lufcik, upojona wkrótce balsamiczném kwiecia powietrzem, wskakiwała na stołek, by się przypatrzeć łąkom, drzewom, srebrnej wstędze opodal płynącej rzeki.... wszystko ją zachwycało, unosiło, jakby pierwszy raz te obrazy przedstawiały się oczom.... Bo téż raz pierwszy widziała je pod blaskiem swój roziskrzonej miłości, a ten zwodniczy blask wszystko upiększa, każdej rzeczy nowego nadaje wdzięku i powabu.

Wówczas byłaby rada w swe objęcia całą naturę zagarnąć, przycisnąć ją do swego łona.... każdemu z osobna robaczkowi, każdej roślinie powiedzieć, ile ją podziwia, ile je kocha.... bo ona wówczas

wszystko kochała.... bo zbytek miłości przepełniając jój duszę rozlewał się w koło niej na wszystko i na wszystkich.... prócz jednéj wyjątkowéj istoty, którój, jak sama wyznała, mimo wszelkich usiłowań, kochać nie mogła.

W takich zachwyty chwilach, wszystkie jój niebiańskie melodye na nowo w niej śpiewały, wszystkie sny jój majowe, skrzydełkami trzepotały, podlatywały, w obłoki się wznosiły..... O! wołała nieraz biedna, jakbym ja po téj łące z Henrykiem bujała!... jakbym te kwiaty zbierała i w nie się stroiła, żeby mu być piękniejszą.... Jak tam pod cieniem dobrzeby się spało! jakbym się w téj wodzie mile nurzała!.... o, mój Boże, komużby to szkodziło!...

A gdy przypadkiem konik polny zabłąkał się do jój więzienia, witała go zrazu, jak miłego gościa, pieściła, jak przyjaciela, lecz w końcu wolności go wracała, bo to grób, rzekła — tu życia niema — tu oddychać niepodobna.....

Lecz kiedy się zdarzyło, że przedłużając swe dziewicze, swe rokoszne marzenia, wschodzący księżyc zastał ją jeszcze zawieszoną u okna — blade jego promienie, szelest młodego liścia pod wieczornym chłodem drżącego, brzęczenie wszystkich motylów nocnych, dalekie psów szczekanie, i te tysiące sielskich odgłosów pełnych tajemnej harmonii — zmieniały je wkrótce w dumanie miłe — lube — tęskne.

Później jakiś nieład powstawał w myśli, jakieś pragnienia bez nazwy, nieznanne żądze poczynąły się tłoczyć do młodego serca — pierś wzdymać — oddech ukracać — przecinać.....

Wówczas ujrzałbyś Zuzannę, jak małe swe krzyżując rączki, całą siłą uciskała tę pierś, to serce, jakby z obawy, żeby się nie rozpękły, lub, jakby chciała pochłonać w nich, czy pokonać namiętą burzę..... ujrzałbyś ją z przetwartemi usty, z upragnieniem chwytającą tę odrobinę powietrza, tak jój skąpo udzielanego

—ze wzniesioném w niebo okiem, wołającą o litość..... potem, w tém oku zabłysła łza, gorąca — wrząca..... potem cały ich potok rosił zimne, sierockie łoże.....

XV.

(Choroba.)

Takie były dnie, takie nocy Zuzanny.

Lecz jeżeli w tak głębokiej pogrążona niedoli, nie zawsze mogła ufać w przyszłość z tą nadzieją, jaka jój pierwszym towarzyszyła chwilom, zwiększenie jednak cierpień, bynajmniej się jój nie przedstawiało, jako rzeczą podobną, i z téj przynajmniej strony zupełnie spokojną była, kiedy nowy nadmiar srogości, nowy i okrutny cios jój zadał.

Usłyszała ranku jednego jakiś nie zwyczajny szelest, hałas, chodzenie, stukanie za kórytarzowemi drzwiami. Daremnie starała się domysleć, co to być może, i tysiące tworzyła wniosków. Dowiedziała się w końcu nieszczęśliwa, że za temi

drzwiami wprowadzają drugie z kołem, kłasztorném kołom podobne, a przez to koło miało być jój podawane jedzenie i wszystko, co mniemano do jój bytu potrzebném.

Takim sposobem litościwa dziewczyna usunięta, a Zuzanna od razu pozbawiona wszelkich ważniejszych wiadomości, jakie jój czasem na migach udzielała, a co gorsza, listów od Henryka, możności przesyłania mu swoich, słowem wszystkiego, co ją do życia przywiązywało jeszcze!....

Trudno opisać żalu, smutku, rozpacznych chwil pierwszych — to atoli cierpienie podwoiło się wszakże, gdy zastanawiając się i szukając przyczyn tak okrutnej zmiany, nie mogła jój niczemu przypisać, jak tylko wykryciu tajnej korespondencyi — a ztąd jak okropne musiały wyniknąć następstwa nie tylko dla biednej dziewczyny, lecz i jeszcze okropniejsze dla samego Henryka!

W samotności, a do tego w gorączkowym usposobieniu, myśl sama sobie zostawiona, ciągle w koło siebie krążąc, wzmaga się, co chwila wzrasta, monstru-

alne niebawnie przybiera kształty. W małej muszce słonia w końcu widzimy — posądzenie, domysł, w najsilniejsze zmienia się przekonanie.

Przez kilka dni pierwszych, okrutną miotana niespokojnością Zuzanna, walcząc jednak ze straszliwemi widziadłami swęj wyobraźni, czekała jeszcze, czy jaki list z kąd jęj nie spadnie? — czy jaka wiadomość nie przedrze murów jęj więzienia? — czy jaki litościwy odgłos, jakie objaśniające słowo, nie przemknie się przez owo nieszczęsne koło, lub przez drzwi które? — Czekala — Lecz żadne pismo, żadne słowo, nie przyniosło jęj cierpieniom ulgi!

Opuszczona, w zupełném, jak się zdało, od wszystkich zapomnieniu, sobie i swęj błakającęj myśli zostawiona, już w końcu nie wątpila, że jęj listy przejęte, już słyszała każde słowo straszliwęj sceny z tąd wynikłęj — widziała Henryka wtrąconego do podobnego, a może gorszego od jęj więzienia — widziała go w pod-

ziemnych lochach kajdanami obciążonego, widziała truciznę.... żelaza.... krew....

Bo na cóż, rzekła, niepoważy się za-
zdrość rozjątrzona? — Czegóż się nie do-
puści kobieta taka, jak hrabina? kobieta
gotowa na wszystko, a której wszystko
uchodzi! wszystko się udaje!

Silna na swe cierpienia Zuzanna, na wi-
dok cierpień kochanka, wszystkie ją opu-
ściły siły. Moc cała, równie z mocą du-
szy zwałowała.

Zupełnie snu pozbawiona, żadnego po-
karmu nie biorąc w usta, już od dni kilku
z łóżka się podnieść nie mogła — O po-
wietrze, o wodę tylko błagalnym wołała
głosem..... ale nikt jój nie odpowiedział,
nikt jój pomocy nie dał.

Głosu tego nikt nie słyszał, a gdyby
i słyszał, niktby ratunku podać uwiezio-
nej nie mógł. Hrabina bowiem, więcej
roku poświęcając się strzeżeniu swój ofia-
ry, zmuszona w końcu ważnemi interesami
do wydalenia się z domu, nikomu całkiem
nie dowierzając, nikomu kluczków więzie-
nia nie poruczyła.

Ten wyjazd, ta nieufność, jedyną była przyczyną nowego przemysłu klasztorne-
go koła, gdyż pocziwa dziewczyna tak
zręcznie pełniła swój miłosierny obowiąz-
zek, że macocha najmniejszego podejrze-
nia o żadnych stosunkach swych pasier-
bów nie miała.

O, gdyby kto o tém był doniósł Zuzan-
nie! ale hrabina i Henryka z sobą zabrała,
zasłużonej i wierniej Anieli, (znaniej już
nam pokojówce) poruczając tylko staranie
zanoszenia codziennie do koła jedzenia,
i wszystkiego, co zwykle dla uwiezioniej
zanoszonem bywało.

Już drugi tydzień od wyjazdu państwa
mijał, Aniela raz, drugi, trzeci, znalazła
w kole wszystko nie tykane — Strwożona,
słuchać poczęła — usłyszała jęk, stęka-
nie..... Jeszcze mocniej przerażona, po-
ważyła się w swój trwodze, zawołać hra-
biny Henrykowej, prosząc, żeby się do
koła zbliżyła i powiedziała, czy jój czego
nie potrzeba? — żadnej nie odebrała od-
powiedzi..... Jeszcze słuchała.... ale już
nic nie słyhać było....

Sama nie wiedziała, co począć, jak postąpić... Już kazała zawołać ludzi do drzwi wyłamania, lecz w połowie drogi drzeć zaczęła z obawy, jak jęj pani znajdzie tak śmiały krok, do którego ją bynajmniej nie upoważniła, Wróciła, i ludzi odesłała.

Już i Anieli sypiać nie mogła, a dzień raz przez noc do koła biegając, z nową wracała niespokojnością, kiedy nareszcie powrót pani, koniec jęj położył.

Hrabina natychmiast o wszystkiém uwiadomiona, największą przerażoną się trwożą. Stał jęj zaraz w myśli ów artykuł intercyzy, którym na przypadek bezpotomnego zejścia hrabiny Henrykowej Vortal, posag jęj miał do rodziny Monnival wrócić.

Wpadła do zamkniętego pokoju przerażona, pomieszana.... to pomieszanie zwiększyło się jeszcze na widok martwo na łóżku wyciągnionej Zuzanny, bez żadnej oznaki życia.

Wszelkie, najdzielniejsze ratowania środki, długi czas żadnego nie brały skutku;

lecz w końcu przyłożone do ust zwierciadło lekką pokryło się parą.

Na ten widok, nową nadzieją ożywiona troskliwość macochy, do nowych odwołała się sposobów. Kazała przyrządzić ciepłą kąpiel, a tymczasem, całe skrzepłe ciało omdlonéj, etherem i tęgim octem nacierano.

Po kilku godzinach takiego nacierania Zuzanna powoli zaczęła powieki podnosić. Dano jéj ożywnego napoju, pytano, czy czego nie żąda — lecz nie otrzymano żadnéj odpowiedzi. Chora nie miała siły żadnego wymówić słowa.... jakieś imię tylko na jéj zsiniałych błąkało się ustach... ale tak słabym wymówione głosem, jak ta ostatnia iskierka życia, co w niéj jeszcze tlała, uszło szczęściem uszu hrabiny.

Bystre jednak oko byłoby spostrzegło pewną niespokojność, niewytlómaczoną troskliwość, z jaką Zuzanna ciągle na sercu rękę trzymała, na chwilę jéj nie podnosząc. Macocha uważała to za skutek choroby, przypisywała mocnéj palpitacyi ner-

wowój, wstrząśnionego serca. Mocno wprowadzie biło to serce, ale między niém a ręką, był pierścień Henryka na cienkiej nitce uwieszony na szyi.

Choroba Zuzanny trwała długo i uporczywie, coraz nowy, coraz straszliwszy przybierając charakter.

Hrabina wahała się pewny czas między obawą jej skutków, a tymi, jakie nastąpić mogły z przypuszczenia do domu osoby obcej, przyzywając lekarza. W końcu jednak zdecydowała się na ten ostatni środek.

Sprowadziła z dalekich stron, wielkim kosztem, i wielki rozgłos dając swój macierzyńskiej pieczy, człowieka znanego ze znakomitego talentu, z rostargnienia, które, jak uczony, jednym wyłącznie zajęty przedmiotem, do wysokiego posuwał stopnia, i z tego, że w najważniejszych zdarzeniach parę dni tylko choremu poświęcając, chorobę odgadł, zaradził jej, lub nieuleczoną ją zawyrokował.

Przyzwany lekarz bawił istotnie dni dwa. Lecz te dwa dni były nadzwyczaj utrudzającymi dla Matyldy.

Urządziła już to ona wprowadzić cały dom do téj wizyty, zapobiegając zawczasu wszystkiemu, co tylko przewidzieć mogła. Henryk był wysłany na kilka tygodni pod pozorem interessów. Chora przeniesiona do pokoju hrabiny, bo urządzenie jéj mieszkania, bez żadnych ozdób, z drewnianymi w oknach szybami, obok pięknych zamkowych salonów nie dawno odświeżanych, dziwném mogłoby się obcemu wydawać. Część ludzi, to jest ci wszyscy, na których milczeniu mniej polegała, z Henrykiem wydalenii; a gdyby Zuzanna, tłómacząc przyczynę swéj choroby, wyrzekła jakieś niepotrzebne słowo, lub skargę jaką, Matylda miała to zaraz na stan jéj gorączkowy, lub osłabienie umysłu złożyć.

Mimo to, ciągle czuwanie nad nią z jednéj strony, a z drugiéj nad doktorem, tak, żeby ani z sobą w jéj nieprzytomności, ani z nikim z domowych rozmawiać

nie mogli, było zbyt trudném przedsięwzięciem.

Lecz jak wszystko, tak i to, wybornie się udało niegodziwój macosze.

Lekarz znalazł początki gorączki nerwowój, i cały system nerwowy w bardzo złym stanie. Upuściwszy dużo krwi, przepisał parę chłodzących i spokojących napojów, nakazał dużo ruchu, powietrza, rozrywki, dogadzania chorój we wszystkiém, słowem, co tylko zwykło nerwy łagodzić; a że chodzić nie była w stanie, kazał ją przy sobie jeszcze do pojazdu zanieść, i pierwszy z nią (wspólnie z hrabiną, ma się rozumieć) odbył spacer, zalecając, aby codzień był powtarzany.

Zuzanna odwykła od ruchu pojazdu, ogarniona ciepłem powietrza, którego także jój skąpiono zwykle, uczuła najprzód zawrót głowy; wszystkie przedmioty w oczach się jój kręciły i przewracały; lecz niebawnie usnęła, a po przebudzeniu, jakiś spokój i zadowolenie, powlekł jój zchudzone rysy.

Doktor bardzo z téj próby zadowolony, kazał ją ku wieczorowi do altany ogrodowej zanieść. Tam chora znów usnęła, a w tym śnie, którego od dawna zupełnie pozbawioną była, nowego doznała polepszenia.

Bezsensowność jest jedną z głównych męczarni, osób wielkiem zmartwieniem dręczonych. Zuzanna na samo wspomnienie nocy, w których z otwartemi oczyma ciągle widziała Henryka, to w kajdanach, to w krwi broczącego, to na stół prowadzonego, dreszczu i drzenia dostawała. Odzyskanie snu, a do tego snu spokojnego, bez gorączkowych widziadeł, było dla niej wielkiem dobrodziejstwem. Jednak wzrokiem tylko ośmieliła się podziękować swemu dobroczyńcy. Zawsze w przekonaniu o uwięzieniu Henryka, w czem zwolnienie jój więzienia, jeszcze ją bardziej potwierdzało, ani słowa wyrzec nie śmiała, z obawy ściągnięcia na niego jeszcze większej surowości.

Wszelako, gdy przy pożegnaniu, lekarz jeszcze raz zalecał, jak najwięcej ruchu i powietrza, mówiąc, że w téj porze roku, ono jest najskuteczniejszém lekarstwem na podobną słabość. — »O, prawda,« mimowolnie zawołała, »ja téż czułam, że mi powietrza braknie, że mi jego potrzeba, ciągle w początku méj choroby wołałam i błagałam o nie; ale....«

— »Nie potrzeba było, ani wołać, ani błagać,« cierpkim głosem, ze wzrokiem, pod którym cała się wstrzęsła Zuzanna, przerwała hrabina. Lecz spostrzegłszy uwagę doktora na siebie zwróconą, łagodząc natychmiast wyraz oczu i mowy, słodziechnym dodała tonem: — »Wszakże kiedyś trzymała u ciebie okna zamknięte, to było jedynie, żeby ci chłód ranny i wieczorny nie zaszkodził, bo mi to twa matka poleciła, i wiem, drogie dziecię, jak delikatną jesteś. Ale jeżeli o to chodzi, przyrzekam ci solennie, że będziesz je mogła odtąd do woli otwierać.

Doktor zaręczył, że nietylko szkodzić nie może, ale trzymanie okien otwartych, jest nieodzownie potrzebne do zdrowia Zuzanny. A ona pożałowawszy słów, co się jój wysliznęły, zaprzysięgła sobie już od-
tąd na wszystko stałe zachować milczenie.

XVI.

(Powrót do więzienia.)

Lekarz wyjechał. — Przepisy jego dość dokładnie pełniono. Hrabina prawie codzień woziła chorą na spacer; później ją do ogrodu prowadziła i tam nad nią czuwała.

Lecz stan Zuzanny mało się polepszał: siły jój bardzo powoli wracały.

Ciągle dręczona myślą, że ta jój wolność okupiona niewolą Henryka, najmniejszej przyjemności w niej nie znajdowała; a ta rozkoszna przyroda, to upragnione powietrze, tak były dla niej zatrute ciągłą obecnością macochy, iż chętnieby się ich wyrzekła, by tylko z pod jój wyzwolić się wzroku.

Przeczuwała wreszcie biedna ofiara, i nieraz z mowy hrabiny dorozumieć się mogła, że ta wolność, czyli raczej ten pozór wolności, jest tylko tymczasowym, że prędzej, czy później, przyjdzie jej wrócić do więzienia; a terażniejsze jej życie, tak mało powabu miało, ten ciągły przymus, ciągle baczenie, nie tylko nad każdym słowem, lecz nawet nad zmianą głosu, wyrazem oczu, tak ją chorą i osłabioną męczyły, iż nieraz tyle pragnęła już powrotu do dawnego sposobu życia, jakby kto inny wyzwolenia pragnął; tém bardziej, że mniemała swém uwięzieniem, jakąś może osłodę sprowadzić w losie Henryka.

Po kilku tygodniach takich rozkoszy, Zuzanna, wracając jednego wieczora z macochą z ogrodu, ujrzała prawie z radością, drzwi dawnego pokoju swego otwarte i łóżko swe przeniesione.

Serce ludzkie jest tak dziwaczne, iż nieraz bardziej się przywiązuje do miejsc, gdzie dużo cierpiało, niż do tych, gdzie się dużo o niego obilo czczego gwaru i śmiechu.

Zuzanna powitała swój samotny pokój, jakby dawnego przyjaciela, z którym już się nieraz płakało. Lubo w nim rzeczywiście nigdy Henryka nie widziała, jednak ten pokój był dla niej pełny wspomnień jego. Tu pisała do niego, tu płakała po nim, tam modliła się za niego; gdy odtąd pod okiem hrabiny nieśmiała myśli na niego zwrócić. Witła wszystkie te wspomnienia, jak drogie swój samotności towarzyszyki, do których miło jęj było wracać.

W tym pokoju żadnej nie było odmiany, prócz otwierającego się z łatwością jednego okna. Czy to w skutek przyrzeczenia, czy poleceń lekarza się stało, Zuzanna uradowana tym widokiem, pierwszy raz doznała dla macochy uczucia wdzięczności.

Wielką to zaiste, było rozkoszą dla biednej samotnicy, przyglądać się dowolnie, i bez żadnego przykrego świadka pięknej okolicy, przechodzącemu bydlu, przejeżdżającym podróżnym; napawać się ciepłym sierpniowym słońcem, tak jęj zdrowiu potrzebne!

Co rano téż, gdy skończyła długie modlitwy, jedyne jęj teraz zajęcie, otworzyła okno, a usiadłszy w poręczowém krześle, z opartą głową, w tym stanie osłabienia, co to między snem a omdleniem łączy, aż do wieczora prawie nieruszyła się z niego, marząc czasem o Klemency, o tym losie dla nięj przygotowanym, a który ona spełnia; częściej jeszcze o Henryku, o dziwaczném i nieszczęsném ich przeznaczeniu, przebiegając wszelkie podobieństwa koleje, już nie do połączenia się z nim, lecz tylko do otrzymania jakiej bądź o nim wiadomości.

Ale jakto najczęściej bywa, ciągle tak myśląc i przemyślając, przemyśliła wszystko, co być mogło i nie mogło, prócz tego, co nastąpić miało.

W parę tygodni po powrocie do samotności, gdy jak zwykle dumiała w otwartém oknie, szary pomrok w około nięj padał, a jęj jeszcze nie chciało się odejść od niego, postrzegła z góry na sznurku spuszczone pudełeczko. Nie wiedziała

zrazu, co to ma znaczyć, nie śmiała go się dotknąć, gdy wstrzymane u krawędzi okna dało jęj czas przeczytania na przylepionęj kartce: »Weź i otwórz.«

Tak drżąca, iż ledwo znalazła siłę odwiązania sznurka, porwała za pudełko.... W niém znalazła list od Henryka!

Radość, wzruszenie, do reszty ją sił pozbawiły. W oczach się jęj zaćmiło, w uszach szumić zaczęło.... O, jakże już dawno podobne uczucie nie nawiedziło jęj serca!.....

Zaluzje i okno starannie zamknąwszy, żeby nikt znikąd zajrzeć do nięj nie mógł, zabrała się do czytania.

Henryk objaśniał przyczyny, które wznieciły myśl ktasztornego koła. Mówił, że ten projekt tak nagle i z taką tajemnością dopełniony został, iż nikt w domu o nim nie wiedział, aż kiedy nowe drzwi na zawiasy kładziono; poczem dnia następnego zmuszony z macochą za interesami wyjechać, żadnym sposobem nie mógł ją o niczem uwiadomić, co go ciągle dręczyło.

Uspokoił ją także o losie litościwej dziewczyny, dawniej ich powiernicy. Ta, tegoż jeszcze dnia, co drzwi zmieniono, została oddaloną z domu, lecz hrabina i w tém największą otoczyła się tajemnością, tak dalece, że sama ją na dyliżans odwiozła i tam ją wyprawiała. Nikt więc dokładnie niewie, dokąd ją odesłała, wiedzą tylko, że ją hojnie za usługi i milczenie wynagrodziła.

Daléj Henryk opisywał swą boleść nad chorobą swéj ukochanej, tém silniejszą, że powtórnie wysłany, ani ją widzieć, ani jéj żadnej o sobie wiadomości udzielić nie-mógł, i wzajemnie wszelkich o jéj stanie był pozbawiony szczegółów.

W końcu o nowym swym przemyśle mówił, o nowym sposobie korespondowania. »Jak tylko,« rzekł, »Józef, ów stary i wierny sługa, co ci się zrazu podobał za przybyciem do Vortalu, postrzegł u ciebie okno otwarte, zaraz mi z radością tę zmianę doniósł, i natychmiast uradziliśmy, że w dachu zrobimy ukryty otwór, przez

który przy zmroku, i kiedym zwykł Matyldy nieodstępować, a cała służba na wieczerzę do kuchni odchodzi, Józef na sznurku spuści pudełko z listem, w którą dnia następnego, swą odpowiedź włożywszy, nazad do sznurka uwiążesz.« Zalecał jęj przy tém, ostrożność i uwagę w przywiązywaniu téj Pandorowéj puszcзки.

Nowy i nieoczekiwany ten wypadek, lepszym stał się lekarstwem, jak wszystkie przepisy doktora. Życie Zuzanny rozjaśniło się raptownie, jakby nową oświecone zorzą. Pudełeczko co wieczór się spuszczało, a oddawszy list Henryka, zabierało od rana przygotowaną na poprzedni list jego odpowiedź; co wieczór nową przynosiło radość, nową rozrywkę, miłe zajęcie.

Później, gdy siły i czerstwość zupełnie już wróciły, a szary i smutny Grudzień, zrodził potrzebę urozmaicenia cokolwiek dni samotnych, Zuzanna zażądała książek. Jakoż tenże sam kurjer, co przynosił listy, dostarczał jęj nietylko książek, gazet, pism

peryodycznych, lecz ołówków, farb, i rozmaitych do kobiecych robót drobiazgów.

Podzieliła więc dzień na godziny czytania, rysunkom i igle poświęconych, prócz dwóch głównych zajęć, modlitwy i listów, które zawsze szły przed wszystkiem.

Lecz jak w listach i modlitwie, tak i w innych zatrudnieniach, Henryk był zawsze jedynym i wyłącznym celem. Dla niego pod biegłym pędem tworzyły się bukiety, krajobrazy, i rozmaite szkice; dla niego robiły się woreczki do pieniędzy, futerały do cygarów, i różne ładne upominki. Kiedy zaś macochy przyjscia obawiać się mogła (co raz, lub najwięcej dwa razy w miesiącu się zdarzało) kryła te wszystkie przedmioty w materac, w którym od spodu zrobiła na to otwór tak zręcznie, iż żadne oko tamby nic nie spostrzegło.

Tak to miłość, przemysłu i dowcipu dodaje! tak to za jej pomocą, najprzebieglejszych oszukać można!

XVII.

(Wybawiciel.)

Już rok trzeci mijał więzienia młodej pani Vortal; wszystko szło w zamku jednakowym porządkiem, jakby w najprościejszym składzie rzeczy; wszystko w nim było spokojnie i na pozór zupełnie swobodnie.

Henryk nie krył się po lasach i zdawał się wyrozumialszym, niż za bytności Heleny; ztąd i Matylda spokojniejszej myśli oddawała się znowu, w celu poprawienia interesów, rozmaitym spekulacyom, z jakiej to słabości zręczniejsi od niej, korzystać nie zaniedbywali.

Nieraz téż hrabina, przychodząc z ćwiartką papieru, kałamarzem i piórem do Zuzanny, by jej wskazać, jaki ma list do matki napisać, jakimi wyrazy, swe zadowolenie i spokojne szczęście malować, jakie pochwały, mężowi i macosze oddawać, przyniosła razem zapisany arkusz, którego nie czytając, kazała swój niewolnicy podpisać.

Były to oblige na zaciągane w imieniu Henryka i żony jego długi.

Główny błąd, częstokroć łudzący tych, co źle czynią, jest w przekonaniu, że co się już udało, udać się nadal musi.

Hrabina zachowująca z Heleną pełno, jak widzieliśmy ostrożności, tak co do jój osoby, jak do zewnętrznych pozorów, nie uważając z Zuzanną na pierwsze, i na drugie mniej uważać zaczęła. Mało kogo wprawdzie w zamku przyjmowała, lecz nie mogąc już ponowić o obłąkaniu bajki, zbywała dość niezręcznie pytania o pani Henrykowej, zrzucając na jój nieśmiałość, dzikość, układ melancholiczny, odrazę do ludzi, a mianowicie do obcych, jój nieobecność w salonie.

Mimo to, zaczęto okolicznie zwracać uwagę na to nienaturalne ukrywanie żon hrabiego Vortal. Z przedpokojów zaczęły się także rozmaite rozchodzić pogłoski. Zaszły one aż do miasteczka o kilka mil odległego, gdzie niedawno ze swą brygadą przybył na konsystencyą generał D***

dawny przyjaciel ojca Zuzanny, a nawet cokolwiek z jej familią spokrewniony.

Dawniej kwaterując w sąsiedztwie pana Antoniego, widział się z nim właśnie po powrocie jego z wizyty vortalskiej, i słyszał tysiączne opowiadania pysznego zamku, świetnego przyjęcia, szczęścia Zuzanny i obu rodzin zupełnego zadowolenia.

Niemogąc tego pogodzić z wieściami w rozmaitych kształtach o uszy jego obijającemi się, najmniejszej nie przykładał zrazu wiary do tych plotek zwyczajnych małym miasteczkom. Gdy jednak zbyt długo powtarzano, znudzony, umyślił położyć im koniec, sam na miejscu o prawdzie się przekonawszy.

Lubo nie znajomy hrabiemu, ani macoszce, mniemał, że tytuł krewnego domu Monnival i przyjaciela ojca pani Henrykowej, dostateczną będzie rekomendacją. Jakież było zdziwienie jego, gdy zamiast gościnniej uprzejmości, z największą oziębłością, prawie z niesmakiem go przyjęto; a gdy zaczął upraszać o zaszczyt złożenia

uszanowania swego młodéj hrabinie, odrzeczono, że jest od kilku dni słabą i pokoju swego nie opuszcza.

— »To może słabość, wróżąca miłą dla pana hrabiego nadzieję?« zapytał generał.

— »Tak i my wnosimy i wszelkie do tego jest podobieństwo,« śmiało odpowiedziała Matylda.

Generał odwrócił się do Henryka, chcąc mu powinszować; lecz ten już był raptownie znikł z salonu i więcéj do niego nie wrócił.

To zniknięcie, i całe przyjęcie mocno zastanowiło generała. Uważając, że go na obiad nie mają zamiaru zatrzymać, odjechał ze zmarszczoném czołem i z silném postanowieniem ponowienia jakkolwiek niemiłej wizyty.

W tydzień potém, gdy zdaleka ujrzano w zamku pojazd jego, wyszedł szwajcar donosząc, że państwo na kilka dni wyjechali w sąsiedztwo.

Za powrotem do miasteczka, na liczne pytania o skutkach swych wizyt, sam nie

wiedział, co odpowiedzieć jenerał; lecz gdy spostrzegł uśmiech na niektórych ustach, powiedział, że do trzech razy, każdej sztuki próbować trzeba, i że on jeszcze nie traci nadziei.

Jakoż, gdy za trzecim do zamku powrotem, znów ujrzał szwajcara z tymże samym konceptem, zawczasu już przygotowany, odparł wojskowym tonem, przed którym szwajcar spuścił głowę, że mimo to, zajędzie do zamku, bo i wypoczęcia czuje potrzebę, i chce gospodarzy doczekać, mając do nich ważny interes.

W pałacu nauczeni ludzie, z podziwieniem zobaczywszy przed ganek zajeżdżający pojazd, czémprędzej oświadczyli, że nikogo w domu niema; na co jenerał sucho odrzekł rozkazem wskazania sobie gościnnego pokoju, gdzieby powrotu państwa mógł doczekać.

Zastraszeni tym górnym tonem służalcy, na wszystkie rozlecieli się strony, zostawując w sieni dużym i niecierpliwym krokiem chodzącego jenerała.

W kilkanaście minut przyszedł Andrzej z kluczem i zaprowadził go do górnego od ogrodu pokoju. W porę obiadową przyniesiono mu tam jedzenie, ku wieczorowi herbatę, i zapytano o dalsze rozkazy.

Jenerał jeszcze raz powtórzył, że ma zamiar czekania powrotu hrabstwa — a tymczasem przypomniał kamerdynerowi swemu o poruczoném mu zleceniu. Ten przebiegły i wierny człowiek, miał sobie dane pieniądze na ucztę dla służby dworskiej, a mianowicie na wino, w karczmie, gdzie konie odprowadzić kazał.

Następnego ranka, jenerał dokładny odebrał rapport: wiedział, że państwo, to jest Matylda i Henryk, ukryci w zamku, czekali wyjazdu gościa, którego przyjmować sobie nie życzyli, a pannę Zuzannę od ostatniej przed dwoma blisko laty choroby, nikt nie widział. Czasem tylko wyszedłszy wieczorem na boczną drogę, zdaleka można było przez okno, gdzie się małe światło migało, dojrzec cień małej i chudej niewiasty, samotnie po górnych

pokoju przechodzącą się — I ztąd wnoszono, że to musi być ona i że jeszcze żyje.

O wszystkim już uwiadomiony, czego wiedzieć pragnął jenerał, dozwolił sobie przyjemności udarczenia nieco hrabiny i Henryka, przez całą dobę jeszcze ich więząc; a ku wieczorowi dnia następnego, poszedł na ową poboczną drożynę, spojrzeć na okno, o którym mu mówiono.

Zbliżyć się do niego niepodobna było, bo głębokim rowem i murem od drogi był broniony; lecz przebywszy zarośle, chrusty i pokrzywy, wspiał się jenerał na ów murek (na którym to przed kilku laty list Heleny tak długo leżał, nim go stary żołnierz znalazł,) i widział dokładnie przez przedziały zamkniętej żaluzji, cień powoli i samotnie chodzącą po pokoju kobiety.

Powróciwszy do domu, natychmiast w długim i szczegółowym liście, uwiadomił o wszystkich swych odkryciach margrabinę Monnival.

Ta w odpowiedzi, przysłała mu cały zbiór listów córki, ciągle powtarzającą

o swobodzie i szczęściu swojém; listy pełne pochwał dla męża i macochy.

Jenerał zniecierpliwiony, bolejąc nad każdą chwilą męczarni Zuzanny, przejęty zgrozą, że takie nadużycia dźiać się mogą w wieku i kraju cywilizacyą celującemi, wzięwszy paro - tygodniowy urlop, pospieszył do Wersalu, dla nakłonienia swęj krewnej, by zamiary jego, potrzebujące matczynęj powagi, wsparła swą przytomnością.

W kilka tygodni potém, ujrzano wjeżdżający na dziedziniec pałacu vortalskiego, duży pojazd, w którym margrabina Monnival, jenerał D*** i dwóch urzędników cywilnych jechało. Temu pojazdowi towarzyszyli żandarmy i kompanja kawalerji z brygady jenerała.

Żołnierze zamek natychmiast otoczyli; żandarmy wszystkie drzwi na baczeniu mieli; a z pojazdu wysiadłe osoby, oświadczyły chęć widzenia gospodarzy.

Henryk się gdzieś ukrył, a hrabina blada i pomieszana wyszła do nich.

Natenczas jeden z urzędników, w imieniu prawa i matki, zażądał widzieć i mówić z hrabiną Henrykową Vortal.

Nieprzeciwiać się temu bynajmniej ma-cocha, prosiła, by na chwilę do salonu wejść raczono. Sama zaś co prędzej pobiegła do Zuzanny: — »Idzie tu,« zawołała, »o twój los, o twą całą przyszłość — Matka twoja chce ciebie ztąd wywieść i do klasztoru zamknąć — przyjechała z żołnierzami i sądowym urzędnikiem, gwałtem ciebie odebrać — Teraz miarkuj, co wolisz, czy żoną być Henryka, czy spełnić dawne twój matki zamiary? — Jeżeli pierwsze nad drugie przekładasz, zależy to jeszcze od ciebie — Powiedz tylko i przysięgnij, że wszystkie o tobie rozsiewane wieści, są fałszem, wymysłem złośliwych ludzi — żeś zupełnie szczęśliwa, i prosisz, by cię zostawiono przy mężu, przy matce jego, słowem, jak teraz jesteś. Tym sposobem siebie od klauzury wybawisz, Henryka od strasznego zarzutu, imię jego i twoje od skazy — On mi zlecił, bym

cię o to w jego imieniu, jak najusilniej prosiła, i domyślasz się, jak ci czule będzie obowiązany, bo tu głównie o jego sławę chodzi, o honor jego, a może o przyszłość, o życie.«

Zuzanna odurzona tą mową, przestraszona, sama niewiedząc, czemu wierzyć i co czynić, gotową się na wszystko oświadczyła.

Macocha wrzuciła jej spiesźnie na ramię chustkę z siebie zdjętą, dla przykrycia styranego i podartego odzienia swęj niewolnicy, której strojem nie znajdowała potrzeby zajmowania się. Obuwie jej także zużywane i z nóg spadające, chciała swojem zastąpić; ale małe Zuzanny nóżki, utonęły w trzewikach hrabiny, i niepodobna było je na nich utrzymać.

Tak, prawie bosą i w największym nieładzie powierzchownym, równie jak i wewnętrznym, Zuzanna zaprowadzoną została tylnymi kórytarzami do kaplicy zamkowej. Na stopniach ołtarza kazała jej uklęknąć macocha, powtarzając, co ma mó-

wić, na co przysięgać, gdy swą matkę w towarzystwie kilku obcych mężczyzn ujrzy na chórze — »Bo,« rzekła, »gdybym dozwoliła jój zbliżyć się do ciebie, niezawodnieby cię porwać kazała, i niezdolałabyś się przemagającą obronić sile.« *)

Przygotowawszy w taki sposób Zuzannę, udała się do czekających jój powrotu gości, z doniesieniem, że pani Henrykowa zezwala i gotowa jest ich widzieć — »ale,« rzekła odwracając się do urzędników cywilnych, »panowie zapewne przybyliście dla zrobienia indagacyi, dla spisania protokołu, może potrzebujecie do tego papieru i pióra?«

Urzędnicy podziękowali, mówiąc, że wszystko, co im potrzeba, z sobą przywieźli; a hrabina przewodnicząc całemu towarzystwu, drogę im w niezliczonych przejściach starego zamku wskazywała.

Lecz, jakież było ogólne podziwienie, kiedy zamiast w salonie, lub buduarze młodej pani, ujrzeli się na chórze kaplicy?

*) Wszystkie te szczegóły są co do słowa prawdziwe.

Kiedy zamiast elegancko przystrojonej hrabiny, postrzegli obdartą zbiednioną dziewczynę, bladą, chudą, i wszystkie oznaki niedostatku na sobie noszącą!

— »Oto masz, pani margrabino, córkę przed sobą,« śmiałym głosem, z bezczelnością jej tylko znaną, rzekła pani Vortal do pani Monnival.

Zdumienie przerażonej matce i wszystkim mowę odjęło, zawarło usta.

Natenczas hrabina korzystając z ogólnego milczenia, rzekła: — »Teraz Zuzanno powiedz, co ci dobra wiara i sumienie wyznaczyć nakazują — powiedz całą prawdę w obliczu tego Boga, przed którym cię widzimy, a panowie dopełniajcie obowiązku swego, każde jej słowo wiernie zapisując.«

Zuzanna lubo drżącym głosem, wyraźnie jednak wyrzekła nauczone zeznanie, przysięgając: — »że wszystkie rozsiewane »o niej wieści, są fałszywe — że sposób »życia, jaki prowadzi, jest z jej wyboru — że całkiem znajduje się zadowolona

»i szczęśliwą — i uprasza matki, całą familią i przyjaciół, by spokojni o nią, raczej ją terażniejszemu losowi z mężem i macochą jego zostawić, bo to jest jedynym życzeniem jej serca.« Zakończyła, iż tę przysięgę wykonywa dobrowolnie i z własnego natchnienia.

Podług zalecenia hrabiny, ukończywszy przysięgę Zuzanna, skryła się za wielki ołtarz, dla uniknienia mogących nastąpić, a nieprzewidzianych pytań, na któreby może według życzenia macochy nie odpowiedziała.

Urzędnicy, sporządziwszy protokół, oświadczyli, że przed taką przysięgą, prawo milczeć musi. Jego bowiem dążność jest w kojarzeniu, a nie w rozdwarzaniu małżeństw; ono zawsze wraca żonę mężowi, lecz mimowolnie jej mu odbierać nie może.

Z tryumfem to usłyszawszy hrabina, rzekła: — »Teraz, gdy już nic nie mamy do roztrząsania między sobą, żegnam państwa, prosząc, abyście podobnych nie po-

wtarzali wizyt, bobym i ja mogła prawnie dopomnieć się o niesłuszność takowych na dom mój napaści, choćby dla zrzucenia całej takiego postępku hańby, na tych, co na nią właściwie zasługują, dopuszczając się nadużyćców tak niesłychanych, tak gorzszących i nagannych.

XVIII.

(S t a ł o ś ć.)

W odjeżdżającym pojeździe, największe panowało milczenie. Każdy zadziwieniu był oddany, każdy odmiennemu ulegał wrażeniu.

Najgwałtowniejsze było jenerała, równie żałującego tylu nadaremnie uczynionych kroków, niepotrzebnych zabiegów, jak rozgniewanego za rodzaj skompromitowania siebie, margrabiny i władz wezwanych.

W zamku także niemniej odmienne ten wypadek sprawił skutki. Tryumfowi machochy pewna towarzyszyła obawa, jakie może mieć następstwo wykrycie oczywiste

jéj tajemnych postępków. W Henryku zaś obok głębokiego wstydu, zatliła się nadzieja, że ta obawa nakłoni hrabinę do zmienienia losu Zuzanny, a przynajmniej do złagodzenia go.

Lecz jak to często bywa, równie obawy, jak nadzieje, na niczém spełzły. Pani Monnival rozgniewana na córkę, za pogardzoną pomoc, za odepchnięcie podanej sobie ręki, i przekładanie nędzy i więzienia nad dom matki; jenerał zniechęcony niepomyślnością swéj wyprawy, odstąpili oboje od zamiaru czynienia dalszych kroków. Pan Antoni, daleko osiadły, dopiero z wód powracając, dowiedział się od bratowej tego niepojętego wypadku, a mając go sobie przedstawionym tak, jak go pani Monnival widziała, w témże samém i on go ujrzał świetle.

Margrabina po jakimś czasie, widząc, iż się nie wykrywają żadne, strony przeciwnéj zamachy, uspiła swą obawę, i żadnej nie przyniosła zmiany, tak w zamiarach, jak w postępowaniu względem swych ofiar. Henryka zawsze swą niezgasłą miłością,

żonę jego swą nienawiścią i zazdrością dręczyła. Jednemu coraz więcej wpajała przekonanie, że on z nią najświętszym, nigdy niezerwanym węzłem połączony, drugą nie myślała nawet nigdy na wolność wypuścić. Używała i trwonila jój majątku w coraz szerzej krzewiących się spekulacyach, a ją na coraz większe prywacye i cierpienia skazując. W następnych latach, gdy uszczuplające się znacznie dochody, zmuszały do uszczuplania wydatków i służących liczby, tak dalece o wszelkich biednej Zuzanny zapomniano potrzebach, iż sama musiała odzienie i obuwie swe naprawiać i łątać, by zupełnie z niej nie spadły, a w udzielanej sobie dla osobistego ochędostwa wodzie, sama prac musiała prawie już nigdy nie zmieniając bieliznę!

W téj całej historii, czy powieści, zbyt na nieszczęście prawdziwej, najprawdziwsze są wszystkie wypadki najmniej do prawdy podobne. Do tych właśnie rzędu należy przeciąg czasu więzienia i wytrwałość Zuzanny.

Wszystko na świecie zużywać się musi — umysł — serce ludzkie — a tém bardziej nadzieje długo zawodzące. Szczęście zbyt długo pożądane, zbyt długo oczekiwane, traci swój urok, przestaje zachwycać, unosić, przestaje prawie być szczęściem.

Lecz w życiu Zuzanny, w jej wychowaniu, nawet już może w samej jej naturze, wszystko z ogólnych wychodziło rachub.

Zuzanna bowiem, wytrzymała podobnego więzienia, więcej lat szesnastu!! — i przez te lat szesnaście dochowała, jakby sposobem Apperta (bo jak wiemy, prawie powietrza pozbawioną była) jednostajną rezygnacją, w swjej niedoli, równą miłość dla męża, równie gorące życzenie, choćby kiedykolwiek być z nim połączoną.

W końcu, coraz pogorszające się interessa do tegoż wróciły stopnia, z jakiego wniosek panny Monnival, na jej nieszczęście był je wydzwignął; to jest: że zagrożono sekwestrem dobra i zamek vortalski.

Hrabina nie mogła żadnym sposobem znaleźć summy potrzebnej do zaspokojenia

choćby najgłówniejszych długów; a już osiągnięcia trzeciego posagu nie tworząc sobie nadziei, gwałtownie się zmartwiwszy, zachorowała. Tymczasem sekwestr do skutku doprowadzono. Dom w Paryżu, także zabrano, a z zamku wszystkim kazano ustąpić, dla oddania go nowym właścicielom.

Takim to dopiero szczęśliwym trafem, lubo okupionym utratą całego majątku, Zuzanna wolność odzyskała.

Do szczególności zaś jęj przeznaczenia, i tę policzyć należy, iż bogactwa, dla wszystkich zadatkiem szczęścia, od pierwszego dnia jęj życia główną, może jedyną były wszystkich jęj nieszczęść przyczyną. Gdyby się w ubogiej zrodziła familii, gdzie zwykle nie troszczą się o koleje spadków, nie byłaby z domu wypchniętą, nie byłaby w nim zapomnianą, niecierpianą. Później, gdy śmiercią siostry zdwoiły się jęj krocie, w miarę bogactwa i nieszczęście się wzmoгло. Ono to było przyczyną, dało myśl, niecznych podstępów, ex-baletniczki, dziwnego małżeństwa Zuzanny z Henry-

kiem i niesłychanych następstw jego; a równo z majątkiem i nieszczęście się skończyło.

Wyzuci ze wszystkiego państwo Vortal, niemając się gdzie podziąć, udali się do Paryża, — do tego miejsca, równie wszystkich nędz schronienia, jak i wszystkich zbytków stolicy.

Po raz to pierwszy wówczas odbywali podróż całkiem wspólnie; już wprowadzili nie pysznymi ekwipażami, lecz bez herbów i liberyi ubogim dyliżansem.

Przez ciąg téj podróży, hrabina zmuszona była, patrzeć na Zuzannę, długimi prywacyami osłabioną, opierającą nieraz na Henryku, swą ciężącą głowę. Widok ten nieznośny, dla przepełnionego jeszcze namiętnością serca, podwajał jéj gorączkę. Do tego myśl nieodstępna i dręcząca niepodobieństwa położenia nowéj przeszkody połączeniu temu, dopuszczania się innych także niegodziwości bezkarnie, i przy wszelkich zewnętrznych oznakach poważania i szacunku, jakie odbierać zwykła;

słowem, strata od razu wszelkich korzyści, wielkim dostatkom towarzyszących, obok wstydu powrócenia w nędzy do miejsca, gdzie niegdyś świetniała, spotkania dawnych swych pochlebców z politowaniem, lub pogardą w oku — Wszystko to wyteżało jęj umysł, pożerało, niszczyło wszystkie sprężyny jęj życia.

Po przybyciu do Paryża, złożono ją chorą do łóżka; a Zuzanna pierwszej chwili użyła, do napisania do matki, w następujących słowach:

» Otóż teraz zupełnie oswobodzoną jestem — Podzielaj szczęście moje matko!
» — Piszę do ciebie na biórku drogiego
» Henryka — w pokoju męża mojego —
» z którym już mię nikt do śmierci nie łączy, przysięgam na to i jeszcze raz
» przysięgam — a za rok dam ci godnego
» ciebie wnuka.«

W całym stylu listu tego, a szczególnie w obietnicy do roku odłożonej, widać tę młodocianą naiwność, razem z innemi zaletami Zuzanny, sposobem, jak mówiłam

Apperta, w całej pierwotnej świeżości i niewiadomości dochowanej. A co szczególniejsze nad wszystko, to to, że pani Vortal co do słowa dotrzymała obietnicy matce uczynionej. W rok właśnie powiła syna, a przesłiczne to dziecko, przebłagać dopiero zdołało rozgniewaną babkę.

Pani Monnival wszelako córce tylko przebaczyła, i nawet widząc ją w nędzy ze szczupłej swój pensyi część jej udzieliła. Lecz zięciowi nigdy zapomnieć nie mogła złej wiary, oszukaństwa, na jakie zezwolić nie był powinien, które żadną słabością usprawiedliwić się nie da. Matyldy zaś wspomnieć bez wstrząśnienia nie mogła.

Téj słabość, coraz groźniejszy przybierała charakter. Gdy chora mimo zakazu lekarzy, nie mogła się wstrzymać od wina, do którego od młodości zaprawioną była, od czasu kiedy ją szampanem za kulisami częstowano, żeby śmielój i lżej na scenę wyskakiwała, a w którym w późniejszych czasach chciała swe troski, swe spekulac-

cyjne niepowodzenia utopić, gorączkowe jój paroksyzmy nieraz równały się szaleństwu. Widok ich nader był przykry Zuzannie; nieszczęściem stargane jój nerwy, znieść tego nie mogły. Kiedy macocha wyskakując z łóżka, porywała się na nią, lub w swym obłędzie, zapominając wszelkich zmian losu, znów jój więzieniem groziła, albo zaczęła doborowemi także z młodocianych wspomnień słowy, przeklinać ją, jój męża, i przyszło ich dziecię; Zuzanna równym prawie ogarniona obłędem, uciekała z domu, i wracać do niego lękała się.

W kilka miesięcy, gdy stan młoděj pani Vortal, nakazywał jój więcej na się baczności, a fundusze nie pozwalały wielkich wydatków, zdecydowano umieszczenie macochy w szpitalu. Nadzieja uniknienia obrazu szczęścia swych ofiar, skłoniła ją do przystania na tę ostateczność. Lecz tam nowe ją czekało umartwienie. Spotkała w nim albowiem swego kuzyna Alfreda, owego ajenta, który to pierwszy jój nędzę

przygotował, obudzając w niej najprzód
namiętność do spekulacyj, następnie zwi-
kławszy interesa uwożąc jęj summy.

Ów kuzyn wracał właśnie z galar.
W kilka lat po swém z Paryża zniknieniu
schwytyany i na 10 lat do ciężkich robót
za jakąś skazany zbrodnię, właśnie był
wówczas swą wolność odzyskał, a niema-
jąc żadnego sposobu do życia, pod pozo-
rem udanej, czy prawdziwój słabości, umie-
ścił się tymczasowo w szpitalu, nim nowe-
mu przemysłowi będzie mógł się oddać.

Mówią, że scena, gdy przy pierwszém
spotkaniu ci dawni kochankowie zaczęli
sobie wzajemnie, długi szereg swych nie-
godziwości wyliczać, może się równać tyl-
ko z ową w dramacie Wiktora Hugo, gdzie
Lukrecyi Borgia przestępstwa jęj wy-
rzucają.

Hrabina z za kulis, od wszystkich opu-
szczona (bo pasierbowie z obawy skan-
dalu, gdyby ich wyklinąć poczęła, nie
śmieli ją odwiedzać, a inni znać jęj nie
chcieli) w szpitalu skończyła. Choroba jęj

w końcu do wściekłości dochodziła. Umarła w konwulsjach najokropniejszych boleści, z przekleństwem na ustach, jak przystało po takim, jak jój życie.

Gdym przybyła do Paryża 1833 roku, historia ta niedawno rozwiązania doszła, wszędzie powtarzaną bywała, wszystkich mocno zajmowała.

Niebawnie po tém poznałam osobiście panią Henrykową Vortal, i jój małego chłopczyka, nieodstępного matki towarzysza.

Lecz pani Vortal, ani ze mną, ani z innymi, daleko dawniejszymi znajomymi, nie lubiła o swój przeszłości mówić. Ważniejsze tylko wypadki, z kąd inąd już znane, jako, prawne wezwanie matki, dziwne w kaplicy zeznanie, ostatni do matki list, słynny swą naiwnością, i inne podobne czasem wspominała, i to nawiasem, unikając, jak się zdawało, wszelkich objaśnień i szczegółów. Czasem téż w rozmowie zdarzyło jój się o nędzy, jakiej w więzieniu doznawała nadmienić, lecz się i nad tém

nie rozszerzała, jakby chciała co prędzej wszystko to niepamięcią pokryć. Mniemam, że w tém milczeniu była chęć i dążność do skorszego przytłumienia nie miłej sławy, i tego mianowicie głosu, co ogólnie na pana Vortal powstawał.

Ztąd wynikło, że głośnie tylko mając podania, nie byłabym bez pomocy pani Sirval w stanie osnowania żadnego, prawdziwego tła; wszelkie zaś dodatkowe szczegóły, tłómaczące poniekąd dziwne i acz rzetelne, trudne do wierzenia wypadki; musiałam własnymi domysłami nadstarczać — co otwarcie i szczerze czytelnikowi wyznaję.

Trafia się to niestety i surowszym dziejopisom! a nawet w najpoważniejszych historyach ludzi i narodów, jak to mnogie ich sprzeczności dostatecznie dowodzą.

I ta téż powieść, cokolwiek później, w rozmaitych zapewne kształtach, w pamiętnikach i romansach się okaże. Dotąd jeszcze milczą o niej, czyto, że zbyt rzecz świeża, czyli, podług wniosku pani Sirval,

przez wzgląd na bohaterów codziennie w towarzystwie paryżkiém spotykanych.

Ja zaś pisząc w kraju odległym, w języku Paryżowi obcym, mniemałam, iż dość będzie z méj strony, gdy nazwiska zmienię. Co téż i dopełniłam, lubo bardziej w pisowni, niż w brzmieniu.

Pani Vortal w więzieniu swe wiosenne przeżywszy lata, już gdym ją poznała, nie była pierwszej młodości. Wyraz jéj oczu był jednak weselszy, jakby wnosić można, a główną pięknoscią, prześliczne jasne włosy. Lubiała towarzystwo, świat, zabawy, wszystko to bowiem niosło dla niéj nowości wdzięki; jednak gdy położenie jéj z przybywającemi dziećmi, codziennie się pogorszało, musiała sobie później i téj przyjemności odmówić.

Mąż jéj wychowany na bogacza, a od ośmnastego roku, zupełnej, jak widzieliśmy, nieczynności oddany, niemógł znaleźć w Paryżu, żadnego dla siebie korzystnego zajęcia; a bogaty, lecz nieprzeblagany stryj, obiecywał synowicy przeba-

czenie i zapis całego majątku, którego znaczną część zaraz jęj ofiarował, byle rozstała się z wiarołomnym mężem.

Lecz Zuzanna, lubo nędzą zagrożona, i wszelkie już wielkiego niedostatku znosząc przykrości, nigdy na ten warunek przystać nie chciała.

Na kilka miesięcy przed wyjazdem moim w roku 1838, hrabina Vortal już trzeciego spodziewała się dziecięcia i zmuszoną była opuścić swe mieszkanie, by w tańszej części Paryża, za równą cenę nieco obszerniejsze znaleźć. Mnie zaś zalecała to, co opuścić miała, jako przyjemne i w pośród wszystkich mych znajomych.

Poszedłszy je oglądać, znalazłam panią Vortal spieszenie malującą na pergaminie obstalowane dla kupców wachlarze. Co do mieszkania, to na jedną osobę zdawało mi się za szczupłe, a ona się w niém z mężem i z dwojgiem mieściła dzieci! Jednak uśmiech miała na twarzy i swobodne wejście, bo szczęście w sercu nosimy. Ono w czystém mieszkaniu sumieniu, nie patrząc, czy piękne komnaty.

Po paroletniój niebytności wróciwszy do Paryża, jedną z pierwszych osób, com spotkała w polach elizejskich, była nasza heroina z mężem i dwoma ładnymi synkami. Mały jakiś spadek, byt jój nieco polepszył, a o drugi znaczniejszy, miała proces rozpocząć. Stryj zaś zawsze przy swoim obstaje warunku, ale nie zdaje się, żeby kiedykolwiek co wskórać zdołał na tój już tyle doświadczonój stałości; tém bardziej, iż przywiązanie zwykle w miarę poświęceń wzrasta, że daleko mocniej kochamy istoty, które nas dużo ofiar kosztowały, niż te, od których je odbieraliśmy — a ztąd tyle serc niewdzięcznością zranionych.

K o n i e c.

XII.

***Most Rialto — Jezuicki kościół —
O Kanovie — Akademia sztuk pię-
knych — Pani Bachmann — Dria-
kiew — Marzenia — List p. Wła-
dysława K***.***



Kilka te dni, które przedzieliły pierwsze od drugiego opowiadania pani Sirval, zesłały mi na zwiedzaniu niektórych ciekawości miejscowych.

Most Rialto, jedyny, jaki łączy dwa brzegi wielkiego kanału (il Canal grande albo Canalazzo), dziwny swym kształtem zwrócił mą uwagę. Zwykle unoszą się nad pięknością jego. Memu zaś oku zdawał się bardziej dziwnym, niż pięknym.

Jedyna jego arkada tak wzniosła, iż by nie utrudzać żeglugi, wymagała wielkiej ilości z obu stron wschodów. Te wschody, które dwie trzecie długości mostu zajmują, równie, jak i reszta powierzchni jego, są przedzielone dość wysokimi ścianami, tworzącymi trzy małe uliczki. W środkowej mieszczą się handlarze z łańcuszkami weneckimi i innymi wyrobami tego rodzaju; poboczne nie mając dość głębokości, jedynie do przejścia służą. Z kanału zaś, lub brzegów, widać tylko tyły ścian tych, które w środku chronią owe złotnicze sklepiki; a te ściany różnobarwnie pomalowane przedstawiają się oku, jakby teatralna dekoracya.

Lecz główną pięknoscią Wenecyi są kościoły i pałace. Jednych i drugich zadziwiają tam mnóstwo. Jedne jak drugie po większej części upadające, lub grożące upadkiem; a wszędzie jeszcze ślady przesadzonego dawnych czasów przepychu. Z pod tych gruzów, dzieła czasu, wszędzie jeszcze przeglądają dzieła dumy ludz-

kiej, jakby widma jakie, gdzie niegdzie na swych stojące grobowcach.

Kościółów jednak więcej w całości pozostało. Między takimi, co się gruzem sypią, (jako i mojej patronki Śtój Łucyi, w której ołtarze spruchniały,) wiele widać wspaniałych starannie utrzymywanych, a kilka z nich z późniejszych już czasów. Do tych rzędu, należy kościół jezuicki rzadkiej piękności. Ściany jego wewnątrz, jak i kolumny, z marmuru białego, wysadzane marmurem zielonym w adamaszkowyy deseń, wspaniałe sprawiają wrażenie. Podobnaż adamaszkowo-marmurowa draperya ambonę chroni; druga z jej oparcia od niechcenia tak lekko spada, jakby istotnie z jedwabnej była materii. Cała ta świątynia, lubo mniej ma posągów, ołtarzy i nadgrobków, jak inne, świadczy o wysokości w Wenecyi stojącej rzeźbiarskiej sztuce, przypomina, iż Wenecya była ojczyzną Canovy, że jeszcze pełna jego technienia, wspomnień i uczniów jego.

Canova urodził się wprawdzie o kilka mil od Wenecyi w małej wioseczce zwanej Possagno (1^{so} Listopada 1757 r.). Ojciec jego był kamieniarzem, i syna do rznięcia kamieni sposobił, kiedy śmierć ich rozdzieliła. Lecz niedaleko téj wioseczki mieszkał senator wenecki, Jan Faliery. Postrzegłszy zdolności w biednym sierotce, oddał go do niejakiego Toretti, rzeźbiarza dość miernego w Bassano. Toretti we dwa lata potém przeniósł się do Wenecyi, a tak uczeń jego znalazł sposobność przypatrywania się arcydziełom swéj sztuki.

Z pod Torettego, który w parę lat umarł, poszedł Canova do szkoły niejakiego Ferrari. Lecz obu swych nauczycieli, u których obrabiania marmuru jedynie się nauczył, niebawnie przeszedł.

W siedmnastym roku, pierwsze wykonał dzieło, Orfeusza z Eurydyką, i ofiarował je dobroczyńcy swemu Faliereму. W takim jeszcze był wówczas niedostatku, iż potrzebując żywego wzoru, samemu

sobie musiał przed zwierciadłem się przypatrywać, a ku końcowi swój artystowskią karyerę, tak był bogaty, iż gdy Francuzi Włochy zajęli, a nędza do najwyższego dochodziła stopnia, w tym jednym roku wydał 140,000 franków na wsparcie nieszczęśliwych.

Napoleon, który umiał oceniać wyższość, gdziekolwiek ją wynalazł, wiele mu dawał później obstalunków. Cesarskie pałace i muzea paryzkie, pełne były przeslicznych posągów Canovy. Cesarz go aż po dwa razy sprowadzał do Paryża, ofiarując mu tam główny zarząd sztuk pięknych; lecz artysta niemógł darować zdobywcy zaboru tylu arcydzieł swjej ojczyzny, które wówczas z Włoch do Paryża przeniesione zostały. Nieraz mu w tej mierze swój narodowy żal otwarcie wynurzył; urzędu w Paryżu odmówił, pozostając przy naczelnictwie muzeów rzymskich, które mu od dawna poruczone było; i dopiero po raz trzeci, radośnie odwiedził Paryż, gdy po upadku cesarstwa, papież

go posłał po odebranie owych obrazów i posągów, tak rzewnie żalowanych.

Powrót jego do Rzymu, gdy te kunsztowne odwoził bogactwa, może się z tryumfalnym wjazdem porównać. Witano go z włoskim zapalem, a papież w dowód zadowolenia, nadał mu tytuł margrabi Iskji (Marquis d'Ischia), i kazał imię jego w złotej księdze kapitolu umieścić. Canova sam margrabiowski swój wyrysował herb: Lutnię wijącym opasaną węzem; odnosząc te godła do pierwszego dzieła swego: Orfeusza z Eurydyką.

Coraz wzrastająca sława jego, tak się w końcu po całej Europie rozszerzyła, iż każdy kraj żądał posiadać jakiś dłuta jego utwór. Lecz ani czas, ani siły słynnego rzeźbiarza wystarczyć tylu obstalunkom już nie mogły. Ciągłą tyloletnią pracą stary, uczuł potrzebę odpoczynku, i zamierzył go w rodzinną zakosztować wiosce. Wrócił do Possagno, gdzie założył, już to dla zabawy, już dla pamiątki po sobie, rodzaj małej świątyni, a w niej wszy-

stkie ozdoby, tak pędzła, jak dłuta, miały być jego ręki.

Lecz coraz wzmagająca się choroba, nie dozwoliła mu dokonać tego zamiaru. Udał się do Wenecyi po lekarski ratunek, i tam 12 Października 1822 roku, umarł w 65 roku życia.

Pamiętają jeszcze w Wenecyi przepych pogrzebu tego znakomitego artysty. Ciało jego przeniesione najprzód do akademii sztuk pięknych, odebrało tam od całej uczonéj publiczności, pierwsze żałę i uwielbienia hołdy. W sali, gdzie chwilowo spoczywały te świetne zwłoki, zachowują dotąd, w osobnym pomniku, prawą Canovy rękę, tę rękę mistrzowską, której Europa i on tyle był winien. Trumna zaś z resztą ciała, następnie z największym przepychem odprowadzona aż do brzegu morza, oddana tam plebanowi z Passagno i z równym przepychem, w orszaku ogromnych tłumów ludu, do Passagno przewieziona została.

Wenecya prócz ręki, posiada drugi, duży i piękny, na uczczenie pamiątki jego, monument. Umieszczono go w kościele Panny Maryi *dè frari*, na przeciw skromnego Tyciana kamienia.

Dziwném jest zaiste, że w miejscu, gdzie z jednej strony tyle czczą talenta, z drugiej tak lubią nagrobki, iż każdy kościół niemi przepełniony, iż nie tylko każdy Doża, lecz byle jaki urzędnik, nie tylko malarz, lecz byle jaki bazgracz, swój osobny posiada, Tycianowi żadnego nie dano! Canova dzielając to zgorszenie, zrobił rysunek pomnika, który chciał mu przeznaczyć. Lecz dziwną losu igraszką, rysunek ten Canovy, dla niego samego użytym został, a Tycian dotąd pod prostym spoczywa kamieniem.

Gdy po śmierci rzeźbiarza, otworzono składkę na pomnik dla niego, składkę, w której nie tylko Europa, ale i Ameryka wzięła udział, zdecydowano, iżby właściwiej było wykonać jego własny pomysł. Na pomnik Tyciana brakło fundu-

szów, tutaj zaś brakło już tylko rysunku, wzięto zatem rysunek, który kreśląc dla uczczenia wielkiej sławy, Canowa nie przeczuwał zapewne, iż go dla siebie kreśli.

Nagrobek ten, różniący się całkiem od wszystkich, jakie się zwykło widzieć, tak w dawnych, jak i w tegoczesnych kościołach, mianowicie w Wenecyi, które są niemi zasypane, zbytecznie może przypomina pomnik Klemensa XIII. w Rzymie, a jeszcze bardziej księżnej Krystyny Saxe Teschen w Wiedniu; oba także Canovy dłuta. Jeden, drugi, jak trzeci wyobrażają, jakby wnijscie do wielkiej grobowej pieczary. Nad jęj otworem w płaskorzeźbie, dwoma gieniuszami niesiony medalion, z profilem nieboszczyka; na stopniach prowadzących do niego rozmaite allegoryczne figury. Z jednej strony lew uśpio-ny i gieniusz w postaci skrzydlatego młodzieńca, gaszący swą pochodnią, z drugiej cała grupa osób i dzieci, smutnie do pieczary wchodzących. Każda z tych figur, jak wnoszę, musi mieć swe osobne zna-

czenie; lecz ja, wyznałam już, zda mi się, moję w odgadywaniu allegoryi nieudolność. Dla mego pojęcia, dla mojej duszy, w każdym kunsztowném dziele potrzeba najprzód prostoty, a ta jest tu poświęcona efektowi. Efekt jest wprawdzie wielki dla oka, lecz nieprzelewa do duszy wrażenia, jakiegoby z grobowego pomnika żądać można. Żadnego tam niema wiary naszej godła; owszem jakaś nowość w całości, zupełnie kościołowi naszemu obca, bynajmniej do pobożności nie zniewala; i téż, jak wnoszę, nikt przed tym pomnikiem z pierwszego popędu na kolana nie padnie; tylko najprzód przypatrywać się, odgadywać i podziwiać piękność szczegółów zacznie.

W wiedeńskim nagrobku te szczegóły wszystkie ręki Canovy, godne uwagi i podziwu. Starzec mianowicie przedstawiający dobroczynność, godny uwielbienia artystów; wszystkie inne figury po mistrzowski także wykończone. Weneckiemu zaś pomnikowi, niepodobna téj przy-

znać zalety. Wykonany przez uczniów Canovy, siedmiu z nich był poruczony; a niejednostajność zdolności ich i talentów, zbyt daje się w tych zbliżonych między sobą szczegółach postrzegać, i niemile uderza oko.

Wzór tego pomniku, z gipsu, zrobiony przez samego Canovę, kiedy go Tycianowi przeznaczał, daleko mi się piękniejszym wydawał. Stoi on w sali gipsów, w akademii sztuk pięknych, gdzie jest cały zbiór podobnych wzorów, lub naśladowań ze wszystkich arcydzieł architektury i rzeźbiarstwa, jakie świat posiada. Zbiór ten przeznaczony dla uczniów, winna Wenecya dwóm swym Patryciusiom, Foresti i Cicogniara. Prześliczne tam rzeczy, i prawdziwym jużby trzeba być nieukiem, żeby tam nienabrać smaku i głębokiego pojęcia sztuki.

To samoby powiedzieć trzeba, o zbiorze obrazów w tymże gmachu kilka sal zapełniających; jakoż te sale zawsze są pełne sztalug i pracujących. Czasem do sze-

ściu malarzy przed jednym ćwiczy się przedmiotem, a błędy jednej kopii, służą za naukę sąsiadowi.

Galerya ta nie liczna, same prawie tylko szkoły weneckiej posiada utwory, lecz utwory do najpierwszego należące rzędu. Tu więcéj zdaje się przywiązywano się do wartości, niż do liczby, i też za jedno w Niebowzięcie Najświętszój Panny Tyciana, możnaby śmiało oddać dwie trzecie obfitój galeryi Monachium.

Żwawość kolorytu, energiczna prawda znamienująca szkołę wenecką, bynajmnieéj nie ujmuje świętości, w ogólnym tego obrazu wyrazie. To święte natchnienie, którego brak spostrzegać się daje u terażniejszych francuzkich, a często nawet niemieckich malarzy, do biblijnych zwracających się przedmiotów, wszędzie tam rozlane, tak w tém arcydziele Tyciana, jak i w innych tego zbioru obrazach po większój części świętym poświęconym pomysłom. Kilka z nich, jako to: Wskrzeszenie Łazarza przez Leandra Bassano, Śty

Wawrzyniec Pardenona, Cud Śśo Marka Tintoretty, Najświętsza Panna na tronie, Pawła z Werony, po upadku francuzkiego cesarstwa wróciły z Paryża. Wybór ich, gdy z pomiędzy tylu, kazano je tam zabrać, twierdzi o ich wysokiej wartości.

Akademia sztuk pięknych była zupełnie naprzeciw mieszkania, gdzie opuściwszy Europy hotel się przeniosłam. Gdym to miłe odziedziczyła sąsiedztwo, było one napełnione wystawą obrazów tegoczesnych, tak z Wenecyi, jak i z innych części Włoch nadesłanych. Tam i północ nawet swą przyniosła daninę. Malarz Iwazowsky z Rosyi, po odbytych zaszczytnie we Florencyi naukach, wystawił dwie Maryny niepośledniej wartości. Historyczne przedmioty, zwykle w szkolnych zadaniach używane, były tam najliczniejsze; mimo to między nimi pełno było godnych uwagi, a palma bez wątpienia należała obrazowi kościelnemu. Wzięcie Śśo Brunona do nieba, dotąd mi jeszcze w pamięci przytomne; pamiętam każdą twarzyczkę trzy-

dziestu trzech aniołków, co go unosili, i w koło niego ulatując, często jeden z pod skrzydełek drugiego tylko widziany, jakby girlandę niebiańską w obłokach tworzyli. Każda z tych twarzyczek inna, jedna starsza, druga młodsza, lecz każda była anielska i po niebiańsku oświetlona.

Wielka jednak dla mnie była radość, gdy z końcem wystawy, te wszystkie świeże płótna zdjęte, odkryły dawne obrazy, te obrazy, przed którymi można całe godziny i dni trawić, zawsze nowe w nich upatrując wdzięki, coraz nową dla siebie naukę. I téż zwykle, wracając z kąpieli, gondola moja do przeciwnego przybijała brzegu i zabierała mię dopiero w obiadową godzinę.

Godziny moje bowiem, stały się niebawnie zupełnie i wyłącznie do mnie należące. Towarzystwo hotelu Europy, wkrótce się rozjechało. Pani J....off, która zamierzała zimę w Wenecyi przepędzić, niespodzianemi listami do Petersburga dla interesów przywołana, raptownie nas opu

ściła. Pani Sirval rozstała się z budowniczymi, a każdy w swoją stronę. Konsulowie nawet niemogąc znieść dokuczliwych upałów, dla znalezienia cokolwiek cienia, na stały ląd się udali. Ja zaś stroniąc od nowych znajomości, jakie mi się stręczyły, znalazłam się zupełnie samą. Od jednej tylko obronić się niezdolałam, a ta utwierdziła mnie jeszcze, w mym wrodzonym do podobnych zbliżeń wstręcie i przekonała, jak ich w obcych mianowicie krajach, starannie unikać należy.

Jakkolwiek drobna i w gruncie mało znacząca przykrość, jaka mi z tego nowego wynikła stósunku, muszę ją tu przytoczyć, tak dla nauki tych, co bez najmniejszej uwagi zawsze za nowemi znajomościami się uganiają, jak w obronie tego instynktu, nieraz już kaprysem nazwanego, który mimo prawie méj wiedzy, zmusza mnie do cofnięcia się przed niemal każdą obcą twarzą.

Bywając u pani J....off, widywałam u niej młodą i nieszpętną kobietę; zwała

się ona pani Bachmann, przybyła z Wiednia, czy z Berlina, w Wenecyi dawała lekcyę pływania i wielu innych rzeczy. Z córkami pani J....off mówiła po niemiecku, a gdy ta zajmowała się wynalezieniem dla mnie na jesień, a dla siebie na zimę mieszkania, towarzyszyła jej i pomagała do ułatwienia wszelkich trudności.

Kiedy towarzystwo nasze raptownie rozpierzchać się zaczęło, ostatni wieczór przepełniając u pani J....off, zrobiłam uwagę, iż zupełnie znajdę się samotną w Wenecyi. Słyszając to pani Bachmann, zaczęła mię namawiać do lekcyj pływania, jako jednej z najmielszych rozrywek. Pani J....off i jej córki z długiego osobistego doświadczenia, toż samo dowodziły. Jednak lekcyę te najmniejszego nie miały w mych oczach powabu. Już i tak przesycona byłam łaźniową wodą, a pływanie zdawało mi się dla kobiety rzeczą zupełnie zbyteczną. Myślność tego zdania wkrótce uznałam, zbyt oniemal srogo błąd mój okupując, jak to później opowiem.

Niechcąc jednak zupełnie pozbywać się pani Bachmann, której już byłam parę małych usług winna, a którą mi, jako bardzo miłą i użyteczną osobę polecano, prosiłam, żeby przyniosła mi na pokazanie, kilka ręcznych kobiecych robótek, jakich zwykła uczyć, a ja sobie jedną obiorę i umówimy się o godziny.

Następnego dnia, pani Bachmann przyszła z ubolewaniem, iż żadnego mi nie może wzoru pokazać, bo mając bardzo dużo uczennic, wszystkie są porozdawane, lecz zaczęła mię namawiać na robienie kwiatów z wosku. Propozycją tę zaraz odrzuciłam, oświadczając, iż nic bym takiego nie chciała, coby wielkiego zachodu i kosztu wymagało. Tych lekcyj, rzekłam jój otwarcie, bardziej jeszcze chcę, jako rozrywkę dla mojej młodej towarzyszki, niż dla siebie; lecz mając długą przed sobą podróż, nie mogę, ani żadnych naczyń, form, lub instrumentów skupować i wozić, ani w taki błahy sposób trwonić pieniędzy, tém bardziej, iż zrobiwszy kwiat

z wosku, nie domyślam się użytku jego. Wolałabym, dodałam, coś mniejszego, igłą, szydełkiem, lub na drutach, coś, co by mogło wszędzie bez zachodu za rozrywkę służyć, a w skutku mieć jakiś dla kogokolwiek pożytek.

Pani Bachmann odpierała te uwagi dowodzeniem, że najpierwsze eleganterki nie noszą teraz u kapeluszów innych, jak woskowe kwiaty, co mi się dość dziwném zdało, pod słońcem, które prawie cynk na dachach topiło. Wreszcie wosk zbyt kurz łatwo chwyta i za ciężki, żeby mógł być do stroju używanym. Lecz już nie wdając się w niepotrzebne rozprawy z kobietą, w której oznaki złej wiary się przebijały, wyraźnie jej oświadczyłam, iż przez ciąg nieznosnych wówczas upałów, nic nie chcę mieć z ogniem do czynienia, i wosku na kwiaty topić nie mam ochoty.

Ale i to mnie już nie ochroniło od przebiegłej zręczności pani Bachmann. Odrzekła, że lampa, w której się wosk topi, zwykle w innym stoi pokoju, że najmniejszej

z tego nie wynika przykrości, i dla przekonania, jak to jest miłym zajęciem, musi w méj przytomności jeden utworzyć kwiatek, a wówczas niewątpi o namiętnéj ochocie, jaka się we mnie raptownie do woskowych kwiatów obudzi.

Z uśmiechem kończąc te słowa, wybiegła spiesźnie, mówiąc, że ją gdzieś czekają, a niedawszy mi nawet czasu do odpowiedzi, zawołała tylko we drzwiach: »do jutra, do jutra.«

Ku wieczorowi przyniesiono mi dwa ogromne pudła i serwetę pełną. W jednym pudełku była niezliczona ilość papierowych rozmaitych liści, pręcików, drucików i t. d. w drugim kompletny zbiór farb wszelkich kolorów, płynnych i suchych, różu teatralnego w puszkach, parę funtów skrobanego wosku, i rozmaite drewniane formy. W serwecie zaś związane były naczynia gliniane, garnuszki, rynki i ryneczki.

Spojrzawszy na to wszystko, jeszcze mocniej się przekonałam, ile taka praca wymagająca całego warsztatu nieodpowiadała

zamiarowi memu, ręcznej jakiegś rozrywki w drodze i po karczmach, i jeszcze silniej postanowiłam oswobodzić się od uporczywego nalegania méj nauczycielki.

Następnego ranka pani Bachmann znalazła u mnie gości. — »Nic nie szkodzi,« rzekła do mnie, »żeś pani zajęta, bo jeszcze nam lampy brakuje; lecz jutro każę tymczasowo moją przynieść, nim ta, com obstałowała, będzie gotową.«

Niepodobna mi było w téj chwili w żadne z nią tłumaczenia wchodzić; lecz gdy goście moi odeszli, napisałam do niéj, powtarzając jak najdobitniej, iż lekcyj tych brać nie chcę i nie mogę, i że jéj odsyłam wszystkie pudełka, któreby mi tylko kłopot w drodze czyniły bez żadnego użytku.

Pani Bachmann paczków nie przyjęła, a odsyłając mi je na powrót, kazała mi tylko powiedzieć, że przyjdzie sama do wyjaśnienia rzeczy.

Przyszła istotnie, z podniesioną głową, na pół dumna, na pół rozgniewana, wynurzyć mi swe zadziwienie, swe zgorszenie,

z mego tak nieprzyzwoitego względem niej kroku. — »Jeśli pani myślisz,« rzekła, »iż mnie można tak lekko traktować, to się mocno mylisz; urodzenie moje zupełnie jest jój równém; a jeżeli nieszczęśliwy zbieg okoliczności zmusza mię do szukania przyzwoitych sposobów utrzymania się, to nikomu nie daje prawa mną poniewierania; i lubo cudzoziemka, lecz od dawna zamieszkała tutaj, potrafiłabym w potrzebie znaleźć obronę i sprawiedliwość.«

Zdziwiona tak niespodzianym atakiem, ręczyłam, iż bynajmniej godności jój ubliżyć nie mniemałam, wzbraniając się od lekcij woskowych kwiatów; i prosiłam o objaśnienie, w czém się obrażoną czuje.

— »A jakże? a to znieważające odesłanie przedmiotów dla pani wziętych, które ja, z méj kieszeni, w zastępstwie jój zapłaciłam, a teraz, cóżbym miała z niemi robić, gdy mi je chcesz narzucić, i w tak nieprzyzwoity sposób mi je odsyłasz.«

— »Odesłałam je zupełnie, jak mi przysłane były, nietykając niczego; a pani, co tyle masz uczennic i każdej te rzeczy muszą być potrzebne, będziesz bardzo łatwo mogła je umieścić.«

— »Uczennice moje wszystkie są na wsi.«

— »Chyba od dzisiaj, bo wczoraj jeszcze mówiłaś mi pani, że wystarczyć im nie możesz. Lecz jeżeli się porozjeżdżały, to najłatwiej będzie zwrócić je kupcowi, co je dostarczył. Powiesz mu pani, jakie się nieporozumienie stało, a kupując często w tym magazynie, musisz zapewne mieć w nim kredyt.«

— »Jabym miała raz kupioną rzecz oddawać? nigdy! nigdy! Toby się wcale z mą godnością nie zgadzało.«

— »Jednak tak się to często zdarza, iż żaden kupiec temu się nie dziwi, szczególnie, kiedy mu towar w przeciągu 24 godzin zwrócony. Lecz jeżeli się to pani zwyczajom sprzeciwia, to proszę mi dać adres magazynu, ja sama wszystko odniosę, a pewna jestem, iż żadnej nie doznam

trudności, choćby mi tam jaką małą stratę ponieść przyszło.«

— »Adres by się pani na nic nie przydał, bo te liście i farby są z Drezna.«

— »Jeżeli tak, to mię przekonywa, iż nie były, ani obstalowane, ani kupione dla mnie, i widzę się uwolnioną od obowiązku wzięcia ich na mój rachunek.«

— »Przepraszam panią; to wszystko umyślnie dla niej sprowadziłam.«

— »Jako? w dwóch dniach z Drezna?...«

— »Nie w dwóch, ale w trzech, tak jest, w trzech dniach!« z pryncypem powtórzyła pani Bachmann, jakby istotnie w trzech dniach można było posłać i mieć odpowiedź z Drezna do Wenecyi, przestrzeń mil półtora sta, i to nie listowną, ale z paczką.

Usłyszawszy to, powzięłam przekonanie, iż osoba zdolna bez zarumienienia, z podniesioném czołem, podobne utrzymywać absurda, na wszystko jest gotową; a gdy mi znów zaczęła sprawiedliwością krajową grozić, do pierwszych uzaleń dodając jeszcze, że ja jęj kłamstwo zadaję, niedo-

wierząc, iż ona dla mnie te listki i farby z Drezna sprowadziła, znalazłam najrozsądniejszém zapłacić jój rachunek 126 franków wynoszący.

Wyznaję jednak, iż gdy mi przyszło pięknym złotem wyliczyć te 12 dukatów, za któreby mogła była coś daleko ładniejszego, niż dwa pudełka liści papierowych i trochę niegodziwych farb nabyć, pomyślałam, iż zbyt drogo opłacam naukę, ile w obcym kraju należy unikać stosunków osób uprzejmych i zalecających się, ja, com nigdy zbytnią w tój mierze skwapliwością nie grzeszyła.

Gdym później mą przygodę opowiadała jednemu z mieszkańców Wenecyi, ureczył mi, iż powinnam się za szczęśliwą uważać, tak małym kosztem pozbywając się tój kobiety. Opowiadał mi, jak nie dawno, pod pozorem dawania lekcyi, uczęszczając do jednego szanownego domu, zawiązała w nim romans między młodą osobą, a oficerem austriackim, i do takiego doprowadziła go stopnia, iż ro-

dzice za późno oświeceni, musieli Wenecyą opuścić.

Wrzesień już się posuwał, a upały jeszcze były ciągłe i do niezniesienia. Mimo to, codziennie parę godzin poświęcałam oglądaniu główniejszych kościołów i pałaców.

Opisywać je szczegółowo, byłoby wpaść w ten rodzaj katalogowych podróży, inwentarskich opisów, jakie mi są nieznośne. Kościoły wszystkie prawie przesute ozdobami, tak architektury, jak rzeźbiarstwa, przepełnione pomnikami rozmaitej wartości, obrazami i ołtarzami. W okół tych często kilkadziesiąt błyszczało metalowych ex-voto.

W pałacach ogromne sale, reszty dawnych przepychów. Sklepienia złociste średnich wieków. Tu i owdzie jakiś szacowny ułamek pięknej rzeźby. Częścić piękny jaki szkoły weneckiej obraz.

Najciekawszym jest niezawodnie pałac Dożów; lecz ten dość lekko teraz przebiegłszy, odkładałam na później gruntowniejszy przegląd jego. Znany literackie-

mu światu szanowny nasz Wiszniewski, miał mi bowiem przysłać syna do towarzyszenia mi do Rzymu. Znając już zamiłowanie naukowe tego wzorowego młodzieńca, chciałam tak dla mej przyjemności, jak dla korzyści jego, znieco scyentyficznej strony przegład ten z nim ponowić, poruszyć wielkie tam spoczywające wspomnienia, zagrzebane tam zbrodnie; otrząsnąć nieco prochy zgasłych wieków; porównać je z naszemi, porównać owe fantastyczne dzieje, którym niewiem, czy wnuki nasze zechcą dać wiary, z naszemi rubrykowemi arcydziełami!

Pałac Dożow weneckich z takiego powinien być widziany punktu. Odjąć mu urok wspomnień, byłoby zniewagą, gorzej niż zniewagą — głupotą.

Tak, raz wędrując w pośród tych stowiecznych gmachów, tak silnie do wyobraźni przemawiających, iż niepodobna wzbronić się od poetycznych marzeń przeszłością ich podniecanych, uczułam wdech mój raptownie uderzony jakimś niezwy-

kłym odorem. Idę dalej, aż słyszę do koła wszystkich kichających i ja sama kichać zaczynam. W pośród tego kichalnego koncertu, słysząc jednak opodal odgłos jakiegoś metodycznie spadającego ciężaru, odgłos silny, lubo nie armatni. W końcu doszedłszy do rogu jakiejś uliczki, postzegam straż, broniącą wejścia do niej przed nagromadzonym ludem, a cała jej długość zastawiona marmurowymi móździerzami kolosalnej wielkości. Przed każdym tym monstrualnym móździerzem, umundurowany stał człowiek, z rodzajem herculesowej maczugi w ręku, którą w takt podnosił i w środek móździerza upuszczał.

Szereg tych szczególnie postrojonych ludzi, w żółtych mundurach, z kitkami u kaszkiecików, z maczugami w ręku razem podnoszonemi i opuszczanemi razem, sprawił mi wrażenie jakiegoś baletu, i szczególnie ciekawość mą zaostrzył. Mimo irytacyi nosa i łez w oczach, długi czas przypatrywałam się, usiłując odgadnąć, co to być może? W końcu powiedziano mi, że

to się robi driakiew, owa sławna maść, niegdyś uważana za ogólne lekarstwo na wszelkie choroby; teraz zapomniana już u nas, musi jednak w innych krajach być jeszcze używaną, kiedy dotąd, jedną z głównych gałęzi weneckiego handlu stanowi.

Prababki nasze nie byłyby spokojnie zasnęły, gdyby nie miały w swęj apteczce puszek prawdziwéj weneckiej driakwi. Czy kto nogę złamał, czy na żołądek chorował, wszystko się leczyło driakwią. Daremnie starano się o przepis tego cudownego lekarstwa; daremno chemicznie rozebrać je usiłowano; daremnie w aptekach je naśladowano. Driakiew tylko wenecka posiadała te ogólnie uzdrawiające przymioty. Wenecya, jak w wielu innych rzeczach, tak i w téj, dochowała swęj tajemnicy, i nikomu wyrównać się nie dała. Ci żółto ubrani ludzie, do tłuczenia téj maści użyci, lubo sami doskonale nie znają jéj składni, przysięgają na sekret, dla tego straż broni publiczności przystępu do olbrzymich moździerzy, w których ją tłuką.

Kilka tylko aptek w Wenecyi ma przywilej handlowania tym specyfikiem, i ten zaszczyt na szyldzie swym dumnie głoszą. Słowem, ze wszystkich tak licznych niegdyś szczególności, ze wszystkich wyłącznych specjalności weneckich, została jęj tylko Driakiew!

Ma ona wprawdzie jeszcze swe szkła, czyli raczėj paciorki szklanne, (bo co do szkieł, te z czeskiemi równać się nie mogą). W paciorkach, wątpię, żeby mogła być wyprzedzoną; lecz mały ich użytek każe o przyszłości téj fabryki wątpić. Szkoda byłoby dla tych rąk biednych, co oderwane od pracy, wyciągną się po jałmużnę. Ja bowiem pod tęż kategorią podciągam te krocie próżniaków, leżących na słońcu przy mostkach, nadbrzeżach, czatując na przechodnia, na cudzoziemca mianowicie, żeby mu jakąś udaną, niepotrzebną przysługą, wyłudzić parę groszy.

Daremnie szukałam sławnęj niegdyś fabryki atlasów weneckich, równie, jak i korónek; wszystko to już nie istnieje.

Rada byłam także przed wyjazdem poznać lepsze teatra tameczne. Lecz na nie-szczęście la Fenice i teatr Malibran, zamknięte jeszcze były! Opera zaczyna się dopiero od połowy Października; we Wrze-śniu, pospółstwo tylko ma czém dość już długie przerywać wieczory i też widowi-ska drugiego rzędu, bardzo były, jak mi mówiono, uczęszczane. Chciałam i tam zajrzeć, lecz mi odradzono, mówiąc, iżbym niezniosła zgiełku, hałasu i zaduchu sali. Łatwo dałam się odwieść od téj myśli. Buffonady bowiem, w jakim bądź języku, jakkolwiek narodowością nacechowane, co wielką jest w mych oczach zaletą, były mi zawsze nieznośne.

Pozbawiona teatrów, towarzystwa, a na-wet i książek (bo w Wenecyi francuzkich mało, a czytelnia tylko jedna i książek z niej do domu nie dają) długo w wie-czór przeciągałam spacery moje. Miła to rzecz i piękna, spacer po kanale, w od-krytej gondoli pod przejrzystém włoskiem niebem! Jerzy Sand, gdzieś powiedziała,

że nad Włochami sześć razy tyle gwiazd świeci, jak w innych częściach świata. Rzecz niezawodna, iż mimo krótkiego wzroku, widziałam ich zwykle bez szkła, przynajmniej cztery razy tyle, niż u nas w najpiękniejszą noc widzieć się daje, a ich blask doskonale brak księżyca zastępował.

Kiedy ku wieczorowi cienie stopniowo z nieba się spuszczały, zaczynały te krocie w wodzie wzrosłych kopuł powlekać, a gwiazd migające światło nieśmiale u stóp ich na zwierciadlanym dnie się odbijało; kiedy gdzieś w oddaleniu odgłos dzwonu się ozwał, a wiosło gondoliera mego metodycznym mu wtórowało ruchem; kiedy nocny wietrzyk z szelestem wzruszonej tém wiosłem wody, jedną, a niepojętą tworzył harmonją wówczas kołysaniem łódki na pół uspiona, powtarzałam z cicha jedną z mych ulubionych Lamartina dumań Jeziołem nazwaną. Później przejęta wielkością obrazu, usta zamilkły, a w sercu wzdętém niebiańskimi tony, poczynął się hymn tajemniczy bo dla

niego ludzie jeszcze słów nie utworzyli, a ziemska muzyka niedobrała akordów.

Czasem zaś, i może częściej, te modre włoskiej nocy cienie, ta cisza pełna szmeru, echa, pełna téj tajemnej tęskności, co tak silnie do marzenia zniewala, ta łódka, co mię bez celu po uśpioném niosła morzu, niewiedząc nawet do jakiego przybije brzegu.... wszystko mi przemawiało o życiu także bez celu, bez przyszłości, bez pragnień, bez dążności żadnej!... a gdy myśl przestraszona tą pustą, w nocy ginącą przestrzenią, w pośród której biegła, w tył się cofać poczęła, wówczas rozwijała się przed nią jeszcze ciemniejsza, a krwawemi łzy skropiona, bolesnej przeszłości wstęga..... Wówczas te krocie dzwonnice, czarno na ugwieżdżoném malujące się niebie, zdawały mi się żałobne widma mych młodych uczuć, mych zawiedzionych życzeń, mego z kwiatem jeszcze złamanego i już prochem pokrytego życia.... O, wówczas pałające czoło, podwójnie bijące w skroni arterye, boleścią

uciśnione serce, radziły mi przyspieszyć koniec wieczornego spaceru.

Wysiadłam na plac Śśo Marka, a ochłodzona szklanką limonady, starałam się znaleźć przerwę wspomnieniom, w tym ruchawym tłumie, co się wił przedemną. Lecz i te liczne, a obce twarze, czy to z uśmiechem, czy ze łzą w oku, małą mi przynosiły rozrywkę. Pierwsze politowanie, drugie współczucie budząc, zawsze myśl do tegoż samego zwracały koła. Ta bowiem zręczna, oniemal podstępna, nie łatwo da się wyprowadzić z kolei, w jaką ją mimo wiedzy popchnięto, a gdy ją wyboczyć już z niej pragną, jakby igraszką, czy zemstą, tysiącznemi wybiegi do pierwszego wraca toru.

Gdy jaki w tym tłumie młody napotkałam uśmiech — »I ty,« szeptała, »niegdys się tak śmiałaś, a teraz!....« Gdy zaś łzę ujrzałam, przypominała mi czasy, kiedy przez nadmiar boleści, straciwszy nawet łez władzę, z radością i dziękując Bogu, uczułam zroszoną po raz pierwszy od pię-

ciu lat oschłą powiekę. O, nie całkiem jeszcze nieszczęśliwy ten, co płakać może!

W takich chwilach dręczących marzeń, szukałam miejsca na przeciw zegara, gdzie co kwadrans dwie czarne figury, o których już wspominałam, czas i śmierć, ciężkim młotem uderzały w dzwon. Oko nie najmiliej na nich spoczywało; każde zegaru tego uderzenie, zdawało mi się powtarzać — »wieczność! wieczność! wieczność! — Myśl przed tém straszliwém echem, truchlała, krzepła — wspomnienia stulały skrzydła, tonęły w téj bezdennéj przepaści, co wszystko pochłania, a ja pełna jeszcze wrażeń, boleści, tęsknoty, wracałam do domu rzucać je na papier.

O, dobry to i poczciwy powiernik ten arkusz biały, zawsze gotów najgłębsze tajniki serca przyjmować, zawsze gotów ulgę mu przynieść, gdy zbyt pełne, ogarnąć boleści swéj, lub rozkoszy nie może, i zdaje się pękać pod nią! Ileż on razy w samotném życiu, zastąpił towarzysza, oniemal powiedziałam przyjaciela? Jeżeli zdradził,

to bez własnej wiedzy; lecz jakże często wielką nam samym dał naukę, gdy później przedstawił ostyglému już oku, te wyrazy szału, uniesienia, lub rozpacz, którymbyśmy bez jego świadectwa sami wierzyć nie chcieli! Gdy wywołał sąd zimnego rozsądku na te fosforyczne błędy wybuchy, w pośród których jedynie życie nam się podobnym zdawało, lub na ten, jakby ciężkim całunem stłumiony ostatni rozpacz jęk.

Ten powierniczy nasz arkusz, jak te rozkoszne, tak i bolesne westchnienia, w uśmiech politowania na ustach naszych zmienia. On to nas przekonywa 'najlepiej, że jak jedno, tak drugie, wszystko w pokorze przeżyć trzeba, uchylając bez szemrania głowę przed nieodgadniętymi wyższą woli wyrokami.....

Gdyby każdy na zimno odczytywał wszystkie swego wewnętrznego życia młodociane, lub gorączkowe przejścia, najlepszym by to było dla niego kursem tej nowój filozofii moralno-chrześcijańskiej, budzącej się teraz na zachodzie.

Taką ja przynajmniej starałam się odnieść korzyść z tych kartek moich przy łunie wulkanu lub przy gasnącej lampie, niebieskim, lub czarnym atramentem pisanych, do których i stronnice niektórych wieczorów weneckich dołączałam.

Tymczasem te wieczory, coraz były dłuższe; czas wyjazdu do Rzymu wielkim się zbliżał krokiem, a młodego towarzysza mego nie widać było. Codzień posyłałam po listy, w nadziei wiadomości od niego, lub o nim, gdy mi razu jednego przyniesiono z poczty, niezwyklego wymiaru grubą i ciężką kopertę.

Złęklam się zrazu, bo po długich cierpieniach, każda niewyczajność lęka, lecz w końcu postrzegłszy stempel z Monachium, śmielszą ręką złamałam pieczętkę.

Był to list od pana Władysława K*** — list, dziennik, czy historia — niewiem, jakie temu dać nazwisko.

Otrzymawszy później, jako niżej powiem, upoważnienie od autora wcielenia tu tego, z poprawkami stylu i wypuszcze-

niem niektórych szczegółów, wszystkie te dochowawszy warunki, z pozwolenia korzystam.

Pan Władysław K***, przeprasza mnie najprzód za swą złą polszczyznę, wyznając, iż za granicą wychowany, nigdy się gramatyki polskiej nie uczył; a mimo to, do mnie (nie mówi czemu) nie śmie pisać po francuzku.

Daléj wyraża swój żal, iż się ze mną w Maryenbadzie rozminął, iż goniąc za mną, w Monachium już mię także nie znalazł. Chce jednak uścić się z zaciągniętego w Kościeliskach, a w Karlsbadzie potwierdzonego długu; lecz niemogąc do Wenecyi przedłużyć podróży, posyła mi swój dziennik, za którego nieład najsilnieéj przeprasza.

Dziennik ten w rzeczy saméj, szczególnie wyglądał. Ze sześć pierwszych arkuszy, ze starości żółkłe, pełne plam i żydów, dużym dziecinnym pisane były charakterem. Daléj stopniowo pismo widać bieglejsze i dziennik starannieéj utrzymany, lecz pełno świeżych odsyłaczów i przypię-

sków, już po bokach, już na przyklejonych kawałkach papieru pododawanych. Później francuzczyzna zastępuje ojczysty, pierwotny język. Dalej całe arkusze po niemiecku, lub znów po polsku bazgrane, pismo lecące, bardzo trudne do wyczytania; wszędzie pełno periodów francuzkich, wszędzie dawniej i świeżo powymazywanych linii, lub całkiem powydzieranych kartek, a na to miejsce po kilka świeżo podopisywanych arkuszy.

»Zbyt może śmiałem, wyraża się w swym liście p. Władysław, znajdziesz pani z méj strony posyłać jój tak nieporządne pismo. Niech to będzie dowodem, ile pragnę z ciężącego na mém sumieniu uiścić się długu. Lękam się tylko, żeby oczekiwanie zawiedzioném nie zostało — i dla tego donieść zawczasu spieszę, iż w niém nic godnego rzetelnój uwagi niema — nic, coby mą śmiałość usprawiedliwiał.

»Historja moja należy do najpospolitszych. Przygody moje codziennie zapewne się trafiają.

»Kiedyś mię pani znalazła samotnego w kościeliskich skałach, jakąś otoczonego tajemnicą, był to obok ważniejszych nieco powodów, kapryśny wyskok młodego humoru, był to wybuch gniewu na towarzystwo, które, wyznaje — byłbym wówczas chętnie struł całe od razu — A pani w swęj bujnej imaginacyi, musiałaś zapewne jakiś poetyczno-górno-lotny, lub homeryczny wyszukiwać temu powód!

»Kiedym panią przy pierwszém spotkaniu, tak zuchwale prosił o wysłuchanie mych trenów, to, że każdemu, gdy go co mocno boli, przyczyna téj boleści zdaje się wielkiej wagi — Dziś, jużbym może na to się niepoważał — Dziś z innego stanowiska spoglądam na to wszystko.

»Wówczas ogień złości w żyłach płynął — nienawiść pałała w sercu — Najwyższą czułem potrzebę wynurzenia méj złości, méj nienawiści, a nie miałem przed kim. Czułem, że niktby mię nie zrozumiał; i długo przed spotkaniem kościeliskim, pomnając, jak panią w mych oczach szarpało, po kilka razy przychodziła mi myśl,

iżbyś jedna mogła me położenie ocenić, podzielić mą dla ludzi antypatyą — zaaprobować ją. Téj aprobacyi potrzebowałem, pragnałem — Czułem, iżby mi wielką była ulgą — Potrzeba współczucia była u mnie tak gwałtowną, iż się innym równała w mém sercu uczuciom — Gdym panią spostrzegł, zdało mi się, że cię niebo ku mnie zsyła — Nadzwyczajność tego spotkania w miejscu, gdzie cię nigdy ujrzeć nie spodziewał się, potwierdziła mię w téj mamiącej myśli — Łatwo się wierzy temu, co się pragnie — To pani wytłómaczy tę pełną ufności śmiałość, z jaką prosiłem o wysłuchanie mych żalów, i gniew, kiedyś niedopełniła tego, com za jęj nadludzką missyą dla siebie uważał.

» Nie znałem pani wcale, nie domyślałem się tego zimno-dumnego filozofizmu w téj mierze, jaki mi się później w jęj rozmowie w Karlsbadzie objawił — Ta rozmowa była dla mnie szklanką zimnej wody — Gdybyś mię była zimną wodą zlała, niebyłabyś większego otrzymała skutku.

» Po téj rozmowie zacząłem się z mém opowiadaniem wahać — Wstyd mię było, iż ja mężczyzna — niepotrafiłem był się tak wysoko wznieść i z takiéj wysokości, na poziome spojrzeć rzeczy — nikczemnością ich pogardzić — Prawda, żem miał na obronę, iż nietylko za siebie, ale i więcéj daleko, za drogą sercu cierpiałem osobę — Alem uczuł, że tak za siebie, jak za nią, pogardą odpłacić mi się należało, tém bardziej, że się to z jéj łączyło zdaniem. — Wstyd mię było od pani taką odbierać naukę, a ten wstyd, to wahanie, jedyną były spóźnienia mego do Maryenbadu przyczyną.

» Jednak drugiego wstydu obawa przemogła — Lękałem się posądzenia, iż użyłem fortelu dla otrzymania zwierzań, do których żadnego nie miałem prawa; bałem się, żebyś pani nie myślała, iż chcąc ją wyciągnąć na opowiedzenie niektórych jéj życia ustępów, udałem, że się wzajemnością pragnę wypłacić, nie mając do tego rzetelnéj ochoty — Pomyślałem, jak mi się

zarumieni czoło, jeśli znów gdzie się nam przyjdzie spotkać — i pojechałem w końcu do Maryenbadu — ale już za późno — na pół drogi pojazd pani ujrzałem.

»Raz już się zdecydowawszy, postanowiłem bądź co bądź rzeczy dokonać — gdzie bądź panią dogonić. Lecz listy, których bardzo gorąco pragnąłem, wstrzymały mnie jeszcze dni kilka w Karlsbadzie, gdzie musiał po rzeczy wrócić. — Przybyłem do Monachium tegoż dnia, coś pani wyjechała z niego — Fatalność! zawołałem.

»Opuścić Monachium, te niemieckie Ateny, nic w nich nie obejrzawszy? — rzecz niepodobna — Prócz tego, kazałem owe listy, których doczekać w Karlsbadzie nie mogłem, tutaj sobie przysłać. To i pełno innych rzeczy, stanęło na wspak mym projektom. Listy pożądane je zmieniły. — Żal mi wielki, ale zamiast do Wenecyi, muszę ztąd jeszcze do Karlsbadu wrócić — Umyśliłem więc posłać pani te szpargały, które tu znajdziesz na zaspokojenie kościeliskiego długu. Czy są godne czytania

i uwagi — niewiem — wątpię — Pani to rozsądzisz. Dodałem *une petite notice* o mém urodzeniu i dziecinnych latach — Dopełniłem notatkami brak jasności w niektórych miejscach, lub potrzebnych szczegółów — Odrzygłem kartki niegodne jej wzroku, a dawszy ojcowskie błogosławieństwo tym dzieciom mej duszy, łaskawej pani opiece je poruczam.

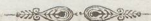
»Racz pani przyjąć ze zwykłym swém po-
błażaniem, ten choć obwiedły bukiet z kwia-
tów i cierni mej szarzej przeszłości — Racz
go uważać za dowód głębokiego szacunku
i uwielbienia swego najniższego sługi

Władysława K***.

Monachium 28 Sierpnia 1842.

»P. S. Chciałem pani prosić, byś po
przeczytaniu tych szpargałów, w komin je
wrzuciła — Lecz — wyznam tu mą sła-
bość — z której się pani rozśmiejesz za-
pewne — Smutnoby mi się na zawsze
z niemi rozstać — *Je tiens bêtement á mes
souvenirs* — Na myśl zniszczenia ich, ojco-

wskie się we mnie ozwało serce. Czy koszlawe i rachityczne, czy rumiane, lub suchotliwe, miłe mi są zawsze, — bo moje — Rzuć tam je pani w jaki kąt kuferka, a ja się gdzieś — kiedyś — zgłoszę po nie.»



*Dziennik pana Władysława K***.*

Bóg mię obdarzył sercem miękkim, czułem — Zły to dar — źle z nim na świecie — Szczęśliwszy, kto zamiast serca, kamień w piersi nosi — Ja też pracuję nad zpe-tryfikowaniem mojego — Ludzie mi w tym pomagają — Już wyziębło, jak głaz — wkrótce i innych głazu przymiotów nabierze — Szkoda, że nie dawniej.

A jednak przeznaczenie zdawało się sprzyjać temu — od kolebki nie znałem matki! — od niemowlęcych lat niepamiętam pieszczoty, czułego przytulenia do serca — Ale mię to zawsze bolało. Pochlebstwa i uniżoność instynktowém dziecinném

uczuciem rozróżnić umiałem od tego, co mój duszy brakło, nigdy mi jedno drugiego nie zastąpiło.

Ojciec mię w jedenastym roku posłał dla edukacyi do Paryża. Czy mię bardzo kochał? — niewiem. Sądzić go bym się nie powążył. Był to człowiek zimny, ponury, jakby coś go dręczyło skrycie. Młode lata spędził na dworze króla Stanisława. Nazywano go panem szambelanem. Po rozbiorze kraju, przeniósł się na wieś do Sarkanowa.

W Sarkanowie był duży pałac, mieszkanie pańskie. Sąsiedztwa mało, bo się włość ojca mego daleko w około szerzyła. Pamiętam tylko jedną panią podkomorzynę, która dość często u nas i my u niej bywaliśmy. Często nawet, gdy mój ojciec za interesami na kilka miesięcy z domu odjechał, zupełnie mię u niej z moim guwernerem zostawiał.

Pani podkomorzyna była nie zupełnie pierwszej młodości, ale jeszcze niczego. Wzrok miała żwawy, była rumiana, pul-

chniutka, i wielką do elegancyi i dobrego tonu miała pretensyą. Raz była w Berdyczowie na jarmarku i raz w Kijowie na kontraktach, o czém z dziesięć razy na dzień wspominała. Główną jój chęcią było przypodobanie się memu ojcu, główném nieszczęściem widok męża wąsatego, w szaraczkowej kapocie, z lgniącemi, nigdy nie czesanemi włosami. Jedno i drugie z tych podkomorzynéj uczuć, tak było widoczne, iż stało się ciągłym w garderobie tematem. Gdy nową jaką garnirowano suknią, a pani łajała, że nie dość modnie i świeżo — Zapewne musi pana szambelana się spodziewać, mówiły garderobiane. Gdy spostrzegły pana podkomorzego batem smagającego jakiego parobka — O, gdyby to pani wiedziała, rzekły, pewnoby spazmów dostała.

Pani podkomorzyna istotnie miewała spazmy, bo wówczas były jeszcze w modzie.

Miała zwykle przy sobie flakonik (prezent od ojca mego) z wódką kolońską, a ile razy mąż wszedł, a za nim odor stajni,

lub obory, zaraz go niosła do nosa. Kiedy zaś plunął przed siebie i zacierając nogą, błotnistą na podłodze zostawił plamę, zżymała się cała, oczy chustką zasłaniała i rozmaitemi sposoby swą malowała odrazę.

Prócz męża miała jeszcze pani podkomorzyna drugie umartwienie. Wstydziła się niezmiernie, że nie umie po francuzku i rozmaitych używała fortelów do pokrycia téj hańby. Nauczyła się słów kilka niby francuzkich, a jak się tylko zjechało sąsiedztwo, mieszała je co moment do rozmowy, lubo nie zawsze przypadają. Męża wówczas zwykle *mon ami* nazywała, a że mój ojciec miał psa, którego także zwano *mon ami*, wynikały z tego żarty, śmiechy. Miała także kilka starych francuzkich książek; te dla gości do bawialnego przynosiła pokoju, i niby przez zapomnienie na oknie je kładła.

Sam podkomorzy najlepszy był człowiek, żadnej z tych śmieszności w żonie niespostrzegał. Owszem zdawało się, że ona potrafiła, jak w innych, tak i w niego

o swęj wyższości włać przekonanie. Bo téż zupełnie przy nięj wyglądał najuniżeńszym sługą.

Mimo pięknej wioski, którą mu żona w posagu przyniosła, i własnych kilkudziesiąt tysięcy, powierzchowność miał prostaczkowatą. Wszystkie żony koncepta i starania, przerobić w nim tej pierwotnej natury nie zdołały. O rozumie jego trudno było sądzić, bo gdy rozmawiał, dwa przysłowia: tego i mości dobrodzieju, tak treść rzeczy głużyły, iż trudno było w końcu pierwotnego dojść wątku.

Z gośćmi najczęściej mówił o roli, urodzajach, gospodarstwie, a gdy już ten przedmiot zupełnie się wyczerpał, najmilej mu było o czasach swego urzędowania wspominać: »Bo to,« rzekł, »człowiek, Mości Dobrodzieju nie w ciemie tego.... tego.... bity.... Kiedy się to Mości Dobrodzieju i do tego.... tego.... tego.... do urzędu Mości Dobr. doszło. Wszak to Mości Dobr. urząd tego.... tego.... nie lada. Nie każdemu Mości Dobr. uda się

tego.... tego.... być podkomorzym. I téż Mości Dobr. gdy tego.... człowiek.... tego.... tego.... był na urzędzie, to tego.... tego.... Mości Dobr. nizko.... tego.... tego.... mu się kłaniano tego.... Czyż nie prawda, serdeńko?» do żony odwracając się kończył.

Żona zarumieniona tak niemodnym przymiotnikiem, którego w żadnym nie czytała romansie — »Oui, oui, *mon Ami*, se sa, se sa,« odpowiedziała niby po francuzku, nie lada komu być podkomorzym.

Jednak mimo miłości dla swego podkomorstwa (które, jak kronika głosiła, winna była wpływom ojca mego) ogólnie mówiono, iż pani podkomorzyna stokrotnie wolałaby być szambelanową. W okolicy nieraz krążyły o jęj rozwodzie pogłoski. A gdy mój ojciec zaczął mówić, iż lęka się, żeby go interessa aż do Petersburga nie zawiodły, wieść ta nowęj nabrała żywomości; powtarzano ogólnie, iż jedzie tam dla łatwiejszego uzyskania rozwodu dla podkomorstwa.

Pani podkomorzyna bardzo mile przyjmowała przycinki i żarty dotyczące jęj z moim ojcem stosunków. Pogłoski o rozwodzie zbijała w sposób, iż każdy jeszcze mocniej w nie wierzył.

O mojęj matce nigdy nie czyniono wzmianki. Raz tylko ktoś zapytał, czy ja do ojca, czy do matki podobny? »Nie wiem,« sucho odrzekła pani podkomorzyna. — »Podobno pani szambelanowa miała być bardzo piękna,« dodano — »Być może,« jeszcze kwaśniej odpowiedziała, »ale ja jęj wcale nie znałam, bo jak wiadomo, pan szambelan już sam jeden w nasze przeniół się strony.«

Ja jednak nieraz o matce myślałem, — czyli raczej nie myśląc, brak jęj w głębi serca prawie ciągle czułem. Czułem w nim jakieś puste, obolałe miejsce, brak jakiegoś uczucia do dopełnienia męj istoty nieodzownie potrzebnego, z którego sobie niezdawałem sprawy. A gdy widziałem podkomorzynę pieszczącą swe dzieci, lzy mi się w oczach kręciły.

Podkomorzyna bardzo dzieci kochała. Miała ich dwoje, syna rokiem odemnie starszego i córkę o dwa lata młodszą. Syn się zwał Abeliard, córka Malwina. Syn był faworytem matki, ojciec, niewiem czy miał jaki wybór w uczuciach, i czy wiedział co o nich. Przyniósł dzieciom czasem orzechów z lasu, i na tém koniec.

Ja wolałem Malwinę. Ona mnie także bardzo kochała. Wszyscy z naszego romansu żartowali; przepowiadali, że się pobierzemy, winszowali podkomorzynie, która bardzo mile tego słuchała.

Abeliard był nie dobry chłopiec. Serce miał pełne zawiści. Zawsze pamiętał, że bogatszy od niego, że panicz, a on szlachciura (jak mu to raz kamerdyner mego ojca powiedział, widząc, jak on kamieniem na mnie cisnął). Niemógł mi téj wyższości nigdy przebaczyć. Był skryty, ponury i zły. Matka jego, ze wszech miar uszczęśliwiona, kiedy mię ojciec na kilka miesięcy w jéj domu zostawiał, i z tego się cieszyła, że jéj Abelcio będzie mógł

się po francuzku nauczyć przy moim guwernerze, który był Szwajcar. Ale Abelcio niczego się uczyć nie chciał. Z początku nauczył się kilka słów, a na wzór matki chciał się niemi przed gośćmi popisywać. Lecz jak go raz poprawiono, zaczerwienił się, zadasał, i więcej już w życiu słowa nie wyrzekł, woląc wcale nie mówić, niż być sprostowanym, gdy źle mówił. Udawał tylko, że umie, ale niechce.

Przy moim guwernerze nie wiele można się było czego nauczyć. Był to człowiek zupełnie prosty. Musiał być w swoim kraju lokajem, lub rzemieślnikiem, może stolarzem, bo miał wiele zręczności w robieniu cacek z drzewa.

Pani podkomorzynie był on to winien swą w naszym domu godność. Ona to, jak się później nieraz chwaliła, ciągle powtarzała memu ojcu, iż mu wypada mieć Francuza przy synie. Miała pewno Abelcia francuzczyzną w tém na widoku. Mój ojciec nie wiedząc, z kąd go wziąć, długi czas szukał nadaremnie. W końcu sama

podkomorzyna ofiarowała się pojechać do Kijowa w czasie kontraktów, kiedy największy zjazd. Mój ojciec na to przystał; dał na podróż. Podkomorzyna przywiozła pana Darleta.

Podróż ta kijowska należała do najgłośniejszych wypadków życia pani podkomorzyny. Najprzód stała się niewyczerpaném źródłem rozmowy. Tyle rzeczy widziała w Kijowie! Tyle poznała tam magnatów i magnatek, a ze wszystkimi była najczuliej, najściślej. U hrabiny T*** była na obiedzie i nuż opowiadać każdą potrawę. U księżnej N*** była na herbacie, i nie zapomniała żadnej toalety damskiej. Dalej ekwipaże, liberye, sklepy i towary. Słowem, co nie w Kijowie, wszystko było złe i brzydkie, a każdy okres rozmowy, kończył się słowy: to nie tak, jak w Kijowie! —

Ktoś się raz spytał, jak długo na kontraktach bawiła? — »W samym Kijowie bawiłam dni dwanaście,« odpowiedziała, »ale co to za dnie były!!«

Powtóre, utwierdziło to ogólnie przekonanie o wielkiej powolności i nieograniczonem zaufaniu mego ojca dla podkomorzyny, kiedy jój poruczył wybór guwenera dla swego jedynaka.

W gruncie nie było to jednak tak wielkim dowodem, bom ja miał wówczas lat pięć.

Straszném był dla mnie zmartwieniem ten przyjazd Darleta. Był on wyrokiem oddalenia mojej najukochańszej Stanisławowej.

Stanisławowa była moją piastunką. Ją jedną w domu kochałem. Ojca mało widywałem, bo za interesami jeździł, a kiedy był w domu, mało się ze mną pieścił.

Rozstanie się ze Stanisławową, było pierwszym zmartwieniem w życiu mojem. Jednak wkrótce do Darleta przywykłem. Był to człowiek dobry, powolny, zezwalał na wszystko, co mi się podobało, słiczne mi zabawki z drzewa robił, z wosku, z gliny, i chwalił mię przed ojcem.

Ojcu memu niziutko się kłaniał, nazywał go Monsieur le Comte, a mnie le petit Comte, z nikim się w domu nie kłócił i wszyscy go lubili, prócz Solinowskiego kamerdynera, który znieść nie mógł, iż musi mu usługiwać przy stole. Istotnie, Solinowski zawsze wyświeżony, jak stary elegant, daleko miał pozorniejszą minę, niż Darlet z grubemi i brudnemi rękami. To też nieraz Solinowski mówił, iż trzeba, żeby Francuz, gdy idzie do stołu, umył wprzód rękę, bo serwety od razu bruka. Inni zaś domowi, zdawali mu się być wdzięczni, iż, lubo Francuz, żadnych szczególniejszych niema wymysłów, jak to zwykle bywa, ani się z niczego nie wyśmiewa.

Już trzeci rok pan Dartel był przy mnie, i nauczył mię biegle po francuzku paplać. Była to wprawdzie francuzczyzna nie gramatykalna, ani salonowa — Mówił — he ben mamzel.... a ben Diable.... quie que vous faites là? Słowem, tak jak we Francyi i na jéj granicach włościanie gadają,

ale zawsze było to po francuzku, wzniecało to admiracją w pani podkomorzynęj, a zazdrość w jej synie.

Jednego razu, mój ojciec śmiejąc się przy stole z mego świergotania francuzkiego, zapytał o inne postępy moje? Zachciał wiedzieć moje pisanie, posłyszeć, jak czytam? Na to żądanie pan Darlet się zarumienił, strwożył i odpowiedział, że się tylko był obowiązał po francuzku mię uczyć i nic więcej.

»Tak,« odrzekł mój ojciec, »ale do uczenia jakiego języka, trzeba umieć w nim czytać i pisać.«

Następnego dnia, pan guwerner, jak go w domu zwano, zaczął mię uczyć czytać (w ósmym roku!) a sam się zabrał do pisania, dla spróbowania, jak mniemam, własnej biegłości w tej sztuce.

Lecz tak okropne stawiał kulasy, iż ani myśleć nie można było, żeby mógł kogo pisać nauczyć. Samby od każdej kucharki mógł brać lekcyę. Ojciec przekonawszy się o tém, kazał się starać o jakiego dyre-

ktora szkolnego. Przywieziono już niewiem z kąd, niejakiego Trzeciakiewicza. Był to młody chłopiec, z czwartej, czy z piątej klasy. Brał trzysta złotych rocznie i bardzo był z swego miejsca kontent. Darlet brał 200 dukatów.

W sześć miesięcy umiałem czytać i pisać, początki geografii, historii i arytmetyki.

Ale jak pani podkomorzyna zaczęła prosić mego ojca, żeby mię wyjeżdżając z domu, w Cieczerynce z guwernerem lokował, tak cały ten mój postęp poszedł w niwecz. Trzeciakiewicz w Sarkanowie zostawał, z Darletem niczego się nie uczyłem. Com się w domu nauczył, w Cieczerynce zapomniałem.

Abelcio miał także dyrektora. Matka jego utrzymywała, że i bez szkół można wiele się nauczyć. Że w szkołach złych tylko nałogów chłopcy nabywają. — »Co by to z moim Abelciem się stało,« mówiła nieraz, »żebym ja jego z domu oddała? A broń Boże na niego choroby, albo co? któżby miał oko i staranie o nim? Jużciż

nie taki tam pan professor, co tylko dyscypliną umie machać i nic więcej.»

— »Masz pani podkomorzyna słuszość,« mówiła jakaś przyjaciółka; »już to nikt nie zastąpi matki! Ja to codziennie powtarzam, i też mego Sobcia, jak będę mogła, najpóźniej z domu wypuszczę. Mąż wprawdzie nagania, mówi, że chłopiec próżnuje, że będzie do niczego, ale ja tak zręcznie to to, to owo wynajduję, że tak się to zwleka od jesieni do wiosny, od wiosny do zimy. Trzeba to będzie wprawdzie na tém skończyć, bo dyrektora nie mamy, ale im później, tém lepiej.«

— »Ale mój Abelcio,« ponawiała podkomorzyna, »nietylko ma dyrektora, ale i guwerner szambelanowicza po francuzku mu pokazuje. Będzie do tego z łaski bożkiej mieć kawałek chleba, to też mu się bez szkół obejdzie; chyba tam na ostatku, żeby ludzie nie gadali, że nieuk, poszłę go na jaki rok jeden do D***. Przytém się zaraz dołączy karmnego wieprzaka dla pana profesora, czepeczek dla professo-

rowej, a tak mój Abelcio za rok wróci, tak, jak Piotruś sędziny, z najpiękniejszymi świadectwami. Ja też tak, jak ona, każę za szkło oprawić te szkolne wieńce i nagrody, i w stołowym pokoju zawieszę. Bo to widzisz pani, z ludźmi trzeba po ludzku.«

— »O, już to ja wiem, że pani podkomorzyna masz rozum, i wiesz, jak z ludźmi trzeba. Już to i nieprzyjaciół jej tego nie zaprzeczy. Mąż mi nieraz mówi: Zapatruj się na podkomorzynę, ją nawet mędrsi od nas słuchają, sam szambellan nie bez jej rady nie robi.«

— »Szambellan też nie myśli z domu syna oddalać. Dla takiego panicza, jak Władzio, Francuz i dyrektor, to aż nadto. Urzędu mu nie potrzeba, a przy takim majątku — byle był umanierowany chłopiec, byle się umiał po francuzku wysławić, pięknie uklonić, czegoż więc więcej potrzeba? Może tam później dla tańca, dla muzyki, zawiezie go ojciec do Kijowa, albo sprowadzi metrów, coby razem i dla

Abelcia posłużyło, ale zapewne do żadnych szkół go nie poszle, bo to szkoły, to nie dla takich paniczów, a chociaż w Sarkanowie niema gospodyni, rodzicielski dom, to zawsze dom.«

— »Ale Sarkanów już może niedługo będzie bez gospodyni. Tak przynajmniej mówią po ludziach; a co ludzie gadają, to wygadają.«

Dalszój rozmowy nie słyszałem, bo podkomorzyna wysłała mię do ogrodu.

Z takich i podobnych rozmów wpoilo się we mnie przekonanie, iż mi się nie uczyć niepotrzeba będzie, prócz muzyki i tańca, co mię najmocniej cieszyło, bo książek cierpieć nie mogłem.

Mój ojciec bardzo często wyjeżdżał. Rzadko mówił dokąd, i nie lubił, gdy go się pytano.

Razu jednego, od kilku miesięcy go nie widziałem, kiedy przyjechał goniec z Sarkanowa z doniesieniem, że wrócił z podróży i z rozkazem, żebym zaraz przybywał.

Znalazłem go bardziej ponurego i zamyślonego, niż kiedykolwiek. Jednak mię czuliej uściskał i zdawało mi się, że miał łzy w oczach, przyciskając mię do piersi.

Cały wieczór i połowa dnia drugiego zamknięty siedział w swym pokoju. Pisał, robił notatki, przeglądał papiery, niektóre w komin ciskał. Później szedł na dół, kazał zawołać plenipotentą, komisarza, rachmistrza, pisarza, każdemu właściwe rozkazy wydawał, niektórym nawet na piśmie. Na drugi, czy trzeci dzień, Trzeciakiewicza oddalił, do końca roku mu zapłaciwszy, a mnie i Darleta do siebie zawołał.

— »Proszę Waćpana,« rzekł do Darleta, »żebyś był do podróży gotów. Jutro do dnia z Władziem wyjedziesz, tak, jakby do Czecherynki, lecz tam weźmiesz pocztę i dniem i nocą ruszysz do W***, gdzie przebywszy granicę, zawieziesz syna mego aż do Paryża. Oto jest paszport. Gdyby brak jakiej formalności w nim zarzucano, to Waćpan sobie poradź w taki

sposób, żeby was przepuszczono. W Paryżu dopytasz się o pana Drewkowskiego, do którego tu masz Waćpan list z adresem. Jest to dawny mój przyjaciel i od dawna zamieszkały w Paryżu. On dopomoże do umieszczenia Władzia w najlepszej pensyi, a Waćpana przyzwolicie wynagrodzi. Jutro dam na drogę pieniądze i dalsze instrukcye, teraz idźcie się pakować, a nikomu ani słowa o niczym.»

Wyszedłem od ojca przerażony. To raptowne moje wydalenie, tak dalekie od domu, ten cień tajemniczości w około nas się rozlegający, sam wyraz twarzy ojca mego, wszystko mię trwożyło.

Nigdy nie zapomnę ostatniego wieczoru, a jeszcze mniej ranka odjazdu mego, tego ranka, w którym po raz ostatni ojca widziałem.

Już to była głęboka jesień. Drzewa ostatnie swe pożółkłe otrząsały liście. Wiatr oknami świszczał, deszcz ze śniegiem w szyby ćwiczyl. Pan Darlet do późna składał, układał, pakował, a mnie kazał się poło-

żyć. Ale ani on, ani ja, oka nie zmruliśmy. On bez ustanku kręcił się i przewracał po łóżku, a ja cicho leżąc, to kroki ojca liczyłem, który się ciągle po korytarzu wzdłuż pałacu przechadzał, to głośny ruch w sieni stojącego zegara, godziny i kwadranse, które leniwo wybijał, w końcu przysłuchiwałem się wyciu rozboja. Faworytny ten pies, stróż domowy, jakby jakiegoś nieszczęścia przeczuciem, całą tę noc przeraźliwe jęki, do wyjącego łączył wichru, tak, że je rozróżnić trudno było.

Gdy wybiła piąta, mój ojciec wszedł ze świecą w rękę do naszego pokoju. Był bardzo blady i po podróznemu ubrany. Przyszedł do mnie, myśląc, że ja śpię. Ja sam niewiem, czemu w téjże chwili zmruliłem oczy. On mię pocałował w głowę i głęboko westchnął.

Później zawołał na Darleta, że już czas wstawać, świecę naszą o swoją zapalił, a wychodząc, kazał mu przyjść do siebie.

Noc była czarna, w pałacu i na dworze głucho, w pokoju naszym było bardzo zi-

mno i mnie zimno było. — Darlet się zerwał, zadzwonił na Janka raz i drugi, ubrał się i poszedł do mego ojca. Janek przyszedł przecierając oczy, tak zaspany, iż zrozumieć nie mógł, że mi potrzeba wody do ubierania się, niepojmował, czemu wśród nocy mam się ubierać.

W końcu Janek poszedł po wodę, a ja wstawszy z łóżka, ukląknęłam, i pierwszy raz w życiu tak gorliwie się modliłam.

Po długiej z moim ojcem konferencji, Darlet mnie jeszcze klęczącego znalazł. Kawa już na stole stała, a ludzie po tłómoki przyszli. Lecz ja tego wszystkiego nie widziałam. Kawy połknąć nie mogłam, a wszystkie na pół zaspane twarze przy nieobjaśnionej świecy, w tym rozrzuconym ciemnym pokoju, zdawały mi się pomięszane, straszliwe.

W pół godziny mój ojciec wszedł, mówiąc, że już pojazd gotów. Porwał mnie wpół, do piersi mocno przycisnął; uczułam gwałtowne serca jego bicie, i łzę na mém czole.

Wyszliśmy na ganek. Jeszcze się nie rozwidniało wcale, wiatr wiał przeraźliwie, a śnieg ciągle wielkimi płachtami padał. Radbymbył każdego z naszych ludzi uściskać, pożegnać, ale nie śmiałem, bo niby tylko do Czeczerynki wyjeżdżaliśmy. Radbymbył przynajmniej po raz ostatni ich widzieć (bo coś mi skrycie w sercu mówiło, że to raz ostatni!) ale wiatr świecę gasił, tak, żeśmy zupełnie po ciemku do pojazdu wsiedli. Uczułem tylko na mém ramieniu łeb pocziwego rozboja, który mię parę razy po uchu liznął, a już siedząc w pojeździe, ostatnie uściśnienie ręki ojca.

Taki to świetny był mój do Paryża wyjazd!

Nie prędko później dowiedziałem się, że ojciec mój wmieszany do jakiegoś tajemnego towarzystwa, w kilka godzin po moim wyjeździe dom opuścić musiał.

Wówczas jeszcze niedomyślając się, że to są towarzystwa tajemne na świecie, czułem jednak w sercu, iż jakieś stanowcze

nadeszły w mém życiu chwile, iż coś okropnego w mém przeznaczeniu się spełnia. Tak byłem w mych uczuciach pochłonięty, iż Darlet myślał, że śpię, a wsunawszy się w drugi kąt koczobryka, nasunął czapkę na oczy i słowa do mnie nie przemówił.

W parę godzin dopiero, gdy szary i ponury dzień przez skórzaną przejrzał do nas firanki, wysunął głowę. — »A to już do Czeczerynki dojeżdżamy,« z podziwieniem wyrzekł, »przebudź się Władziu, trzeba pięknie z podkomorzyną, Abelciem i Malwinką się pożegnać, bo zapewne nie tak ich już prędko znów powitasz, a mamy tam tylko kilka minut zabawić.«

— »Czy można im powiedzieć,« zapytałem, »dokąd jedziemy?«

— »Nic mi o tém pan hrabia nie mówił, ale wnoszę, iż gdyby i tu chciał sekretu, toby go nam nakazał. Wreście, to tak pięknie powiedzieć: »Jedziemy do Paryża!...« Jak to nam Abeliard zazdrościć będzie!«

Pierwszy raz mi przyszło na myśl, jakie wrażenie ta wiadomość w Cieczerynce sprawi? i zacząłem czynić wnioski, czy podkomorzyna należała do tego projektu, czyli i dla niej będzie równie, jak dla mnie zadziwiającym.

Pan Darlet stósując się widać do przepisów ojca mego, kazał do karczmy zjechać i posłał po pocztowe konie, a my piechotą ku domowi zwróciliśmy się.

Znaleźliśmy podkomorzynę z dziećmi przy śniadaniu. Podkomorzy już był w gumnie. Zdziwili się wszyscy z tak ранnego przybycia i że niesłyszeli pojazdu.

— »Nic dziwnego,« powiedział Darlet, »bo pojazd w karczmie został, i pocztowemi końmi do dalszój zaprzęgają go podróży, gdyż,« dodał, »na parę tylko minut z pożegnaniem do pani wstąpiliśmy i wnet prosto jedziemy do Paryża.«

Podkomorzyna wzięła to za żart, i śmiać się zaczęła, prosząc, byśmy jój prawdę powiedzieli. Darlet jój honorem za prawdę ręczył, powiedział, że mnie na pensyą od-

wozi i pokazał list do Drewkowskiego. Podkomorzyna już prawie przekonaną była, niemogąc się jednak uspokoić nad tak niespodziewanemi wypadkami, gdy raptownie spojrzawszy na mnie: — »Nie, to to być nie może!« zawołała, »któżby z taką miną wyjeżdżał do Paryża? Władzio gorzej nawet, niż smutny, bo jakby niedomagał. Co ci to, moje dziecko?« całując mnie, dodała.

Łzy mi się w oczach zawinęły, a Darlet powiedział, żem nie dospał, dla tego mizernie wyglądam. A co do humoru, ten mu niezawodnie wkrótce powróci, dodał. Lubo to pani wiesz, że mały hrabia zawsze trochę pieśczołek; rozstaje się z ojcem, z panią, z jój dziećmi, i zaraz mu ławo. Pan Abeliard, to wcale co inszego. On pewnoby zupełnie inną miał minę, gdyby do Paryża jechał. Czyż nie prawda?

Abeliard się zarumienił — »Mnie i w Czerscyńce dobrze i wesoło,« z przymusem odrzekł. »Dla mnie do dobrego humoru wcale Paryża niepotrzeba. A potem, gdyby

to dla zabawy, to co innego, ale na pensyą, gdzie będzie dyscyplina, chłosta! Prawda mamó, że w domu daleko lepiej, niż na pensyi?»

Abelcio uszczęśliwiony myślą, że mnie ukłuł, że pokazał, iż bynajmniej mi nie zazdrości, zbliżył się do matki, a ta widząc tylko w jego słowach dowód, iż on ją nad wszystko przekłada, zaczęła go pieścić i całować.

Patrząc na to, jeszcze mi się rzewniej zrobiło, jak zwykle, gdy widział matkę pieszczącą swe dziecko. Poszedłem do okna dla ukrycia nowych łez, gdy usłyszał pocztowy dzwonek. Nasz to koczobryk przed ganek zajeżdżał.

Darlet zaraz wziął za czapkę. Podkomorzyna kładąc mi w kieszenie pełno pierniczków, sucharków i innych przysmaków na drogę, czule mię całowała, a powtarzała jednak — »nie, to być nie może — chyba mi to sam szambelan powie, wtenczas dopiero uwierzę. — Zapewne dziś tu będzie, to się i cała tajemnica wyjaśni.«

W Abeliarda pożegnaniach, jakaś przebijająca się złość. Jedna tylko dobra Malwinka, całą płakała siłą. Wierzyła i czuła, że ja na prawdę odjeżdżam.

Następnego ranka przed siódmą byliśmy na granicy austriackiej. Żadnej nam z paszportem nie czyniono trudności. Dowiedziałem się tylko, iż pan Darlet był w nim kupcem, a ja jego synem.

W pierwszym mieście, którego nazwiska już nie pamiętam, pan Darlet odczytał notatki ręką ojca mego w jego puliariesie napisane; poczem sprzedał koczobryk, a najął dwa w dyliżansie miejsca, (bo Janek z końmi z Czeczerynki do domu był wrócił).

Jechaliśmy dzień i noc aż do Wiednia, gdzie parę dni spoczęliśmy. Z całej tej podróży, najmniejszego mi nie zostało dokładnego wspomnienia. Ruch ten i ciągłe zmiany; podróż tak nagła, tak pełna nowości dla mnie, com nieznał inną, jak do Czeczerynki drogi; obawa tej chłosty, którą mnie Abeliard zastraszył, obok ochoty

poznania Paryża, o którym zawsze, jak o siódmym niebie słyszałem; żal rozstania się z ojcem, domem, sąsiadami i starymi zwyczajami, obok ciekawości poznania nowych krajów, nowych ludzi, obok tego uroku, jaki zwykle mają dla nas rzeczy nieznane, mianowicie w dwunastym roku, wszystko razem w największy mą duszę nieład wprowadzało. Tak dalece, że gdy mi pan Darlet powiedział w Wiedniu, iż żądaniem jest mego ojca, żebym najwierniejszy pisał dziennik, gdzie wszystkie moje uwagi, postrzeżenia, myśli i zdania mieścić powinien, wziąłem nową do tego sporządzoną książkę, pióro całkiem świeże, lecz próbując go przez pół godziny, ani jednego słowa do napisania nie znalazłem. Pokazało się, iż z całej podróży ta mi tylko pozostała uwaga, iż bardzo trudno jechać przez Niemcy, nieumiejąc po niemiecku.

W Wiedniu Darlet jeszcze raz notatki swego puliaresu przejrzał, i za jakiemiś interessami kilka razy wyszedł. Jeden raz mię tylko wziął z sobą na spacer, lecz nie

nie oglądaliśmy, bo on jako prawowierny Francuz, lubo z nad granicy szwajcarskiej, znajdował, że jadąc do Paryża, nie warto na Wiedeń patrzeć. Ja też się nie bardzo dopraszałem, czując tylko jak najmocniejszą potrzebę wypoczynku.

W kilka dni potem byliśmy w Paryżu. Pierwszém staraniem, podług zalecenia ojca mego, było wynalezienie pana Drewkowskiego.

Mieliśmy ulicę i numer jego mieszkania, a jednak rzecz nie łatwa była. Drewkowski bowiem (czego się spodziewać nie mogliśmy), nazywał się w Paryżu M^r de Bois.

Ten przyjaciel ojca mego, był niegdyś, jak się później dowiedziałem, plenipotentem mego dziada, a trzymając od niego dzierżawy, przyszedł do niejakiogoś bytu. Teraz był z niego stary legionista. Miał włosy i wąsy całkiem białe, twarz żwawo rumianą, krzyż legii honorowej, podagrę, czy ranę w nodze (podobno jedno i drugie) chodził o kuli, i żonę miał Francuzkę, która go inaczej nie nazywała, jak M^r de Bois, albo le Colonel.

(Wiadomo, że we Francyi to *de* oznacza ród szlachezny).

Pani Drewkowska, czy *de* Bois, była gruba i niska kobietka, żwawa i obrotna. Miała długie zęby, z których część wstawianych, a nad skroniami, dwie duże okrągłe wiązki czarnych fałszywych loków.

Dom, raczój domek, w którym mieszkali w przedmieściu Ś^{go} Jacka (S^t Jacque) na samym był końcu téj długiej ulicy. Gdyśmy spojrzawszy na numer, sztuknęli do bramy, stara portyerka otworzywszy furtkę, zapytała: do kogo — Lecz usłyszawszy Drewkowskiego nazwisko — »Ne connais pas,« odpowiedziała, »cherchez ailleurs;« i zamknęła nam drzwi przed nosem.

Przejrawszy po raz drugi wszystkie numera ulicy, znów wróciliśmy do tegoż domu z listem w ręku. Portyerka włożyła okulary, a długo nie mogąc wysłabizować obcego nazwiska, na wszystkie strony obracała kopertę, gdy z głębi dziedzińca zastukano w okno.

— »J'y vais Colonel,« zawołała, i poszła, zostawując nas przy bramie.

Wkrótce wróciła, mówiąc, że możemy wejść w pierwsze drzwi na dole po prawej stronie.

— »Domyśliłem się, że to wy,« rzekł do nas pułkownik, podnosząc się z dużego krzesła, w którym przy oknie siedział, »domyśliłem się, bom już był o waszym przyjeździe uprzedzony. Przed kilku dniami oddał mi bankier L.... list od pana K*** z Sarkanowa, gdzie pisze, iż mi syna przysła. Gdy opuszczałem Sarkanów, ojciec waćpana, właśnie był tak duży i tak stary, jak waćpan teraz. Ale już to dawno, bardzo dawno. Proszę siedzieć, jeśli łaska. Przepraszam, że jeszcze ognia nie ma, ale żona dziś za sprawunkami w mieście, więc menaż spóźniony. Przepraszam bardzo — ale ona wróci. Miło mi bardzo was widzieć« i t. d.

Później zaczął z Darletem po francuzku mówić, wypytywał się o ojca mego, o Sarkanowie, i oświadczył, że za jego kwitami

bankier L*** będzie na wszelkie me łożył potrzeby.

Drewkowski z wielką trudnością tłómaczył się po polsku, słów mu brakło, kaleczył je, a zwroty swe tłómaczył z francuzkiego. Po francuzku zaś miał akcent niegodziwy, zastarzałym podolaninem trącący.

Wchodziło się do niego przez pokój, czyli pokoik jadalny, gdzie stał bufet, kilka stołków, a w środku stół do jedzenia, wszystko jesionowe. Drugi pokoik był bawialny. Miał dwa przeciwległe okna, jedno na dziedziniec, drugie na mały ogródek. W środku był kominek, nad kominem zwierciadło, a pod nim alabastrowy dość stary zegar i dwa wazoniki także z robionemi bukietami pod szkłem. Na przeciw kominka stała przy ścianie kanapa, przy niej zamknięta mahoniowa sekretarka; dalej krzeselka i dwa fotele z jakiegoś ciemnego drzewa, ale miękkie do siedzenia i niegdyś żółtym aksamitem utrecht-skim pokryte. Na środku okrągły ciężki stolik, drugi w kącie do kart i duże porę-

czowe gospodarza krzesło, które z pod okna do komina, gdy był ogień się przesuwało.

Na przeciw drzwi pokoju jadalnego, przez drugie szersze drzwi obok komina, wchodziło się do dużej ciemnej alkowy, gdzie stały gospodarstwa, łóżka, i dwa małe stoliczki.

W jadalni były dwie skryte w ścianie szafki. W jednej się mieściła bielizna i garderoba pani, w drugiej pana *de Bois*. Kredens i bielizna stołowa były w bufecie, a obok niego małe drzwiczki prowadziły do kuchni.

Cały ten apartament tak mały, iż właściwie z dwóch się składał pokoi, odznaczał się czystością i porządkiem.

Podłogi były froterowane, okna lśniące, meble z kurzu poobcierane, drzwi bez tych czarnych koło klamki promieni do których oko moje w Sarkanowie nawykłe było.

Drewkowski widząc, że ja się wszystkiemu przypatruję — »To nie sarkanowski

pałac,« rzekł do mnie, »cały ten dom
wmieściłby się w jedną tam stajnię, a ta
kwatery cała w jedną salę. Ale my nie
w Sarkanowie, tylko w Paryżu. Tu nikt
nie ma dziesięciu lokai do froterowania sa-
lonów i dwunastu dziewcząt niewiem do
czego. Czy to jeszcze też sama tam mo-
da, żeby tyle darmojadów trzymać? Wie-
lesz wasz ojciec ma kamerdynerów, lokai,
strzelców i chłopaków.« — Kamerdynera,
odpowiedziałem, jednego tylko, lokai czte-
rech, strzelców dwóch, a chłopców trzech.
Ale to są wszystko potrzebni ludzie, bo
i tak ledwo wystarczyć służbie swęj mogą.

Rozśmiał się na to Drewkowski — »Je-
dyny to właśnie sposób, żeby jak najgo-
rzej być usłużonym,« mówił. »Moja żona
żadnej niechce trzymać sługi, właśnie, że-
by mieć porządek w domu. I waćpan się
tu przyuczysz, mam nadzieję, bez niej się
obywać.«

Nie nie odpowiedziałem na to, boim był
nieśmiały i nie miałem zwyczaju dyskuto-
wania — lecz dziwno mi się zdało, że

Drewkowski mówi o służącój, kiedy mi tylko lokaja potrzeba właściwie było, i bez niego nie przypuszczałem, żebym mógł się kiedy obchodzić. Jeszcze dziwniejszém zdało mi się, że żona jego woli samych mężczyzn do usług, a żadnej, jak mówił, nie chce służącój trzymać. W podkomo-rzynój garderobie było ich sześć, i mnie się zdawało, że to jest nieodzowna liczba.

»Ale oto i żona moja wraca z provizyami,« rzekł pułkownik. »Będzie zaraz i ogień na kominku, to się ogrzejecie.«

Zimno istotnie było dokuczliwe. Z drzwi i okien wiało. Wiatr po nogach chodził, lecz pojąć nie mogłem, czemu bez żony ognia mieć nie można było.

Usłyszeliśmy wkrótce jakiś szelest w kuchni i w jadalnym pokoju.

— »Ma chatte! ma chatte!« zawołał pułkownik, »fais nous du feu ma mie, nous avons du monde, des etrangers qui gèlent.«

La chatte! la mie! na to zawołanie wcale nie pospieszyła. Układając tylko jakieś talerze w bufecie, coś tam długo odpowia-

dała, a z téj odpowiedzi tylko zrozumiałem, że pani wcale z gości nie kontenta była, ani z tego, że mąż żądał wcześniej ognia, niż to w jéj zwyczaju domowym było.

W pół godziny potém, przysła z pokrywką pełną żaru, wsypała ten żar na mały kloc drzewa, podpierający drugi większy w głębi komina popiołem pokryty, wzięła mieszka i zaczęła dmuchać. W parę minut oba klocki trochę się rozżarzyły, drzewo piszczeć zaczęło, a z pod popiołu wyszedł płomień, jakby od świecy czy lampy.

— »Oto masz ogień, mój drogi, i już twoi goście nie zmarzną,« rzekła pani do męża, stawiając mieszek i pokrywkę w kącie. Myśmy wstali i jéj się skłonili — »Ne vous derangez pas — ne faites pas de façons,« oddając nam ukłon mówiła. »Vous paraissez des Polonais,« dodała, od stóp do głów mierząc nas okiem — »vous semblez venir de loin. Malheureusement je ne sais pas votre langue, quoique femme d'un Polonais.

J'en suis toute honteuse, mais que voulez vous!.... Si cependant je pourais vous être bonne a quelque chose vous n'avez qu'a disposer de moi.»

Pułkownik jėj na to opowiedział rzecz całą: kto jestem, zkąd i po co przybyłem, i że chodzi o wynalezienie dobrėj męzkiej dla mnie pensyi.

»To się znajdzie, to się znajdzie,« odpowiedziała pani de Bois. »Paryż pełen wielkich edukacyjnych zakładów, sławnych instytutów. Ale teraz trzebaby o najpilniejszym pomyśleć. Panowie zapewne przyjechaliście dyliżansem i wysiedliście do najbliższego tam hotelu?«

— »Tak jest.«

— »Tam żadnej nie będziecie mieli wygody, a niemilosierdzie was zedrą. Każdy dzień was będzie tyle kosztował, co tu tydzień — miesiąc — Trzeba tu się zaraz przenieść. Są właśnie dwa wolne pokójki, na górze, porządne i dobrze umeblowane; tam będzie panom dobrze; już to moją będzie rzeczą, żeby im dobrze było i niczego nie brakło.«

Bardzo mię ujęła ta uprzejmość pułkownikowej, tém bardziej, iż widziałem, że Darlet nie bardzo umie sobie dać w Paryżu radę. Myślałem, że nas jaką przekąską poczęstuje, czego mój żołądek bardzo pragnął, bo już koło południa było, lecz w tém zawiedziona została nadzieja. Powiedziała nam tylko, że obiad u nich o piątą, że będzie nas z nim czekać, na który, jakby dobrém przeczuciem, kupiła kurę, — a gdyśmy zabierali się do wyjścia, doradziła, żeby nie brać fiakra, »to koszt,« rzekła, »niepotrzebny, gdyż co pięć minut omnibus z ulicy Śś^o Jacka jeździ na bulwary. Tam nauczyła, gdzie mamy wysiąść. »Na powrót, to co innego,« dodała, »trzeba będzie dla rzeczy i paczków wziąć fiakra, bo odległość znaczna, komissioner drożejby kosztował.«

Wszystko podług przepisów pułkownikowej zrobiliśmy. Zjedliśmy tylko w hotelu śniadanie, a przy porachunku przekonawszy się, jak słusznie przepowiedziała, że nas zedrą, zabraliśmy manatki i wróciliśmy do niej.

Pokoiki nasze znaleźliśmy gotowe, były na piątém piętrze w poddaszu, ale schludne. Dziwiłem się zrazu, gdy nam tyle schodów wejść przyszło, ale później pomyślałem, że w tak małym domku trudno mieć dla wszystkich gości na pierwszém piętrze pomieszkania, mebli było, ile koniecznie potrzeba. Łóżka usłane i czystą pokryte bielizną. Za pościel i bieliznę podziękowaliśmy, przywiozłszy własną z domu, co nader zdziwiło gospodynią.

Ale tam co chwila wzajemne dawaliśmy do zadziwienia powody, i dla tego wszystkich wyliczyć niepodobna.

Bawiliśmy w tym domu miesiący cztery. Pani de Bois, wcale, jak się zdawało, nie pragnęła nas się pozbyć. Mówiła, że ja mam i tak dość rozumu i łatwo odzyszczę czas stracony. Trafiało to bardzo mile do mego serca, bom się strasznie pensyi lękał, a nauki nie lubił, i wdzięczny byłem za jęj przyjazną gościnność, którą kładłem na karb dawnych Drevkowskiego względem méj rodziny obowiązków.

Jednak wcale nie zabawne dni tam trawilem. Wszystko tam szło, jak w zegarku, i tylko deszcz, lub pogoda, jedyną była zmianą.

Prócz nas, państwo de Bois mieli jeszcze innych gości: Trzech starych Francuzów, i sześćdziesiątletnią pannę. To stanowiło nasze domowe towarzystwo, lecz to na obiad się tylko i wieczór gromadziło. W ciągu dnia przypadkiem chyba na schodach, lub w dziedzińcu spotykaliśmy się.

Okolo ósmej z rana, sama pani, która służącej, jak wiemy, nie miała, wysznurowana, opięta, wylokowana, przynosiła nam kawę z mlekiem i bułką. Wchodząc, zapytała uprzejmie o zdrowie, a wychodząc, czy nam czego nie braknie?

My w przekonaniu zawsze, iż odbieramy gościnności dowody, dziękowaliśmy jak najczuliej za wszystko, lubo kawa tak była niegodziwa, że ją trudno przełknąć było.

Pułkownikowa rozdawszy wszystkim swym gościom śniadanie, szła z koszykiem

do miasta, a pułkownik już siedział z Monitorem w ręku przy oknie, dając baczenie na bramę. Portyerka bowiem szła przez ten czas nasze stancye uprzątać, odzienie i obuwie czyścić i froterować pokoje, zostawując przy furtce małego tylko synka, który później szedł na cały dzień do szkoły.

Wróciwszy z prowizyami pani de Bois, nastawiała garnki w kuchni, poczyściła filiżanki, talerze, rozpałała ogień w salonie i znów do kuchni wracała, najczęściej z robotą w ręku doglądać obiadu.

Ja zaś z Darletem ubrawszy się, wychodziłem na spacer i na przekąskę, bo mój polski żołądek nie mógł z tą kawą do piątej wytrzymać, i to były najweselsze dnia chwile. W pogodę, szliśmy na bulwary, w słotę, do Palais-Royal, w Bazary i Passaże. Sklepy, towary, sztychy, obrazy, ludzie i hałas, wszystko mię bawiło. Lecz kiedy później w Grudniu i Styczniu, deszcz czasem lał, tak, iż niepodobna było kroku zrobić, o, smutne wtenczas wlokły się godziny!

O piątój schodziliśmy się wszyscy na obiad.

Przy pierwszym obiedzie przekonałem się, że nietylko sługi, ale i lokaja żadnego w domu nie było, co mi się rzeczą całkiem niepojętą zdawało. Kiedy zaś pułkownik wspominał wyłącznie o sługach, że ich żona mieć nie chce, to, że nie przypuszczał nawet myśli takiego zbytku, jak trzymanie lokaja.

Każdy przed sobą, jeden na drugim, tyle miał talerzy, ile mu potrzeba było. Brudne odstawiał na bufet. Zupa i półmiski stały na stole. Gospodyni sama rozdawała każdemu. Potraw było nie wiele i porcyjki nie obfite nam udzielano. Ale na deser zawsze były jabłka, gruszki, ser, orzechy, rozynki, figi, co mię pocieszało.

Przed każdym z nas stawiano pół butelki wina, lecz niektórzy, jako i sam gospodarz, kilka takich wypróżniali.

Po obiedzie panna Martin z panem Taburno, zaczęła partyą w domino. Pułkownik z panami Carlourot i Sozinet, koń-

czył przy kominku zaczęta przy obiedzie polityczną dyskusyą, najczęściej o mowach izby deputowanych, a gospodyni z Darletem i ze mną grała w lota, aż do ósmej, gdzie stawiała stolik do kart i wszyscy w bostona, a czasem w buliotę grać zaczęli.

Łatwo się domyślić, jak mnie tam w pośród nich wesoło było!

Darletowi to życie bardzo się podobało. Ciągłe mi kazał admiirować ochędostwo i porządek domu, czynność gospodyni. Porównywał ją z podkomorzyną, a zawsze na korzyść pani de Bois, co mię mocno gniewało, bo lubo ta mówiła, że mię kocha i pieści, w sercu mojem tamta miała pierwszeństwo.

»Patrz,« powtarzał codzień Darlet, »jak to około pani de Bois od rana porządnie, jak jēj suknia zapięta, czepek i kołnierzyk, obuwie wszystko przyzwoite; a podkomorzyna dopiero wówczas leciała do garderoby w jedwabie się stroić i perfumować, gdy goście przed ganek zajeżdżali, inaczej

w zakłapanych cały dzień chodziła trzewi-
kach, a dużą chustką pokrywała, jak mgłą
nieład ubioru. Stara nasza portyerka po-
rządniej się nosi, niż ona, a ona sześć
miała kobiet w garderobie! «

— »Toż przynajmniej u niej,« odrze-
kłem z gniewem i żalem, »jak się nudzi-
łem w bawialnym pokoju, biegłem sobie
do garderoby z dziewczętami się naśmiać,
a tu, gdzież pójde? Czy nie do portyerki
pomagać stare pończochy łątać?«

Trzeba wiedzieć, że portyerka nasza
miała rzemiosło. Pilnując bramy, cerowała
stare pończochy i nad drzwiami miała na
arkuszu papieru szyld z napisem: *Madame
Fourchu Ravaudeuse*.

To znów Darlet unosił się nad tém, iż
pułkownikowa żadnej się pracy nie wsty-
dzi, lubo w pierwszych salonach mogłaby
się znajdować. A podkomorzyna prócz
konfitur, które lubiła smażyć, chciała tyl-
ko rozkazywać, i to niedokładnie robiła,
jako dowodził ciągły nieład w domu i koło
dzieci, zawsze nie uczesanych i brudnych.

Im więcéj mój guwerner wychwalał panią de Bois, tém ją mniéj lubilem, a im więcéj mu się u niéj pódobało, tém ja bardziéj po Czeczerynce wzdychałem. Tam wprawdzie był nieład, nieporządek, nigdy nikt nie wiedział, co miał robić, i téż wszystko szło, Bóg wie pojakiemu; ale coś otwartzego, serdeczniejszego w przyjęciu, niż u pani de Bois; tamta gościnność była samą szczerością, tutaj jakąś rachubą trąciła.

Wszystko to poniekąd skutkiem charakteru narodowego, miało jeszcze swą osobną przyczynę, a ta przyczyna w końcu się wykryła. Pokazało się, że my wszyscy nie byliśmy gośćmi, tylko lokatorami, stołownikami państwa Drewkowskich, co zupełnie zmieniało postać rzeczy, i jeszcze bardziéj zmieniło moje dla ich domu wdzięczności uczucie.

Pani de Bois zapraszając nas i przyjmując, najmniéjszój w téj mierze nie zrobiła wzmianki, lecz on, gdy przy obiedzie wypróżnił trzy, lub cztery półbuteleczki wina, stawał się rozmownym. Z tego to roz-

maitych opowiadań dowiedziałem się, że z dziadem moim kraj opuścił, i razem z nim do legionów polskich się zaciągnął. Lecz gdy się te rozwiązały, on poszedł do wojska francuzkiego, dosłużył się rangi podpułkownika i jest na odstawce.

— »Ale, że to Francuzi są zazdrośni,« mówił mi raz jednego, złą swoją polszczyzną, »krzywém na mnie okiem patrzali, dla tego, żem nie z ich kraju, wyrzucali mi każdy stopień, każdą nagrodę, jakbym im ją odbierał, a z nazwiska mego tysiące śmieszności tworzyli, bo dla ich uszu było śmieszne, tak je wytłumaczyłem na francuzkie i przezwalem się de Bois. Przy apelu przynajmniej nikt się za mną nie oglądał. Nie wspominaj Wacpan o tém ojcu, boby mi miał za złe. Wreście w sercu zawsze ja Polak.

»Później,« mówił dalej, »człowiek się ożenił; wziął żonę krajową, bo Polki nie było, i Polki się do tego kraju nie zdały. Parę się nam urodziło dziątek. Jedno umarło, drugie się chowało. Lata mi na-

deszły, kalectwo i choroba. Musiałem służbę opuścić i pójść na odstawkę. Retretowa pensyjka mała, kapitałik mój był szczupły, a tu o przyszłości naszej Cecylki trzeba było myśleć i na stare pamiętać lata. Pocziwa moja żona była na prowincyi modniarką, ale zarobek był mały, handel nic nie przynosił. Sprzedała wszystko, przenieśliśmy się do Paryża, tu zarobek łatwiejszy. Najęliśmy ogółem całkowity ten domek. Żona poszła tu i owdzie, skupiła starych mebli, niektóre wzięła na miesięczne wypłaty. Częstkowo najmujemy teraz mieszkania, stołuje swych lokatorów. Na tém zyskujemy właśnie mieszkanie, stół i opał. Nawet coś tam czasem jeszcze się na ubranie ochroni. Kapitałik dołączony do tego, co sprzedaż handlu żony uczyniła, zrobił posag dla Cecylki. Daliśmy jój 30,000 i wydaliśmy ją dobrze, za doktora, młodego i pracowitego człowieka, a teraz, jeśli Bog jeszcze życia pozwoli, to coś może z mojej pensyjki dla jój dzieci jeszcze się uzbiera, bo już ma jedno,

a drugiego się spodziewa. Wreście już i tak dawszy jój przyzwoity posag, człowiek spokojnie oczy zamknie. Młoda i do pracy nawykła, to sobie poradzi. Tak to, mon petit Comte, u nas interesa robią, tak to w naszym kraju ludzie się obracają. U was dawniej bywało inaczej. Kto co miał, to wydał, często więcej; dziś było wesoło, a jutro, jak Bóg dał. Czy to i teraz tak jeszcze bywa?»

Pułkownik chociaż mówił, że w głębi serca jest Polakiem, lecz kiedy mówił nasz kraj, lub u nas, to znaczyło we Francyi. Słyszając to, myślałem, iż mój ojciec zapewneby to jeszcze bardziej do nagany znalazł, niż przefrancuzczenie nazwiska, lubo to może było skutkiem jedno drugiego.

Drewkowski nieraz mówiąc ze mną, wspominał mile Sarkanów i młode swe tam spędzone lata, co mi go przyjemniejszym czyniło, niż jego żonę i resztę towarzysztwa. Gdy jednak na Polskę zwróciła się mowa, zaraz ją porównywał z Fran-

cyą, a w konkluzyi wszystko we Francyi było lepsze, doskonalsze, miłsze i nie byłby rad ją opuścić. Lecz gdy mię raz usłyszał nucącego jakiegoś mazurka, czy krakowiaka, zapłonęło mu się czoło z radości, i powiedział, że chciał ze swém szczudłem hołupca wybijać, tak i serce i nogi mu zadrzały. Słowem, była tam jeszcze jakaś reszotka duszy polskiej, lecz już całkiem przesiąkły był Francyą.

Z posuwającą się zimą, z jój słotami, deszczem i buremi obłoki, nudne nasze życie, coraz mi się nieznośniejszém stawało. Darlet chorowity i tchórz, w niepogodę nieodstępował komina, a choć czasem pogoda była, wieczór nigdy mię nie wyprowadzał, z obawy późnego wracania w tak odległą część miasta. O, jakże nieraz wzdychałem po Czczerynce! jak zazdrościłem Abelciowi!

Wynikło ztąd, iż prawie już pragnąłem częmsiś być zajęтым, iż książki mniej mię odstręczały i nawet poprosiłem Darleta, żeby mi jaką kupił. W końcu zacząłem

sam przypominać o pensyi, której się zrazu tyle lękałem, zacząłem nalegać, żeby już mnie w niej umieszczono. Tam przynajmniej, myślałem, będę miał kolegów do zabawy, i czémkolwiek inném, jak słuchaniem rozmów starych nudnych Francuzów się rozerwę. Drewkowski także zbierając się pisać do mego ojca (w przekonaniu, że on w Sarkanowie) chciał mu donieść, gdzie i jak umieszczony zostałem.

Jednego ranka, kazał sprowadzić fiakra, z wielką trudnością w windował się do niego, zabrał mnie i Darleta z sobą, i kazał jechać na przedmieście Ś^tej Honoraty do instytutu Marinaux.

Im bardziej zbliżaliśmy się do celu, tém mię bardziej odstępowała ochota. Nie cofając już się, prosiłem tylko Drewowskiego, żeby mi pana Darleta zostawił, co mi przyrzekł, nie rękując jednak za skutek.

Nakoniec fiaker nasz stanął. Sztuknęliśmy w bramę. Otworzyła się nam furtka. Przeszliśmy jeden, drugi i trzeci dziedzi-

niec. Zdało mi się, że do więzienia wchodzię. Okropne jakieś przeczucie serce mi ścisnęło, przeczucie tysiąca upokorzeń, jakie mię dnia tego czekały, tysiąca przykrości i boleści dni następnych. Byłem blady i drżący.

Portier szedł przed nami dla wskazania drogi. Przyszedłszy do sieni, zadzwonił. Jakaś kobieta wytknęła z góry wschodów głowę i poszła oświadczyć panu Marinaux o naszym przybyciu. Miała dość do tego czasu, gdyż biedny pułkownik kilka minut musiał na każdym odpoczywać stopniu. Od wielu lat już na żadne nie wchodził wschody. — Taż sama kobieta czekała nas przy drzwiach przedpokoju, i do pokoju wprowadziła.

Pokój ten był duży, ponury i zimny. Ściany jego były pokryte półkami. Na półkach książki, mappy, globusy. U góry gipsowe popiersia sławnych pisarzy i poetów francuzkich. W środku stało duże do pisania bióro papierami zasłane. Przed biurkiem siedział pan Marinaux.

Był to człowiek około pięćdziesięcio-letni, wysoki, chudy, mizerny. Włosy miał siwe, gładko na czoło zczesane. Oczy małe i zapadłe, nos długi, suchy, ściągły; usta wąskie i ściśnięte, brodę całkiem ogoloną, koło samych tylko uszu małe siwiejące faworyty. Szyję grubo obwiązaną, surdut granatowy do saméj zapięty góry. Wyraz twarzy jego był zimny, oniemal surowy.

Gdyśmy weszli, spojrzawszy na krzyż i kulę pułkownika, który szedł naprzód, powstał i wyprężył się, jakby rad był jeszcze być wyższym. Zaprosił nas do kominka, gdzie kobieta, co nas wprowadziła, podniecała gasnący ogień, i wskazał ustawione w około fotele.

Ulokowawszy nas, zapytał, czego żądamy?

— »Domyślasz się pan, że mu tu nowego przywożę ucznia,« odpowiedział Drewkowski, wskazując na mnie. »Chcielśmy się dowiedzieć, czy się znajdzie w instytucie pańskim, jakie dla niego miejsce?«

— »Miejsce zapewne się jeszcze znajdzie,« mierzając mię wzrokiem, odpowie, »lecz do jakiegoż to wydziału przeznaczasz pan swego syna, zapewne do wojskowego?«

— »Ja mam tylko zlecenie umieścić tego pana, który tu dla edukacyi przybył,« odrzekł Drewkowski, »lecz ojcem jego nie jestem.«

— »A to pan jest cudzoziemcem?« jeszcze raz od głowy do nóg mię przejrzawszy, jakby rad był, a nie mógł odgadnąć, co ja za jeden, ponowił Marinaux. »To może do handlu będzie się sposobił.«

Na myśl, że chcą ze mnie kupca zrobić, miłość własna Darleta się oburzyła. On, co zawsze się pysznił tyloletnią służbą w domu takim, jak był ojca mego, co to sobie za pierwszy miał zaszczyt, niemógł na chwilę znieść tak hańbiącego (w jego spolszczoném mniemaniu) przypuszczenia. Podniósł się ze swego miejsca, a poprawiając chustkę na szyi i podnosząc pysznie brodę — »o,« rzekł patetycznym

tonem, »nigdy pana hrabiego K*** nie było zamiarem przeznaczając syna do handlu, ja, co od lat siedmiu mam zaszczyt w jego zostawać domu, śmiało za to ręczyć mogę.«

Potém nastąpiła pauza — milczenie — Ja byłem na torturach. Pan Marinaux, sciśnął jeszcze mocniej usta, dostał tabakierki, poczęstował pułkownika, sam zażył; założył nogę na nogę i kiwać nią zaczął. — W końcu — »to może do prawnictwa, lub, jak mówiłem, do wojskowości zechce pan hrabia sposobić syna?« zapytał — a widząc, że wszyscy milczą, bo nikt się nie był na te pytania przygotował, i rzeczywiście trudne były do rozwiązania, tak dla Drewkowskiego, jak i Darleta, kwaśnym dodał tonem: — »Bo widzicie panowie, my tu osobnych wydziałów dla hrabiów nie mamy. W całym Paryżu, mniemam nawet w świecie całym, taki się edukacyjny wydział nie znajduje, i ja go u siebie tworzyć nie myślę. Mam kilku z dawniej nawet szlachty, lecz ci z innymi

ćwiczyć się muszą, w przedmiocie, jaki dla nich rodzice obrali, czy to do szkoły politechnicznój się gotując, czyli do cywilnego urzędu. Bo w końcu każdy człowiek musi być czémsiś na świecie; począwszy od króla i ministra, kończąc na wyrobniku, przestrzeń jest tak długa, stopni tyle, iż niepodobna, żeby w niej dla siebie nieobrać miejsca, nieupatrzeć szczebla, na którym stanąć się pragnie.«

— »Gdyby tu był ojciec przytomnym,« odpowiedział Drewkowski, »zapewneby swe w téj mierze myśli wyłuszczył. Lecz ja własnymi domysłami zastępować nie mogę. W liście pana K***, nic nie znajduję tyczącego się wydziału, w jakim mam syna jego umieścić; prosi mię tylko, żebym mu dobrą wybrał pensyą, gdzieby mógł odpowiednią swemu stanowi odebrać edukacyą. Ja też słysząc od dawna o sławie instytutu Marinaux, udałem się do pana.«

Te ostatnie słowa objaśniły nieco wyraz twarzy pana Marinaux. — »Niechże

mi pan opowie przynajmniej, jakie jest położenie rodziców tego panicza. W tym względzie będąc już objaśnionym, może zdołamy zastąpić brak informacji, własnymi kierując się domniemaniami.«

Drewkowski opowiedział, że mój ojciec jest właścicielem znacznych dóbr w kraju przez Rossyą zabranym. Żem jedynakiem. Lecz jako sam pan K***, dodał, do żadnego od zabrania kraju nie szedł urzędu, tak też wątpię, żeby i syna do niego przeznaczał, a jeszcze mniej do wojska.

— »Jednak nauka nie zawadzi,« mówił Marinaux; »jest to zapas, który zawsze przydać się może. Człowiek zdatny, a do tego przy majątku, wszędzie sobie karierę otworzyć potrafi. Dla własnego kraju być gotowym, w każdej, choćby nieprzewidzianej potrzebie mieć zdolności wykształcone do usług jego, będzie zapewne życzeniem ojca tego młodzieńca odpowiadać. Bo ja,« mówił dalej, »niecierpliwiać się milczeniem pułkownika i Darleta, wyznając, iż innego wychowania nie rozumiem.

Jeśli tylko chodzi o taniec, muzykę i takie fatalaszki, to lepiej na pensyą panien się udać. My tutaj gruntowniej rzeczy bierzemy. Nam chodzi o rzetelne umysłowe wykształcenie, zmierzające do obranego celu. Niechże mi panowie powiedzą, czy te zdania moje trafiają do ich przekonania?»

— »Zapewne — bez wątpienia,« przez zęby precedził pułkownik.

— »Co do muzyki i tańca,« odezwał się Darlet, który w tém wszystkiém nie wiele zrozumiał, »to wiem, że pan hrabia wspominał kilka razy o nich przed naszym jeszcze wyjazdem do Paryża.«

Marinaux spojrzał na Darleta, litościwy uśmiech usta jego przeniknął, lecz myśli swój nie objawiając, do mnie się obrócił z zapytaniem, czybym ja nie miał do czego szczególniejszój jakiejś ochoty, jakiegoś szczególnego usposobienia, powołania? »Jakaż będzie twa specjalność młodzieńcze?« zapytał w końcu.

U nas tak mało ludzi specjalnych, że nawet właściwego wyrazu na to nie mamy. Nie dobrze jego znaczenie rozumiejąc, rumieniłem się tylko, spuszczać oczy.

Marinaux nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, znów zaczął: — »Jakież są początki tego młodzieńca? Już zapewne był w jakiejś szkole?«

— »W żadnej,« odpowiedział Darlet.

— »Lecz Waćpan, co się zdajesz jego być nauczycielem, musiałeś go do której klasy przygotować, bo w jego wieku niepodobnaby od pierwszej zaczynać?«

Darlet milczał: Na mnie płomienie wybuchły.

— »Trzeba tu nam będzie,« mówił dalej Marinaux, »mały zdać examin, to się przekonamy o wszystkiém.«

Na te słowa w oczach mi się zaćmiło. Trzeciakiewicz wprawdzie mówił, że mię do drugiej sposobi klasy, lecz już byłem zupełnie zapomniał wszystkich nauk jego, a Darlet nic mię uczyć nie mógł, bo sam nic nie umiał. Cała jego zaleta była, że

zfrancuzniałym był Szwajcarem, i z chłop-
ska mówił po francuzku.

Byłbym go wtenczas utopił razem z pod-
komorzyną, co go wynalazła, i tak się za-
wsze tym wynalazkiem pyszniła. Przekli-
nałem w duszy godzinę, w której go przy-
wieziono do nas.

Musiało się to wszystko na méj twarzy
malować, kiedy pan Marinaux, jakby lito-
ścią zdięty, wziął mię za rękę, a postawi-
wszy przed sobą — »Nie trzeba,« rzekł
do mnie, »tracić odwagi. Jeżeliś zmar-
nował trochę czasu, to się on może je-
szcze odzyskać. Jeżeliś nie tyle postąpił
w naukach, ileby należało, to przykładaj-
jąc się, pracując, da się to naprawić. Przy-
szłość jeszcze duża przed tobą młodzień-
cze, u mnie będziesz mógł z niej korzystać.
Ja ci w tém dopomogę. Jutro o tém po-
myślimy, ułożymy plan ostateczny. Dziś
muszę panów pożegnać, gdyż wybiła go-
dzina, w której przegląd klass odbywam.
Do jutra więc, do jutra.«

Nie potrafię wyrazić, co się w mej duszy działo.

Gdyśmy wrócili do domu, padłem na łóżko i ryczeć z płaczu zacząłem. Na obiad dopiero zszedłem z opuchniętymi oczami i nic do ust wziąć nie mogłem.

Dnia następnego, gdy wybiła godzina jechania do instytutu, wołałbym był pod pręgierzem, niż przed panem Marinaux stanąć.

Nie będę tu szczegółowo opisywał wszystkich przejść i rozmaitych rodzajów męczarni moich. Dość wiedzieć, że po egzaminie, (który jak się łatwo domyślić, w dwóch się odbył słowach) zdecydowano, iż do wakacyi osobnych będę miał nauczycieli, i nie w klassach, lecz w osobnym uczyć się będę pokoju. »A od wakacyi,« rzekł Marinaux, »mam nadzieję, iż przy gorliwej pracy, pan Władysław będzie mógł do trzeciej, lub przynajmniej do drugiej przyjść klasy.« Na Darleta (żeby przy mnie pozostał) z wielką się zgodził trudnością. »W tak dużym, jak nasz jest zakładzie,«

mówił, »takie wyjątkowe przykłady, są bardzo szkodliwe i nie powinny mieć miejsca. My się staramy właśnie o zaprowadzenie największej między uczniami równości. Nauka tylko i przykładowe sprawowanie się wyższość stanowią. Tutaj zaś względem pana Władysława już i tak zupełnie inaczej rzeczy iść będą.«

— »Żadnej to jednak wyższości stanowić nie będzie,« zrećennie zwrócił Drewkowski, »co do osobnych nauk, to owszem raczej niższością zwąchy się mogło.«

— »Ja też się lękam z tego względu,« przerwał Marinaux, »przykrości dla pana Władysława ze strony kolegów, bo jakkolwiek my tego przestrzegamy, wzbraniamy, jednak między trzechset chłopcami, niepodobna ustrzedz niewłaściwego żartu, lub złośliwego śmiechu.«

— »A co do pana Darleta,« mówił dalej Drewkowski, »przytomność jego będzie można słabowitem zdrowiem pana Władysława usprawiedliwić. Wreście, ponieważ będzie miał pokój osobny, niepo-

dobnaby go samego w nim zostawić. Musiałby i tak ktoś przy nim sypiać, w dzień go dozorować. Mała więc będzie odmiana, czy to pan Darlet, czy kto inny.«

Przystał w końcu na to Marinaux, lecz tylko do chwili, gdzie do klass w zwykły tor z innymi wejdę. Oświadczył także, iż taka wyjątkowa edukacya, nie może należeć do zwykłych u niego przyjętych warunków, daleko większych wymagając kosztów. Pułkownik przyrzekł je ponosić, i prosił, żeby nic dla mnie szczędzone nie było, za co Marinaux zaręczył.

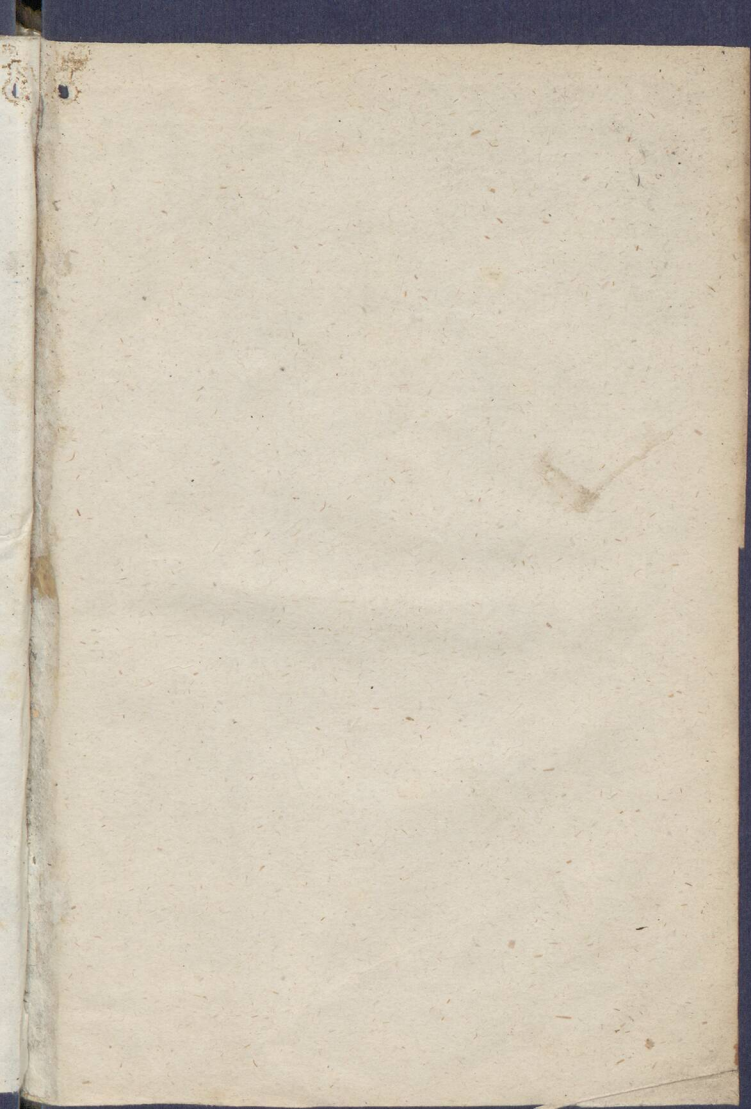
Koniec tomu czwartego.

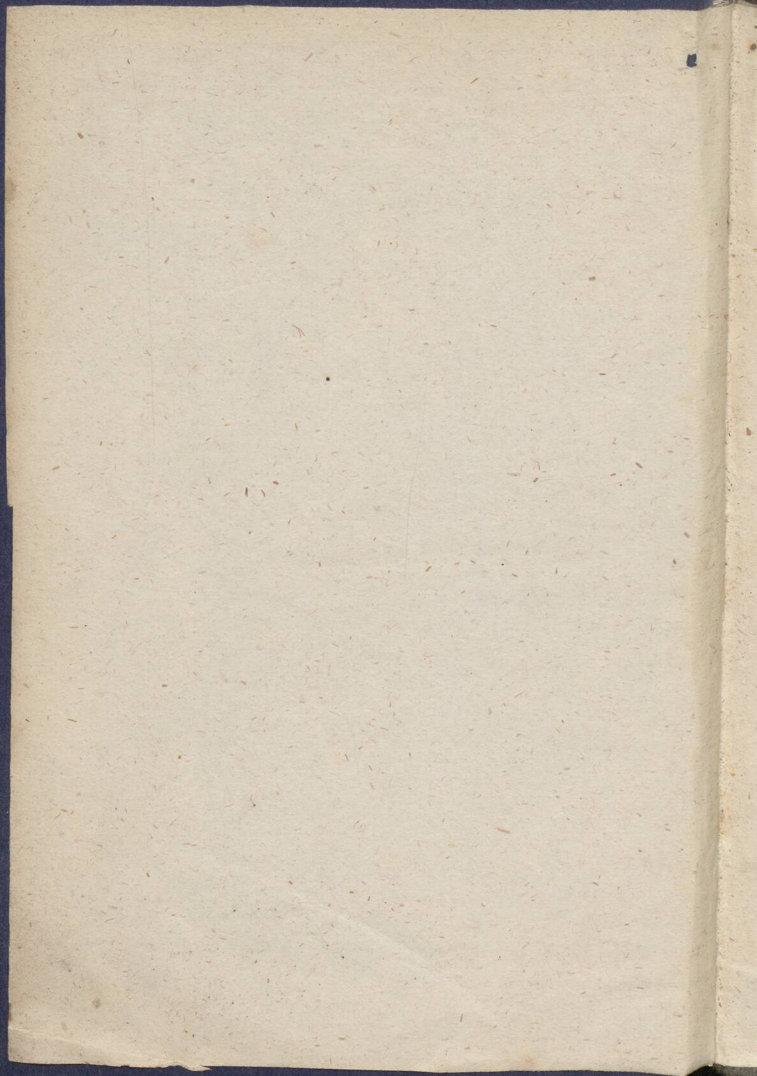


doznały go samego w nim pozostać. Mi-
 ałoby i tak kłóć się z nim w dzień
 go pozorować. Miał więc być odmi-
 na, czy to pan Daniel, czy kto inny.
 Przyszedł w końcu na to miejsce, lecz
 tylko do chwili, gdzie do klas w zwykły
 tar z innymi wchodzi. Oświadczył także, iż
 taka wyjątkowa edukacja, nie może na-
 leżeć do zwykłych u niego przysięch wa-
 runków, daleko większych wymagając ko-
 szów. Później przyszedł je ponosić
 i prosił, żeby nie dla niego sędziłono nie-
 byt, że do miejsca zwrócił.

Konstancja Czarnogóra







1
A-4

60,00

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
W POZNANIU



1626310